



dostr 1 I a

N.B. → Na dole pierwszej strony pod kreską, proszę drobniejszym drukiem umieścić ten tytuł Dwie tragedje weneckie w XV wieku

~~[illegible]~~ Niniejsze studjum pisałem i drukowałem w r. 1898 p. t. „Z dziejów Wenecji"* w „Przeglądzie Polskim" Dziś podaję je czytelnikom w zmienionej nieco formie i nowszem opracowaniu.

Bibljografja: Petrus Candidus Decembrius: Philippi Mariae Vicecomitis vita. (Muratori, Rerum ital. script. t. XX). — Marin Sanuto: Vite de' Duchi di Venezia, (Muratori, Rer. ital. script. t. XXII). — Porcello: Commentar. Jac. Piccinini (Muratori, Rer. ital. script. t. XX). — Egnatius: De exemplis illustr. virorum Parisiis 1554. — Simoneta Jo.: De rebus gestis Francisci I Sfortiae (Muratori, Rer. ital. script. t. XXI). — Nicolo Macchiavelli: Le istorie fiorentine.* Muratori: Annali d'Italia Milano 1749. t. IX. — Daru: Histoire de la république de Venise Paris 1826. 8 vol. — Sismondi: Histoire

(Rer.)

b)

des républiques italiennes. Paris 1816. 16 vol. — Burckhardt: Cultur der Renaissance in Italien. Seemann, Leipzig. — Battistella: Il Conte Carmagnola. Genova 1889. — Molmenti: ~~Molmenti~~: La vie privée à Venise. Venise. Ongania 1895. — Molmenti: Nuovi studi di storia e d'arte. Firenze. Barbera. — Steger: Geschichte Fr. Sforzas u. der ital. Condottieri; Leipzig. Lorck.

Il y a des admirateurs des autres villes de l'Italie et des amoureux de Venise—powiedział któryś z pisarzy francuskich, a wyznajemy, że nigdy słuszności tych słów tak dobrze nie zrozumieliśmy, nigdyśmy się szczerzej cząstką tego bractwa miłośników Wenecyi nie poczuli, jak za ostatnim, przeszłego roku, kilkodniowym w niej pobytem. Szczęśliwi, którym danem jest częściej drogę przez Alpy odbywać do tych Włoch, które są i zostaną istną niedzielą świata, a z których człowiek wywozi w wspomnieniu całe skarby słońca i piękna na szare godziny dnia i życia.

Przejazd przez Pontebbę jest jak stworzony, żeby uwydatnić przełom z północy na południe, kiedy kolej z śnieżnych alpejskich wyżyn, pełnych zimowej grozy, jak bramą tryumfalną przez skalisty wąwóz zjeżdża nagle w wiosenną równinę wenecką. Gdzie okiem zajrzeć, wszędzie żyzne, zielone łany, a po brzegach drzewa powiązane splotem winogradu, niby podające sobie ręce i w wesołym korowodzie pląsające przez pola dryady — *junctaeque Nymphis Gratiae decentes.* Gdzieniegdzie z pośród bukietu cyprysów, których ciemne kiście tak silnie odrzynają się na tle niebieskiego nieba, wystrzela wysoko smukłe *campanile*, jedno z tych, któremi Wenecya na tę samą cechę wszystkie swoje włości obsiała, a które zdają się wspinać w górę, aby dojrzeć zdaleka wspólną matkę, wieżę z placu św. Marka. Kolej mija dawną stolicę Friulu, Udine, ze swem sterczącem w pośrodku zamkowem wzgórzem, z którego podobno Attyla patrzał na pożar Akwilei; dalej Conegliano z zielonemi pagórkami

i tym łagodnym krajobrazem, tak dobrze znanym z pobożnych malowideł poczciwego Cimy; Treviso z piękną katedrą, wreszcie Mestre, a tu za skrętem na laguny ukazują się nagle wynurzające z morza kopuły i wieże; kolej dobiega celu i to jedyne na świecie *fata morgana* staje się rzeczywistością—jesteśmy w Wenecyi.

Nigdyśmy jej jeszcze tak ożywionej nie widzieli, jak w tych ostatnich dniach kwietnia ubiegłego roku. Otwarcie międzynarodowej wystawy w *Giardini Publici* ściągnęło najliczniejszą na laguny publiczność, a tym razem nie angielską, ani niemiecką, słowem nie „Baedeckerowską", ale przeważnie włoską. Hotele przepełnione, wieczorem na placu św. Marka ledwie się przecisnąć było można, a każdy dzień inne, nowe przynosił widowiska. Wspaniałym był szczególnie wjazd księcia Neapolu i jego żony Heleny Czarnogórskiej. Stanęliśmy w gondoli pod pałacem Foscari, na skręcie kanału, a więc w miejscu o najlepszym, bo rozległym widoku na prawo ku Salute, na lewo ku Rialto. Pałac Foscari był po wszystkie czasy wyborową niejako lożą w czasie uroczystości na kanale. Z jego balkonów przyglądali się zabawom urządzanym na ich cześć książęta zagraniczni, odwiedzający dożów; w nim mieszkali między innymi w r. 1574 uchodzący z Polski Henryk Walezyusz, a później w r. 1699 królowa Marya Kazimiera.

Canal Grande, który jest, jak był już za czasów i za świadectwem Filipa de Commines, *la plus belle rue que je croy qui soit en tout le monde et la mieulx maisonnée*, w odświętnej szacie, czarujący iście przedstawiał widok. Zdawało się, że stare jego pałace odżyły na chwilę dawnem życiem i świetnością wśród powiewających różnobarwnych chorągwi, dywanów i makat, girland, koron i wieńców, któremi postrojono galerye, portyki i okna. Wszędzie zaś tłumy publiczności, a że publiczności włoskiej, więc używającej z rozkoszą, humorem i werwą tej najdroższej dla każdego Włocha kombinacyi: *dolce far niente* z widowiskiem. Gwar głuszyła od czasu do czasu przeraźliwie hałaśna *marcia reale*, grana przez kapele wojskowe, a przyjmowana przez tłumy

S. Maria della

1897 r.

głośnemi okrzykami: *Evviva Savoia e Montenegro, — e Montenegro feroce,* dodawało wielu, aby podnieść znaczenie małej Czarnogóry, której alians miłość własną Włochów korci. Tylko nasz stary gondolier nie dzielił powszechnego zapału i tłómaczył nam wymownie, że się we Włoszech źle i bardzo źle dzieje, a że początkiem i przyczyną wszystkiego złego są *i vaporetti,* małe parowce, kursujące od lat kilku na kanale ku większej wygodzie publiczności, a z niemałą niezaprzeczenie szkodą biednych wioślarzy. Gorzki swój dyskurs przerywał sporą dozą najbardziej wyszukanych przekleństw, brzmiących zresztą w tym miękkim dyalekcie weneckim, dla północnego mianowicie ucha, jak wcale harmonijne komplementy, ilekroć który z owych znienawidzonych parowców łódź naszą mijał.

Nareszcie o zachodzie słońca zagrzmiały działa w arsenale i wkrótce z pod Rialto wysunął się orszak książęcy. Przodem płynęły prześliczne gondole municypalne, złote i srebrne, z rzeźbionemi godłami morza, trytonem, delfinem lub syreną, drugie ze lwem św. Marka, każda wysłana innej barwy materyą, purpurowym, żółtym, błękitnym lub fioletowym aksamitem, a na każdej z nich po kilkunastu wioślarzy, przybranych w odpowiednie do koloru łodzi bogate renesansowe stroje i rozkołysanych w rytmicznem uderzaniu wiosłem. W świetle zachodzącego słońca i w tem złoto-niebieskiem przezroczu, które jest właściwością Wenecyi, wśród tych najpiękniejszych ram marmurowych pałaców, wyglądało to widowisko, jakby żywcem wyjęte z jakiego obrazu Gentilego Bellini lub Carpaccia. Takim musiał być orszak towarzyszący dożom wracającym z zaślubin z Adryatykiem i w ślad za strojnemi gondolami szukało się mimowoli okiem nadpływającego Bucentaura i doży w czapce z rogiem książęcym na głowie. Bucentaura nie było, ale za to wyległy chyba wszystkie gondole, ile ich tylko Wenecya liczy, otaczając łódź, na której płynęli następca i następczyni tronu, i cała ta wesoła flotylla zawinęła wśród huku armat i wiwatów ludu do pałacu królewskiego przed Piazettą. Odtąd co dzień inne były fety: otwarcie wystawy,

spuszczenie nowego okrętu wojennego w arsenale, illuminacya placu Św. Marka, wreszcie ognie sztuczne, spalone naprzeciwko Piazetty na wodzie, z milionem świateł odbijających się w morzu i w marmurach.

Uroczystości te, same przez się tak piękne, miały i tę jeszcze dobrą stronę, że w ciągłem czatowaniu a potem pościgu za książęcą parą, zapominali turyści angielscy narazie o zwykłem zwiedzaniu miasta, że więc muzea i kościoły były prawie puste.

To też najpiękniejsze godziny pobytu naszego na lagunach spędzaliśmy wśród starych pamiątek, w niezwykle przez dni kilka opustoszałych i cichych świątyniach weneckich, gdzie z marmurowych pomników śpiących dożów tak silnie i świetnie przemawia sława, wielkość i duma dawnej rzeczypospolitej. Chroniąc się na wyspach Adryatyku przed hordami najeźdźców, musiał widocznie szczep italski, nie zmięszany, jak gdzieindziej, z przybyszami z północy, najczystszą krew swoją tu właśnie zachować. Typem bowiem są ci starzy Wenecyanie najbardziej ze wszystkich Włochów do dawnych Rzymian podobni. Te twarze starców, które myśl zmarszczkami poorała, o rysach ostrych, pełne surowej powagi i wyniosłości, takie rozumne, a zimne i twarde, przypominają jak wraz popiersia rzymskie z końca rzeczypospolitej i początku cesarstwa. Patrzącemu na nie nasuwa się mimowoli myśl, jak te mądre głowy mądrze rządzić musiały. I wtedy pojmuje się wielkość starej Wenecyi, jak znów w napisach nagrobkowych, tak wymownych i jędrnych, widzi się świadectwo niezrównanej świetności i dumy dawnych jej mieszkańców. Kilka wieków dziejów weneckich przesuwa się w ten sposób w pomnikowej illustracyi przed okiem widza, szczególnie w kościele św. Jana i Pawła i u Frarich, w tych dwóch panteonach sławy rzeczypospolitej, wśród grobowców Trevisanów, Mocenigów, Morosinich, Marcellów, Barbarów, Venierów, Giustinianich, Tronów. Tu n. p. leży Markantoniusz Bragadino, odarty ze skóry przez Turków po bohaterskiej obronie Famagosty, a pomszczony wkrótce pogromem swych oprawców pod Lepanto. Dalej Leonard Lo-

redano, doża z najcięższej chyba epoki, w której „godność rzeczypospolitej salwując“ — *dignitate reipublicae difficillimo tempore conservata* — „całej niemal Europy ligą w Cambrai na Wenecyę sprzysiężonej zaciekłość stłumił“ — *totius fere Europae virium Cameracensi foedere in rem venetam conspirantium furorem compressit.* Naprzeciwko spoczywa w najpiękniejszym może grobowcu, a pięknych w Wenecyi nie mało, Andrzej Vendramin, którego szczęście, bogactwo, szczodrość napis wielbi, dodając, że krótkość panowania, tego szczytu weneckiej, wiekuistą wynagradza chwałą — *brevitatem principatus aeterna gloria compensat.* — *Ex hostium manubiis*, „z łupów nieprzyjacielskich“ wzniesiony jest pomnik Piotra Mocenigo, szczęśliwego zwycięzcy Turków na Archipelagu; *amantissimus dux Reipublicae* nazywa się zaś brat jego Jan, za panowania którego gotowała sobie polityka wenecka nabytek Cypru królewskim darem Katarzyny Cornaro. A nie brak i grobów niewieścich, jak właśnie tejże cypryjskiej królowej w San Salvatore, a w kościele św. Jana i Pawła owej mniej zresztą znanej żony i matki dożów Valierów, o której napis mówi, że była „Rzymianką cnotą, Wenecyanką pobożnością“. U Frarich znowu w bocznej lewej nawie spotykamy istną apoteozę wielkiego rodu Pesarów: w środku najpiękniejsza z Tycyanowskich Madonna ich domu, uśmiechająca się boskim uśmiechem do klęczących u jej stóp członków tej rodziny; po lewej stronie zbyt bogaty, ale odpowiadający tak znamiennie smakowi epoki przekwitu, dźwigany przez murzynów sarkofag doży Jana, który, wedle napisu, posłował za młodu na dwór naszego Władysława IV, żył lat tyle a tyle, żywot zakończył w r. 1660, a tu w tym pomniku odżył — *hic revixit*; po prawej zaś stronie Tycyanowskiego arcydzieła leży zmarły w r. 1547 wojowniczy biskup z Paphos, Jakób Pesaro, „który Turków w wojnie, siebie samego w pokoju zwyciężał“ — *Turcas bello, se ipsum pace vincebat* — aż nakoniec „ze szlachetnego wśród Wenecyan, do szlachetniejszego wśród aniołów rodu przeniesiony został“ — *ex nobili inter Venetos ad nobiliorem inter Angelos familiam translatus est.* Dum-

niej, jak w tym napisie, jedynego dla swej wielkości szczebla Pesarowie chyba zaznaczyć nie mogli.

W tym samym kościele, na prawo, obok wielkiego ołtarza, jest grobowiec Francesca Foscari. Z dziejami jego łączą się ~~dni~~ największej chwały, i ~~najgłębszych~~ dramatów weneckich. Całą świetną epokę pierwszej połowy XV stulecia budzi jak echem nazwisko doży, około którego wstają te indywidualnością swą nieporównane postacie ostatniego z Viscontich, Filipa Maryi, Alfonsa Arragońskiego, Medyceusza Kosmy i Francesca Sforzy, a którego panowanie zresztą jest jakoby oprawne w dwie tragedye, Carmagnoli i własną. Przytem historya tego właśnie doży związana jest z poezyą ~~i rozdźwoniona na świat geniuszem innego narodu żeglarzy, który w hołdzie dla pierwszej królowej morza, Wenecyi, ciągle w jej dzieje własne kwiaty wplatał.~~ Bo któż płynąc o księżycu na gondoli, nie szuka w marmurowej koronce balkonów weneckich bladego cienia Desdemony, lub w tajemniczych zaułkach krętych ulic zdążającego na Rialto Shylocka? Historyę Foscarego ubrał w wiersze ten, którego inny poeta tak pięknie *le dernier amant de la pauvre Italie* nazywał, a który na lagunach spędzał w pogardliwej dumie lata dobrowolnego wygnania. Ścisłe badania historyczne, przegryzając jak mól tkaninę poetycznych fantazyj, i z Byronowskiego dramatu o Foscarich nie zostawiły wiele. Ale bądź co bądź, poeta opromienia wyobraźnią swoją historyę, ilekroć się jej dotknie, a za tym blaskiem szuka się z większem zajęciem światła.

~~W świetle historyi prawdziwej ośmielamy się dziś podać czytelnikom kilka kartek z dziejów weneckich[1]) za pa-~~

---

[1]) Muratori: *Rerum italicarum scriptores*, t. t. XXI i XXII passim. — Macchiavelli: *Le istorie fiorentine.* — Sismondi: *Histoire des républiques italiennes au Moyen Age.* — Daru: *Histoire de la république de Venise.* — P. Molmenti: *La vie privée à Venise.* Venise, Ongania 1895. — P. Molmenti: *Nuovi studii di storia e d'arte.* Firenze, Barbera 1897. — Burckhardt: *Cultur der Renaissance in Italien.* — Battistella: *Il Conte Car-*

i rozdzwoniona na świat w rymach innego narodu żeglarzy, który hołdując tej pierwszej królowej morza, Wenecji, dzieje jej i bajki ciągle własnemi oplatał kwiaty.

W świetle historji pokażemy dziś czytelnikom kilka kart z dziejów Wenecji za panowania doży Franciszka Foscari, ~~zachowując~~ zachowując z fantazji Byronowskiej ową tylko strofę, która zawsze prawdziwą zostanie, a którą poeta młodzieńcu z Foscarich kładzie w usta:

. . . . My beautiful, my own,
My only Venice — this is breath! Thy breeze
Thine Adrian sea-breeze, how it fans my face!

odstęp

I

W roku 1423 umierał po dziesięcioletnich rządach stary doża Tomasz Mocenigo, a zgromadzonym około łoża śmiertelnego senatorom takie na krótko przed zgonem dawał nauki: „Żegnam was, albowiem Bóg zesłał na mnie nie moc, która ziemskiej mej pielgrzymce

położy koniec. Wzywałem często wszechmocy Ojca, Syna i Ducha Świętego, Boga jedynego w Trójcy, z której jedna osoba stała się człowiekiem, jako nas naucza nasz kaznodzieja, brat Antonio della Massa, i Bogiem, któremu chwałę oddawajmy i któremu wszystko winniśmy, nakazuję wyborcom mającym moc tej rzeczypospolitej nadać głowę, aby bronili wiary, miłowali bliźnich, strzegli sprawiedliwości i pokoju... Pamiętajcie, że mennica nasza wybija co rocznie miljon złotych dukatów, 200,000 srebrników i 80,000 miedziaków. 1) Co roku wysyłacie 500,000 dukatów do Syrji i Egiptu, a po 100,000 na ląd stały, do naszych portów i do Anglji. Reszta zostaje w Wenecji. Florentczycy składają u nas co rok 16,000 sztuk cienkiego płótna, które rozwozimy do Apulji, Sycylji, Barbarji, Syrji, Cypru, Rodu, do Egiptu, Morei i Istrji. Obrót pieniężny roczny ze samą Florencją wynosi 392,000 dukatów, a wzamian sprzedajemy z zyskiem

---

1) Dukat ówczesny = mniej więcej 17 frankom, razem więc około 18 miljonów franków.

cuskie i katalońskie wełny, ziarna, atłasy, złote i srebrne tkaniny, wosk, cukry i klejnoty. We wszystkich naszych włościach kwitnie handel. Prowadząc go tak samo i nadal, będziecie pierwsi między wszystkimi"... „Wiadomo wam, że za naszego panowania umorzyliśmy dług czteromilionowy, ciężący na nas po wojnie z Padwą, Vicenzą i Weroną i że staraliśmy się wszystkim wogóle zobowiązaniom państwa uczynić zadość. Okręty nasze rozwożą co rok towary w wartości dziesięciu milionów w świat. Wiadomo wam, że mamy 3.000 mniejszych, 300 większych okrętów i 45 galarów, na pierwszych 17.000, na drugich 8.000, na trzecich 11.000 załogi. Wiecie również, że podatki przynoszą państwu 500.000 dukatów, że tysiąc naszej szlachty liczy od 70 — 4.000 dukatów dochodu, znacie dobrobyt naszych panów, naszych mieszczan i włościan. Ale dlatego nie przestawajcie błagać Wszechmocnego, aby wam pozwolił wytrwać na tej drodze, na którą was wprowadził. W ten sposób bowiem staniecie się panami złota całego Chrześciańśtwa, byleście nie wyciągali nigdy ręki po cudze dobro i nie wszczynali niesprawiedliwej wojny"....

„A teraz powiedzcie mi do ucha, kogo mi przeznaczacie za następcę, abym was mógł do dobrego wyboru zachęcić. Zasługują na to rozumem i cnotą Marin Caravello, Franciszek Bembo, Antoniusz Contarini, Piotr Loredano, Jakób Trevisani, Fantin Michieli, Albin Badoer. Mądrzy to i zasłużeni mężowie. Ale szaleńcem byłby, ktoby głos swój Franciszkowi Foscari chciał oddać. Niechaj Bóg was przed nim strzeże! Jeżeli jego obierzecie dożą, wkrótce wybuchnie wojna, a wtenczas ten, który miał 10.000 dukatów, będzie ich miał tysiąc, kto miał dziesięć domów, będzie miał dom jeden, kto miał dziesięć sukien, temu się zostanie jedna. I tak z kolei postradacie wszystko wasze złoto i srebro, waszą cześć i sławę. Z panów staniecie się niewolnikami łupieżkiego żołnierstwa"....

Jak testament bankiera, ale bankiera całego świata, brzmi ta mowa umierającego doży, którą przytoczyliśmy prawie w całości, bo jest ona wiernym obrazem ówczesnej

Wenecyi, siły jej i ducha, streszczających się w tem przykazaniu *sarete signori dell'oro de Christiani* — „będziecie panami złota całego Chrześciaństwa“. Program polityki rzeczypospolitej w XIV i XV wieku zawarty jest w tych słowach. Silna, a świadoma zawsze celu i zawsze mu wierna, była Wenecya już oddawna, bo od końca XIII stulecia gotowym politycznym tworem, kiedy inne państwa włoskie w ciągłych jeszcze drgały konwulsyach. Jak w nowożytnej historyi Anglia skończoną swą organizacyą wyprzedziła inne narody, tak ta dawniejsza królowa morza była organizmem państwowym o najregularniejszym biegu i ruchu, kiedy wokoło na półwyspie włoskim w każdem niemal państwie zmieniały się bez przestanku formy rządu, a raczej bezrządu. Jak Anglia, tak i ona przebyła wcześnie swą rewolucyę, bo rewolucyą był w połowie XIV wieku zamach Marina Falieri na istniejący porządek rzeczy; a po stłumieniu jej, tak samo znów jak Anglia, wyniosła Wenecya z burzy ciągłość swych instytucyj i niezmienność tradycyi. Jak dziś Anglia wreszcie, tak wtedy, w XIV wieku, stała rzeczpospolita wenecka, odosobniona wśród innych państw Włoch i Europy, wchodząc rzadko, niechętnie i przemijająco tylko w przymierza, wychodząc z nich przy najmniejszym udziale, z największym zawsze zyskiem, otoczona więc powszechną zazdrością, częściej nienawiścią, która miała wkońcu wybuchnąć z początkiem XVI stulecia w lidze z Cambrai, a której przemoc rozbiła się przecież o nieprzebrane zasoby hartu i wytrwałości weneckiej.

Warunki tej niespożytej siły leżały w tem, że w czasie największej wybujałości indywidualizmu na półwyspie włoskim, umiała Wenecya ująć ją u swoich w karby i skierować ku jednemu celowi, a tym był wspólny interes państwa. Zdawałoby się, że właśnie ten naród żeglarzy, w dalekich po morzach wędrówkach, a z wrodzoną szczepom italskim zdolnością, najluźniej wyobraźni swej rozpuści wodze i w najrozmaitsze ducha swego wcielać będzie kształty. Stało się inaczej. Całą swoją fantazyę skupili Wenecyanie w formę zewnętrzną, oddali ją w usługi ukochanemu miastu,

gdzie z fali Adryatyku strzelała w górę wieżami, zaokrąglała się w kopuły, wplatała w marmurowe koronki, lśniła w złotem tle mozaik, kojarzyła wszystkie style, wszystkie myśli ludzkie, wydobyte z kamienia, stwarzała jednem słowem to jedyne wśród miast cudne dziwo, które się nazywa Wenecyą.

Na wewnątrz tymczasem równały się dusze. Nie znajdzie też w historyi weneckiej postaci tak oryginalnych, jak ostatni z Viscontich Filip, tak potwornych, jak brat jego starszy Gianmaria, tak świetnych, jak Kosma lub Wawrzyniec Medyceusze, szlachetnych, jak Arragoński Alfons, strasznych, jak syn jego Ferrante, tak porywających, jak Francesco Sforza. Wenecyanie są wszyscy mniej więcej do siebie podobni. I w polityce naśladują porządek ulubionej swej mozaikowej sztuki, tworząc z pojedynczych, silnie spojonych kamyczków jednolitą całość na tle „złota całego Chrześcijaństwa“. Na zewnątrz nie występuje u nich nigdy nazwisko lub osoba, ale zawsze idealne pojęcie ogółu rzeczypospolitej, której ta tajemnicza bezimienność nadaje cechę nadprzyrodzonej, fatalnej jakiejś mocy. „Im bardziej znienacka — mówi jeden z historyków Wenecyi — im niespodziewaniej padał cios, tem głębsze i silniejsze wywoływal wrażenie; nie zawsze wynikało ztąd przekonanie o winie tego, w kogo ugodził, ale rodziło się zawsze to ważniejsze poczucie, że rzeczpospolita wszystko wie i niczego nie przebacza“. Ta wszechwiedza rządu była zaś także wypływem szczególnego charakteru państwa: każdy bowiem członek tej wielkiej handlowej spółki, był na zewnątrz przedstawicielem wspólnego interesu, a w zamian donosicielem w jego służbie. Gdzieindziej, pod berłem tyranów, system taki do wstrętnych byłby doprowadzał nadużyć. W Wenecyi, surowej, ale nie okrutnej dla samego okrucieństwa, wyrabiało się ztąd tylko wielkie poczucie publicznego bezpieczeństwa wobec ciągłej czujności władzy i takie o jej przenikliwości bewzględne przekonanie, że winowajca dobrowolnie nieraz przed sąd się stawiał, wiedząc, że tajemnicy nie ukryje. A czasem, choć nie często, stwierdzała rzeczpospolita tę swą wszechwiedzę

rozgłośnym przykładem, jak w sprawie Carmagnoli ~~lub Ja~~ lub
~~kóba Foscari~~ i Jakóba Foscari.

Korzył się więc Wenecyanin przed tą niewidzialną ręką, która nieraz dzierżyła miecz, ale zawsze trzymała nad jego głową tarczę i pod jej opieką czuł się spokojnym i szczęśliwym. Patrycyat zagarnął dla siebie całą władzę, zamykając z początkiem XIV wieku przez t. z. *Serratę* przystęp do Wielkiej Rady ludziom nowym. Widząc, jak samowola ludu kończyła się we wszystkich innych państwach włoskich samowładztwem tyranów, zrozumiał twórca tej organizacyi, mądry doża Gradenigo, że tylko wtedy wolność Wenecyi ~~uratować~~ zabezpieczyć zdoła, jeżeli z jej rządów nawet i „~~pozory~~ cień niestałości ludu“ wykluczy. Zaczem, jak znowu później w Anglii, przerabiała się stojąca u steru arystokracya wenecka w dynastyę mężów stanu, podających sobie z ojca na syna tajemnicę sztuki rządzenia i politycznej tradycyi. Żeby zaś lud na oligarchów nie szemrał i za władzą nie tęsknił, założono w tej wielkiej rzeczypospolitej rzeczpospolite mniejsze: rozliczne bractwa o najszerszym zakresie samorządu. Tam, w tych kołach, wytwarzały się pod wpływem geniuszu weneckiego już w średnich wiekach owe znakomite instytucye, będące i po dziś dzień jeszcze podstawami każdej przemysłowej organizacyi, tam wyrabiało się z czasem to zdumiewające bogactwo ludu, o jakiem świadczą powstające obok pałacu dożów, w którym radził i rządził patrycyat, owe wspaniałe *Scuole*, jak Scuola San Marco, San Rocco, San Giovanni i tyle innych, w których zbierały się i rządziły bractwa, a które stawiali im z kolei Lombardowie, Sansovino, Vittoria, a ozdabiali Tycyan, Veronese, Tintoretto. W miarę zasług i zasobów otwierała się od czasu do czasu i dla ludu Złota Księga patrycyatu, który w ten sposób krew swą odmładzał. Tak n. p. w końcu XIV wieku, po kilkoletniej walce z Genuą o Chioggię, trzydziestu zasłużonych obywateli otrzymało prawo wstępu do Wielkiej Rady, a pomiędzy nimi głowy tak świetnych później rodów Vendraminów, Nanich, Calergich; jak wielką zaś pod tym względem ~~była~~ była ambicya ludu, ~~to wskazuje~~ tego dowodzi historya owego bied-

nego Messer Lionarda d'Agnello, kupca owsa z dzielnicy Sancta Mater Domini, który umarł ze zgryzoty, że jego nazwiska w rejestr Złotej Księgi nie wciągnięto, choć na wspomnianą wojnę z Genueńczykami „siebie samego, sługę i żołd miesięczny dla pięćdziesięciu wioślarzy“ Signorii ofiarował!

Prócz zajęcia, które patrycyat dla ludu stwarzał, prócz ambicyi i współzawodnictwa, które w nim rozbudzał, usiłował on jeszcze jednać go sobie tem, co na wyobraźnię tłumów najsilniej działa: poufałością, zabawami i przepychem. Już doża Gradenigo, zaprowadzając *Serratę*, schodził często pomiędzy zaniepokojony lud i zasiadał z nim do wspólnej uczty, a tradycya szczodrej wspaniałości ustaliła się w Wenecyi. W wielkie święta, gdy doża zstępował z pałacu na plac Św. Marka, niesiono nad nim złoty baldachim; przed nim powiewały jedwabne chorągwie, paziowie grali w srebrne trąby, a z tyłu roztaczał się długi orszak patrycyuszów, którym podszyte złotogłowiem płaszcze, gronostajowe kołnierze, futrzane czapki i spadające z pod nich po obu stronach głowy szeroko rozczesane włosy, świadectwem jednego z współczesnych kronikarzy północnych, „biskupią prawie nadawały powagę“. Wenecyanki, którym — jak mówi pięknie Molmenti — czas zrazu schodził na smutnem żegnaniu, tęsknem wyczekiwaniu i radosnem witaniu powracających z morza żeglarzy, na schyłku wieków średnich, a pod wpływem rozbudzonego w epoce wojen Krzyżowych rycerskiego romantyzmu, zrzucały dawną osłonę, kryjącą je przed okiem mężczyzn i ukazywały się w długich, powłóczystych sukniach z najkosztowniejszych materyj, z szyją i piersią ozdobioną rzędami pereł i drogich kamieni i ze złotą siatką, oplatającą rozpuszczone na ramiona włosy. Na placu Św. Marka odbywały się turnieje, czasem walki byków; doża przypatrywał się im z loggii nad głównem wejściem do bazyliki; na osobnej estradzie zasiadały panie, obok ustawiali się ich rycerze, w głębi zaś lud, rozkoszujący w widowiskach. „Cudzoziemiec oniemieć musi z podziwu na widok takiej wspaniałości“ — pisał w r. 1364 rozkochany w Wenecyi Pe-

trarda, który przy boku doży podziwiał turniej, urządzony z powodu poskromienia buntu na Kandyi.

Najświetniejsza atoli uroczystość, doroczne zaślubiny doży z Adryatykiem, przypadała na dzień Wniebowzięcia. „Rano dnia tego — opowiada Medyolańczyk, goszczący z początkiem XV wieku w Wenecyi — wsiadłem na łódź, żeby się przypatrzeć powtarzającej się co rok ceremonii. I tak ujrzałem wysłanego purpurą Bucentaura; wioślarze w dziesięciu rzędach pchali go naprzód; w środku siedział doża, starzec siedmdziesięcioletni, dostojny i poważny; przybrany był w długi płaszcz karmazynowy ze złotem, którego końce trzymali giermkowie, a na głowie miał czapkę z czerwonego jedwabiu, okoloną złotą wstążką. Obok niego stał po jednej stronie biskup z Rieti, po drugiej arcybiskup ze Spalato. Tak popłynęli najpierw do dwóch zamków, aż o godzinie pietnastej doża poślubił morze pierścieniem wartości sześciu dukatów. Po zaślubinach powrócił na mszę do kościoła św. Mikołaja na Lido; w czasie lekcyi trzymał zapaloną świecę, zaczem podano naprzód jemu, potem z kolei wszystkim posłom zagranicznym do ucałowania ewangelię. Następnie złożył doża ofiarę, wyjmując zawinięty z chustki dukat i oddając go księdzu. W czasie podniesienia radowali się pobożni wierni, innym zaś niechaj Bóg przebaczy! Po mszy wsiadł doża z orszakiem na Bucentaura i odpłynął do Wenecyi, gdzie odbyła się uczta, a na nieszporach u Św. Marka opowiadał mi jeden z patrycyuszów, który jadł u stołu doży, że uczta była bogata i wspaniała“. — W zaślubinach morza, z których zrobiono największe oficyalne święto, zawarte były wyraźnie znamienne cechy państwa: tajemniczy symbolizm, działający na wyobraźnię i pewna siebie duma, okazująca widomym znakiem, że morze jest wyłączną i prawowitą własnością Wenecyi.

Wspaniałość roztaczana przez rzeczpospolitę, polegała wszelako głównie na pierwiastku zrazu bizantyńskim, potem ogólno-wschodnim. Bo duch odrodzenia starożytności, który już w XIV wieku z taką elementarną siłą powiał po innych miastach włoskich, najpóźniej względnie dotarł na laguny.

Wpływał na to może ów brak zaufania Wenecyan do wszystkiego, co nowe i niewypróbowane ciągłością własnej tradycyi; przyczyniał się zapewne i ów zmysł praktyczny, nieskory do umysłowej spekulacyi; ale to pewna, że kiedy w sąsiednich miastach włoskich prąd humanizmu graniczył niemal z szałem, a posiew rodzimy, rzucony ręką Dantego i Giotta, coraz piękniejsze wydawał kwiaty, Wenecya na razie zostawała w tyle. Do czasu przecież tylko, bo pod koniec XV i z początkiem XVI stulecia, bezpośrednio prawie i jakby nagłym skokiem, przeszli Wenecyanie z bizantyńsko-gotyckiej tradycyi do pełnego rozkwitu Odrodzenia, od Buonów do Lombardów i Sansovina, od malarzy z Murano, naśladujących nieśmiałym pendzlem mozaiki weneckie, do Bellinich, Giorgiona i Palmy.

Ale w chwili, gdy umierał stary Tomasz Mocenigo, a więc w początkach XV wieku, stała Wenecya po za ruchem politycznym i umysłowym reszty Włoch, dumna z upadku Pizy i Genui, groźnych niegdyś morskich współzawodniczek i kryjąca w milczeniu, a pod zewnętrznym tylko pozorem miękkiej wschodniej wybujałości, niezłomną wolę spełnienia przykazań umierającego doży, żeby stać się „pierwszą między wszystkiemi“ i zagarnąć dla siebie „złoto całego Chrześciaństwa“.

II.

Sześć dni trwał wybór nowego doży po śmierci Tomasza Mocenigo. Foscari, który już jako prokurator rzeczypospolitej licznych był sobie zjednał stronników między uboższymi mianowicie patrycyuszami, wspomagając ich nieraz hojnym zasiłkiem ze skarbu państwa i wyposażając ich córki, zręcznie teraz na swą korzyść pokierował wyborem. Zrazu, aby między przeciwnikami wywołać współzawodnictwo a na siebie nie zwracać uwagi, z 41 głosów przy pierwszem głosowaniu otrzymał tylko trzy; za każdem dalszem dodawali mu ich za to przyjaciele po kilka, zwalczając równocześnie innych kandydatów. Marin Caravello wydawał im się za stary; Franciszkowi Bembo zarzucali kalectwo, bo był kulawy, Contariniemu zbyt liczne potomstwo, Leonardowi Mocenigo za blizkie ze zmarłym dożą pokrewieństwo. Trudniejszą atoli do obalenia była kandydatura wielkiego admirała rzeczypospolitej, Piotra Loredana, któremu świetna przeszłość, pogrom floty tureckiej pod Gallilopoli, zdobycie Dalmacyi, liczne w tych wojnach odniesione rany, wreszcie osobista powaga, tęgość i ambicya, osobnego też dodawały znaczenia. Nie mogąc przeciw niemu żadnego znaleść zarzutu, umyślili stronnicy Foscarego podnieść owszem jego zalety, ale wykazać w ten sposób, że tak wypróbowany i doświadczony wojownik i nadal na dotychczasowym posterunku dla dobra państwa jest niezbędnym, że więc i na-

dal admirałem rzeczypospolitej pozostać winien. Podstęp się udał i dumny Loredan upadł, ale opuszczając w upokorzeniu salę wyborczą, wynosił on zapewne już wówczas w głębi duszy zarodek owej nieubłaganej nienawiści za obrazę, którą ród jego tak strasznie na Foscarich miał kiedyś pomścić. Tymczasem Francesco Foscari, wbrew przestrodze zmarłego Tomasza Mocenigo, dożą obrany został. Ale, jak żeby w dowód, że stara oligarchiczna tradycya państwa postawieniem na jego czele człowieka o szerszych i śmielszych poglądach w niczem naruszoną nie będzie, usunięto ostatni nawet pozór uczestnictwa ludu w wyborze i przedstawiając zgromadzonym na placu św. Marka tłumom nowego elekta, opuszczono po raz pierwszy z uświęconej formułki *Questo xe missier lo doxe* końcowe słowa *se ve piaxe*, słowa, w których leżał ostatni, choć oczywiście pozorny tylko pokłon patrycyuszów weneckich przed ludem.

Niemniej jednak rozumieli wszyscy, że Tomasz Mocenigo się nie mylił, kiedy przepowiadał, że panowanie Foscarego będzie czasem wojny. Sił po temu nie brakło. W trzydziestu ostatnich latach stała się Wenecya nowemi zdobyczami, lub odzyskaniem dawnych, panią całej adryatyckiej zatoki od ujścia Padu aż do Corfu; do tego z dawnych włości posiadała Kandyę, Negropont, wybrzeże peloponneskie i liczne wyspy na Archipelagu, a wreszcie wobec wzrastającej ciągle potęgi tureckiej, na zachód po nowe zabory coraz chciwiej wyciągała rękę, zapuszczając swe zagony na ląd stały. Głową w więzieniach weneckich Carrarowie, wygnaniem ostatni ze Scaligerów przypłacili obronę swych dziedzicznych włości, a na wieżach Padwy, Werony, Vicenzy, Belluny i miast trewizańskiej Marchii powiewał zwycięzko sztandar św. Marka. Ale tem samem zetknęła się rzeczpospolita bezpośredniem sąsiedztwem z najpotężniejszem z państw włoskich, z Lombardyą. Że zaś Foscari od lat już przedstawiał kierunek polityki czynnej i na lądzie, wśród nieustających w państwach granicznych zapasów, kierunek zresztą nowy dla trzymającej się dotąd zawsze na uboczu Wenecyi, więc starcie jej z Medyolanem stawało się nie-

uniknionem, tem bardziej, że przychodziło jej zmierzyć się z tradycyjną ambicyą Viscontich.

Tum medyolański i wspaniała Certosa w Pawii świadczą po dziś dzień jeszcze o wyniosłym i rozmiłowanym w wielkości duchu Giangaleazza Visconti, który, jak tylu innych z kolei tyranów średniowiecznych we Włoszech, marzył o podboju całego półwyspu i założeniu włoskiego królestwa, a który z nich wszystkich zdawał się być celu tego najbliższym. Bo po zdobyciu Bolonii, Pizy, Perugii, Sieny, gotował się do zdobycia Florencyi i pewny powodzenia, kazał złotnikom medyolańskim kuć już koronę, aby — jak powiada dobitnie Macchiavelli — zostać *re d'Italia con la forza* kiedy go nagle w r. 1402 śmierć zaskoczyła. „I tak — mówi tenże Macchiavelli w swoich *Historyach Florenckich*, wspominając, jak w kilka lat potem niespodziany zgon Władysława Neapolitańskiego po raz drugi Florencyę z równej wyratował potrzeby — śmierć była zawsze potężniejszą przyjaciółką Florentczyków, niż jakikolwiek inny ich przyjaciel, zbawienniejszą, aniżeli którakolwiek z cnót ich własnych“. Śmierć Giangaleazza usunęła na lat kilkanaście niebezpieczeństwo podboju i jedynowładztwa, grożących Włochom od strony Lombardyi. Około zmarłego księcia stali pierwsi wojownicy owej epoki, wielki reformator sztuki wojennej i nauczyciel wszystkich kondottierów XV wieku, Alberyk da Barbiano, a dalej Jakób dal Verme, Ottobuono Terzo, Pandolfo Malatesta, Paolo Savelli i Facino Cane. Chytrością, a zresztą niezmierną własną ambicyą, umiał Giangaleazzo ich ambicye mniejszego trzymać na wodzy. Umierając, oddał im opiekę nad synami. Starszemu, czternastoletniemu Gianmaryi zostawiał księstwo medyolańskie, Como, Lodi, Cremonę, Piacenzę, Parmę, Reggio, Bergamo, Brescję, Bolonję, Sienę i Perugię; drugiemu, dziesięcioletniemu Filipowi Maryi, hrabstwo Pawii, Novarę, Vercelli, Tortonę, Alexandryę, Weronę, Vicenzę, Feltre, Bassano i Trento. Trzeci, syn naturalny Gabryel Marya, otrzymał w dziale Pizę i Cremę.

Władzę jednak zagarnęła niemal wyłącznie dla siebie matka dwóch młodych książąt, Katarzyna Visconti i dawny, przebiegły sługa jej małżonka, Francesco Barbavara, którego niskie pochodzenie było już dostatecznym kamieniem obrazy dla dumnych kondottierów, mających w jednej z nim zasiadać radzie. Od waśni między opiekunami zaczął się bunt powszechny. W kraju całym zawrzało od wznowionej walki Gwelfów i Ghibellinów. Nazwy te z upadkiem wpływu cesarstwa na sprawy półwyspu, straciły już były zupełnie pierwotne znaczenie; ale że Viscontich dom zaliczał się niegdyś do stronników cesarskich, wszystkie nagromadzone przeciw niemu w ciągu stulecia rodowe zawiści wybuchły teraz pod wspólnem mianem Gwelfów. Księżna wysyłała wojska na uśmierzenie rebellizantów i kondottierowie jęli z kolei opuszczać Medyolan, wiodąc swe najemne żołdactwo na podbój Lombardyi. Bo uśmierzając zbuntowane miasta, obejmowali je we własne posiadanie. Tak Facino Cane zdobywał sobie Novarę, Tortonę, Vercelli, Alexandryę, Ottobuono Terzo Parmę, Pandolfo Malatesta Brescyę; Feltre, Weronę i Vicenzę zabierała korzystając z powszechnego rozstroju Wenecya, a Alberyk da Barbiano przechodził na żołd Florencyi, która w lidze z Bonifacym IX zwracała papieżowi Bolonię i Perugię, a sobie Pizę. Z wielkiego państwa Giangaleazza zostały wnet tylko strzępy, a miejsce potężnego możnowładcy, który marzył o koronie włoskiej, zajął niebawem cały legion mniejszych tyranów, skłóconych i rozdzierających między sobą ów płaszcz królewski, który Giangaleazzo chciał włożyć na barki.

Zbuntował się wkrótce i Medyolan. Burzę wywołało postępowanie księżny, która okrucieństwem władzę w kobiecych rękach utwierdzić chciała. Już zamordowanie zwabionych podstępem na naradę do zamku Porrich i Alliprandich wywołało ogólne oburzenie i ogólniejszy jeszcze przestrach w stolicy. Groza ta przemieniła się we wściekłość, kiedy w kilka miesięcy potem znaleziono pewnego poranku pięć trupów z obciętemi głowami, wystawionych na rozkaz księżny przed bramą kościoła św Ambrożego. Nie szukając

nawet rozwiązania tej tajemniczej zagadki, ale pałając zemstą, uderzył lud na zamek książęcy. Katarzyna ratowała się ucieczką i w imieniu syna rozpoczął z nią Medyolan nową wojnę, ukończoną wnet uwięzieniem, potem otruciem księżny w Monzy. Łatwo odgadnąć, czem było tymczasem wychowanie młodego Gianmaryi wśród tego steku zdrad, buntów, waśni i mordów.

Obok pięknych, często świetnych, czasem świętych postaci, w jakie średniowieczna historya włoska obfituje, spotyka się w niej nieraz postacie takie, że natura ludzka wzdryga się po prostu na ich widok. Dość wymienić straszne nazwisko Ezzelina da Romano, a przypomnieć choćby ten jeden szczegół, kiedy Krzyżowcy, otwierając w r. 1256 więzienia jego w Padwie, ujrzeli wychodzące z nich gromady tak drobnych dzieci z wyłupionemi oczyma i pokaleczonych sromotnie, dość uprzytomnić sobie dalej żyjącego w dwa wieki później neapolitańskiego króla Ferrante, który zabalsamowane ciała swych zmarłych, często pomordowanych nieprzyjaciół, ciągle w pobliżu trzymał, aby się napawać ich widokiem. Ale i taki Ezzelino, o którym Burckhardt słusznie mówi, że mu nikt „w kolosalności zbrodni“ nie sprostał i król Ferrante był przecież czemsiś więcej, aniżeli prostymi okrutnikami z zawodu. To też Gianmarya Visconti ma się do nich tak, jak Caligula do Tyberyusza, albo nawet Nerona. Jest to przerażający typ zwyrodniałego tyrana, który we władzy widział tylko przywilej folgowania najdzikszym instynktom, a mianowicie nienasyconej, prawdziwie tygrysiej żądzy krwi. Kiedy naprawdę chciał rządzić, bywał równie śmieszny, jak okrutny; tak wiedy, gdy w czasie głodu, spowodowanego wojną, witający go na ulicach Medyolanu lud błagalnym okrzykiem: *Pace! pace!* rozsiekać kazał, a potem pod karą śmierci zabronił wszystkim używania słów *pace* i *guerra,* zmuszając nawet księży, aby zamiast: *Dona eis pacem,* odtąd: *Dona eis tranquillitatem* mówili. Zresztą zwyczajną jego rozrywką bywały szczególnego rodzaju łowy. Już dla jednego z jego poprzedników, Barnaby Visconti, polowanie było głównym państwowym celem: poddani dostar-

czać i utrzymywać musieli 5.000 psów, a najmniejsza niedbałość o to najdroższe pańskie dobro pociągała za sobą torturę i śmierć. Ale Barnaba polował tylko na dziki. Dla Gianmaryi ludzie byli zwierzyną. Najbliższy jego zausznik, Squarcia Giramo, osobną na te łowy wprawiał sforę, żywiąc ją ludzkiem mięsem. Nieraz gdy noc zapadła, wybiegał szalony książę z okrutnym sługą na ulice Medyolanu, ścigając i szczując psami przerażonych przechodniów. Skazanych za zbrodnie na śmierć w swoich oczach szczuć i psom rozszarpywać dawał, a gdy pospolitych winowajców zbrakło, oświadczył, że pomści śmierć matki, której sam był po części sprawcą, i potwornym łowom nowych jął dostarczać ofiar, między któremi było i kilku Viscontich. Opowiadają, że gdy skazany na taką śmierć dwunastoletni syn patrycyusza medyolańskiego, Jana de Posterla, padł na kolana, błagając o życie, ścigająca sfora stanęła, nie tykając chłopca; a kiedy dziki Squarcia kordelasem myśliwskim zarżnął dziecko, litościwsze od oprawcy psy i wtedy jeszcze krwi tej i młodego ciała dotknąć się nie chciały.

Łudził się najwierniejszy Viscontich sługa, Jakób dal Verme, że szatańską naturę młodego księcia poskromić i naprawić zdoła. To też gdy wszyscy kondottierowie z rzędu porzucali dwór medyolański, on jeden trwał dłużej na stanowisku opiekuna, aż wreszcie przestraszony wzrastającem szaleństwem wychowańca, może w obawie o własne życie, a chcąc tej przynajmniej zbrodni Gianmaryi oszczędzić, opuścił go także, przechodząc na żołd wenecki, gdzie niebawem w walce przeciwko Turkom zginął. Krótko sprawował opiekę następca jego, Carlo Malatesta, który siostrzenicę za księcia wydał, nie mogąc jednak i w ten sposób żadnego na nim wpływu zyskać, za przykładem innych odszedł. Ale przecież znalazł się taki, który pojął, że z szalonym panować nie można, lecz że go opanować trzeba i który czuł się po temu na siłach. W r. 1409 zjawił się nagle z wojskiem w Medyolanie stary Facino Cane i mimo oporu księcia, ujął władzę w silne żołnierskie dłonie, ratując, co się jeszcze ze schedy po Giangaleazzu ratować dało

i rozciągając wnet tę władzę i na hrabstwo Pawii, gdzie w zupełnej zależności od możnej rodziny Beccariów wzrastał młody Filip Marya. Mógł Facino łatwo sięgnąć po książęcą czapkę i stać się nietylko istotnym, ale i imiennym panem resztek dawnej Lombardyi. Ale że bezdzietny, nie miał komu panowania przekazać, i że w duszy jego tliły może jeszcze iskry dawnego przywiązania i uszanowania dla domu Viscontich, któremu służył od młodu, poprzestał na rzeczywistości władzy, nie pragnąc jej pozorów. To też pozory tylko zostawił książętom, którzy pod surową i skąpą jego strażą żyli niemal w ubóstwie. Trzy lata trwały te twarde rządy, kiedy z wiosną 1412 r. przy oblężeniu Brescii zaniemógł nagle i już umierający do Pawii nieść się kazał. Zadrżał Medyolan na wieść o jego chorobie w przewidywaniu, co się dziać będzie, gdyby się Gianmarya znowu władzy dorwał. Postanowiono wyprzedzić wypadki: pod przewodnictwem Biagiów, Trivulzich, Posterlów uknuty spisek wybuchł znienacka i dnia 16 maja padał książę, zasztyletowany na progu kościoła św. Gotarda, a lud chwytał równocześnie ohydnego Squarcię i nasyciwszy zemstę, rzucał jego trupa do kloaki miejskiej. Dogorywający w Pawii Facino Cane groził, że pomści śmierć syna swoich panów, ale widząc wkrótce, że się własny koniec zbliża, zwoływał swych pułkowników i nakazywał im przysięgać na wierność Filipowi Maryi. Za wyraźną wolą umierającego kondottiera pojął zaraz po jego zgonie dwudziestoletni Filip wdowę po nim, Beatricę di Tenda, która choć dwa razy od nowego małżonka starsza, wnosiła mu w wianie 400.000 dukatów i wszystkie zdobycze Facina, zadatek i rękojmię odnowienia przygasłego blasku domu Viscontich. W miesiąc potem wkraczał Filip Marya na czele swoich wojsk do Medyolanu i rozpoczynał walkę o Lombardyę, która rozćwiertowana w ostatnich lat dziesięciu, w dziesięciu następnych z wskrzeszeniem ambitnych zamiarów Giangaleazza, na zagładę Genui, postrach Florencyi i współzawodnictwo z Wenecyą, znów się zrosnąć miała.

Nie zrozumie łatwo dziejów włoskich, a w szczególności weneckich w pierwszej połowie XV stulecia, kto się nie zaznajomi wprzódy z tą najoryginalniejszą w poczcie ówczesnych tyranów postacią ostatniego z Viscontich. Okropne warunki dzieciństwa wyrobiły w starszym bracie owo okrucieństwo, które przypłacił życiem, w młodszym chytrość i obłudę, których miał być arcymistrzem. *Dissimulandi ingenio neminem illi parem fuisse legimus*, powiada żyjący na jego dworze Petrus Candidus Decembrius w życiorysie księcia [1], tym niezrównanym wizerunku, z którego poznajemy nietylko charakter, usposobienie, wady i zalety Filipa Maryi, ale dowiadujemy się także, jak wyglądał, jakie miał zwyczaje, a nawet jakie były jego rozrywki i gusta.

Żyjąc na schyłku średnich wieków, w chwili przełomu, łączy on w sobie właściwości różnych epok: przypomina Tyberyusza, kiedy mieszkając naprzemian w zamkach i willach rodzinnych, rozsianych po Lombardyi, lub w twierdzy medyolańskiej, Medyolanu samego zrazu rzadko, w ostatnich kilkunastu latach nigdy nie nawiedza; Ludwika XI, gdy przeplata wciąż nabożeństwo z astrologią, i błądząc po swych wspaniałych ogrodach odmawia psalmy, a towarzyszącemu dworzaninowi liczyć każe, ile ich odmówił, zaczem przechodzi na naradę z astrologami, którym rozstrzygać daje nietylko o dniu rozpoczęcia wojny, lub zawarcia pokoju, ale nawet o godzinach zajęć codziennych i powszednich. A przecież jest w nim już przedsmak macchiavellicznej ironii czy cynizmu, gdy n. p. do Eugeniusza IV pisze, że upadając pod brzemieniem grzechów i pragnąc zbawienia, duszę swą w opiekę mu oddaje, ale na uwagę papieża, żeby skruchę od zwrotu zagrabionych Stolicy Apostolskiej miast rozpoczął, odpowiada, że ciało swe wprawdzie mniej niż duszę miłuje, państwa swego dobro wszelako po nad dobro i ciała i duszy stawia.

[1] Petrus Candidus Decembrius: *Philippi Mariae Vicecomitis vita*. — *Rer. ital. script*. Muratori t. XX.

Z niebezpieczeństw, wśród których zeszły mu młode lata, wyniósł on przedewszystkiem uczucie jedno górujące nad innemi: uczucie trwogi. Bał się przyrodzonych i nadprzyrodzonych potęg i dlatego dom i państwo na straż własnej osoby zamienił. Truchlał, słuchając grzmotu, a więc w zamkach, w których przebywał, mieszkanie otaczał podwójną ścianą, aby zagłuszyć burze; drżał przed „samotnością i spokojem nocnym“, ztąd sypialnia jego pełna była zawsze sług, mających się cucić wzajemnie, lub czuwać z nim społem, kiedy godzinami przechadzał się po komnatach, aby odegnać sen i czekać świtu. Zamek i pokoje otaczał silną strażą, a w ogrodach hodował z ptaków te najchętniej, „które krzykiem zwiastują wszelki posłyszany szelest“. W oknach pod karą nikt stawać nie śmiał, aby na zewnątrz nie wydawano znaków; cały zaś szereg śledztw i badań przechodzić musiał, kto chciał mieć do niego przystęp. Stróżów swych wychowywał sobie sam od młodu w osobnej szkole dyskrecyi, wystawiając ich często dla poznania charakteru i usposobienia na najrozmaitsze pokusy duchowe i cielesne. Z tej przybocznej gwardyi, przypominającej dawnych pretoryanów, wybierał z kolei najbardziej zaufanych, których na przemian do niskich posług, lub do ważnych spraw państwowych używał i wynosił nieraz tak, że ich lud czcił „jakoby bogów“. A każdy z tych stróżów wielkich, czy małych, był znów osobnej poruczony straży, bo każdy z nich miał z urzędu niejako dodanego sobie szpiega, który baczył, czy obowiązek pełni jak należy. I tak n. p. gdy podczaszy próbował wino na stół pański, stał przy nim inny dworzanin i patrzał, czy próbuje rzetelnie. Na wzajemnem szpiegowaniu wśród otoczenia opierał w ten sposób książę własne bezpieczeństwo, a system ten dopełniał wzniecaniem dokoła ciągłych kłótni i waśni, ażeby wszystkie skargi i donosy do niego wracały. Przytem miał wyrafinowany zwyczaj sprzęgania zawsze dobrego ze złym w parze, „ażeby pierwszy nie mógł nazbyt na swej sprawiedliwości polegać, ani drugi bezprawia szerzyć“, ale żeby właśnie w ciągłej między sobą żyli roztercze.

Otoczywszy się tą strażą, jak murem, sam stał się surowym dozorcą własnej myśli, strzegąc, aby jej nikt dociec i poznać nie zdołał. To też każde uczucie objawiał na zewnątrz [illegible] wręcz odwrotnie [illegible], ganiąc tego, któremu chciał świadczyć dobrodziejstwa, chwaląc zaś, kogo miał skarcić. Łagodny pozornie w obejściu, nie wybuchający nigdy gniewem, który zdradzała tylko nabrzmiewająca na czole żyła, mścił się zawsze, ale nie doraźnie; zapisywał — jak mówił Decembrius — wszystko spokojnie w pamięci, aż później na innem miejscu i o innym czasie dokonywał zemsty. Okrucieństwo nie leżało przecież w jego naturze, chyba raz tylko, przy straceniu niewinnej, jak się zdaje, Beatriczy di Tenda [1], oskarżonej o wiarołomstwo; zresztą krwi rozlewać nie lubił. Ale za to w więzieniach nieprzyjaciół osadzał często i trzymał długo, ogłaszając ich nieraz za umarłych i wyprawiając nawet za nich żałobne nabożeństwa. Czasem także zbirom swoim za granicami państwa porywać kazał kogo sobie upatrzył i pokryjomu dostawiać do Medyolanu, gdzie z torturą prowadził śledztwo, aby tajemnicę państw ościennych zbadać, zaczem równie pocichu odstawiano i puszczano na wolność więźnia, który nie wiedział nawet, kto go porwał, gdzie był i przed kim świadczył.

Ale w tych skomplikowanych duszach średniowiecznych Włochów starczyło miejsca na wszystko. I tak ten pobożny a „najzabobonniejszy z ludzi", modlący się do świętych, a szukający w gwiazdach wskazówek na życie, czytający na przemian starożytnych autorów, lub Petrarkę i francuskie rycerskie romanse, sam ~~prawie odstraszająco~~ brzydki i zaniedbany, a lubiący wokoło siebie tylko twarze piękne, stroje jasne i barwne, samotny niemal jak pustelnik, a otaczający się przepychem, zamknięty w ponurym egoizmie, a puszczający n. p. z szlachetną wspaniałomyślnością wziętych w niewolę ~~więźniów~~ tej miary, co Alfons Arragoński i Carlo Ma-

[1] Decembrius stracenie Beatriczy pomija milczeniem, a o niej samej mówi tylko, że była *procax et avara*.

latesta, z lękliwością posuniętą do tchórzostwa, łączył żądzę władzy i ambicję, która go stawiała w rzędzie pierwszych ówczesnych mocarzy, jednała mu ich poszanowanie [1], a w nim samym budziła na nowo dumne marzenia ojca, Giangaleazza, o zdobyciu korony włoskiej, tak, że odcięty od świata, coraz chciwiej rękę na jego podbój wyciągał. I ten dziwny człowiek, dla którego śmierć była zmorą całego życia, który truchlał na myśl, „że kiedyś trzeba będzie nie być“ — *quod aliquando non esse necesse esset* — który ze strachu nie umiał żyć, bez strachu jednak potrafił umierać. Nagle w r. 1447, licząc dopiero 55 lat, ale „zmęczony wojnami i ślepotą“, zamykał dobrowolnie ranę w nodze, słał powiernika do jednego z kościołów medjolańskich, aby mu wyszukał grób, „po którymby wszyscy deptać mogli“ i odchodził spokojnie po rozwiązanie tej zagadki, przed którą drżał przez całe życie.

---

[1] Tak n. p. o Władysławie Warneńczyku pisze Decembrius: „Ladislaus, Poloniae rex, qui praeclaro illo in proelio contra Turcas pro fide pugnans in Graecia periit, contracta cum illo arctiori amicitia, cum tamquam patrem habuisset, legatis muneribusque praemissis, benevolentiam erga illum multis documentis testatus est“.

III.

Florencya, która już na początku XIV wieku uratowała Włochy od zagłady północnej i ściągnęła tem na siebie gniew Danta, marzącego o idealnem imperium z gorżką skargą po zawodzie, że cesarzowie pilnując tylko spraw niemieckich dozwalają, ażeby Włochy, „ten ogród cesarstwa, pustoszał", *che il giardin dell' imperio sia diserto*[1], która zresztą w skutek swego środkowego, więc na wszelkie niebezpieczeństwa narażonego położenia, najsilniej z wszystkich państw włoskich odczuwała potrzebę stałej między niemi równowagi, a z doświadczenia znała tradycyjną ambicyę rodu Viscontich, odgadła też najwcześniej, jaką groźbą dla niej samej i sąsiadów były plany Filipa Maryi. Wszelako w chwili stanowczej, a mianowicie kiedy Visconti w r. 1419 przygotowywał podbój Genuy, ulegli Florentczycy chwilowej pokusie, która wzięła górę nad słuszniejszą kalkulacyą polityczną: chcąc nabyć Livorno, jako uzupełnienie zdobytej niedawno Pizy, zamiast nieść pomoc Genueńczykom, zawarli z księciem pięcioletni traktat, na mocy którego rzeczki Magra i Tanaro miały być odtąd granicą końcem wszelkiej ingerencyi medyolańskiej na południu. Obwarowawszy się podobnem, tylko dłuższem, bo dziesięcioletniem przymierzem od strony Wenecyi, zajmował Visconti mimo dzielnej obrony ostatniego doży, Tomasza da Campo

---

[1]) *Purgatorio*, VI. 105.

Fregoso, Genuę, która naonczas, według pełnego wzgardy wyrażenia Macchiavella, „bez czci" — *inonorata* — zmieniała ciągle panów i przechodziła po krótkiej niepodległości z pod jednego jarzma, francuskiego, pod drugie, lombardzkie. Stojąc u szczytu potęgi, zwrócił teraz Filip Marya oczy ku Toskanii. Wbrew zobowiązaniom oddawał z kolei leżącą na południu od Magry Sarzanę na odszkodowanie i własność złożonemu z urzędu Tomaszowi da Campo Fregoso; posuwał swoje wojska ku Bolonii, niby na pomoc legatowi papieskiemu przeciw zbuntowanym Bentivogliom; wreszcie w r. 1423, korzystając z niesnasek w rodzie Ordelaffich, a z tytułu opieki nad nieletnim dziedzicem tego domu, Tibaldem, panem na Forli, osadził w tem mieście, w miejsce wypędzonej załogi florenckiej, swoją własną.

Mimo przestróg ostrożnego Jana Medyceusza chwycili Florentczycy od razu za broń i rozpoczęła się wojna, która wkrótce całe północne Włochy na długie lata zająć miała. Zwycięstwa wojsk książęcych pod Ponte a Ronco, Zagonarą, Rapallo, Anghiari, Faggiuolą znaczyły czarnym szlakiem dla Florencyi wszczęte ze zbyt silnym przeciwnikiem zapasy, a przerażenie jej dosięgło szczytu, gdy najtęższy jej wódz, uczeń i następca sławnego Braccia, Niccolo Piccinino, opuścił wojsko florenckie i przeszedł w służbę książęcą. Próżno zwracała się rzeczpospolita o ratunek najpierw do cesarza Zygmunta; zajęty wojnami hussyckiemi nie miał on ani czasu ani ochoty mięszać się czynnie w sprawy włoskie; papież Marcin V, oddawna zaprzyjaźniony z domem Viscontich, tak samo odmawiał poparcia. Zostawała Wenecya, do której jeździli z kolei w poselstwie najznakomitsi z obywateli florenckich, jak Rinaldo de Albizzi, potem Palla Strozzi i sam nawet Jan Medyceusz. Wysłańcom tym dodawała otuchy osobistość nowego doży, owego Francesca Foscari, który już za poprzedniego dogatu przedstawiał niejako opozycyę, okazywał się skłonnym do śmielszych przedsięwzięć i otwarcie sprzyjał Florencyi, tak wręcz różniącej się zresztą żywym charakterem, wybuchającą łatwiej namiętnością i bujniejszą wyobraźnią od spokojnej zawsze, zimnej i wyrachowanej na zewnątrz Wenecyi.

Ale właśnie tej jakoby skamieniałej tradycyi polityki weneckiej jeden człowiek, choćby na najwyższem stanowisku, wedle własnego tylko usposobienia zmienić z pewnością nie mógł, ani może zmienić próbował. To też mimo wymowy posłów, przedkładających, że niebezpieczeństwo grożące dziś Florencyi, jutro Wenecyi grozić może, że już Genua w ręku Viscontiego i prawdopodobny jej nowy rozkwit dla dawnej morskiej współzawodniczki dostateczną powinien być przestrogą, że chodzi wreszcie o wolność wspólną, której wspólnie bronić należy, nie wychodziła zrazu Wenecya ze zwykłej rezerwy, zajęta właśnie wojną z Turkami o Saloniki, nie widząca zresztą bezpośredniego własnego interesu w mięszaniu się w zatargi sąsiadów na stałym lądzie, a przedewszystkiem uspakajana ciągle i wstrzymywana przez Filipa Maryę, który pochlebnemi poselstwami usypiał jej czujność, zapewniając, iż „każde życzenie Signorii zawsze mu będzie prawem". I niemoc Florentczyków wzrastała z dniem każdym, zagłada ich zdawała się coraz bliższą, a Wenecya nie niosła pomocy, kiedy w lutym 1425 r. pojawił się w niej nagle niespodziewany gość, którego przybycie miało zmienić całkiem postać rzeczy.

Gościem tym był Francesco Bussoni, conte di Carmagnola. Syn ubogich wieśniaków czy pasterzy z małej, do margrabstwa Saluzzo należącej mieściny Carmagnola, której nazwisko ówczesnym zwyczajem żołnierskim przyjął, dał się on w chłopięcych jeszcze latach zaciągnąć w szeregi wojującego podówczas w Piemoncie Facina Cane. Doświadczony wódz poznał się wnet na niezwykłych zdolnościach wojskowych młodego chłopca, który bystrością, odwagą i przebiegłością szybko coraz większego nabierał znaczenia. To też gdziekolwiek ukazywał się ów *terribilis armorum dux*, jak współcześni kronikarze Facina nazywają, zawsze w pierwszym rzędzie walczył przy nim Carmagnola. A kiedy stary wojownik w r. 1412 umierał w Pawii, obok żony i skarbów oddawał on i polecał najgoręcej Filipowi Maryi wypróbowanego pułkownika, zaręczając, że on jeden zdoła w posłuszeństwie i wierności utrzymać mu wojsko.

Z wojskiem tem ruszył Carmagnola na podbój Lombardyi dla młodego swego pana. „W przeciągu dziesięciu lat — mówi Battistella w znakomitej biografii wielkiego condottiera — odzyskał on całą rozdartą schedę po Giangaleazzu; piorunem przerzucał się z jednej wojny na drugą, latał po zdobyczy jednego miasta na zdobycz innego, i to bez chwili wytchnienia, zawsze niezmordowany i zawsze równie szybki, odważny i zręczny, a mądrze wyzyskujący szczęście. Zdobycie z rzędu dwudziestu miast i niezliczonych twierdz i zamków, pokonanie tyluż [redacted] panów udzielnych, zajęcie szerokich ziem, a w nieprzerwanym szeregu zwycięstw zwalczanie upadających na przemian, to znów podnoszących głowy nieprzyjaciół, — wszystko to wygląda raczej na owoc długiego panowania, niż na prędkie dzieło jednego człowieka i robi wrażenie karkołomnego [redacted] pościgu, w któryby uwierzyć trudno, gdyby się nie miało rzeczywistych dowodów. Położenie i szczególne warunki tych miast i ludzi ułatwiały może poniekąd zadanie. Ale niemniej po czterech wiekach nie można się oprzeć zdumieniu, nie tyle ze względu na pokonanie trudności samych przez się, jak na tę błyskawiczną szybkość, z jaką pokonanemi zostały. A wtedy pojmuje się i dzieli chętnie podziw współczesnych". Podziw ten rośnie, gdy się zważy, że Carmagnola, zaczynając niemal z niczego, bo z małego tylko skrawka dawnej potęgi Viscontich, odtwarzał ją, bijąc kolejno znaczniejszych nieraz siłą i zasobami wszystkich prawie condottierów owych czasów, którzy dzierżyli rozszarpaną Lombardyę. W ten sposób stawał się pierwszym wodzem półwyspu, przed którym drżały zazdroszcząc go Medyolanowi inne państwa włoskie.

To też Filip Marya nie skąpił nagród. Najpierw nada[redacted] mu miejsce w radzie, potem naczelne dowództwo, hrabstwo Castelnuovo, pałac w Medyolanie i rozległe włości; z kolei ożenił go z krewniaczką swoją, wdową po Barbavarze, Antonią Visconti; wreszcie przyj[redacted]ał do własnego herbu i nazwiska, tak, że z ubogiego niegdyś pastuszka z okolic Saluzzo, stawał się wkrótce potężny na całą Lombardyę, a straszny dla państw sąsiednich *magnificus dominus Fran-*

ciscus de Vicecomitibus dictus Carmagnola, jak go współczesne dokumenty zowią.

Ale naturalnie z wzrostem łaski i nagród, wzrastała również ambicya szczęśliwego zwycięzcy. Trzebaby zajrzeć w duszę takiego kondottiera z XV wieku, żeby zrozumieć, ile tam dumnej żądzy rodziło się za każdem nowem powodzeniem i wypływającem zeń poczuciem własnej siły. Język włoski z tych czasów stworzył nie dające się przetłómaczyć słowo, które streszczało zadanie życia każdego z takich wodzów najemnych: *insignorirse*, stać się panem udzielnym, to był wspólny cel wszystkich tych wielkich awanturników szczęścia, do którego dążyli bezwzględnie i zawzięcie, często po trupach nie tylko nieprzyjaciół swoich, i stąd równie dla wrogów jak dla własnych panów straszni, niezbędne a najniebezpieczniejsze ich narzędzie, w służbie cudzej służący przedewszystkiem sobie i ścigający przez mordy i zdrady tę jedną prawie zawsze nadzieję, że się ich buławę zamieni kiedyś w berło. Już Facino Cane mawiał podobno, że męstwu i zręczności Carmagnoli zaufać można, ale że nie należy zbytkiem zaszczytów narowić i zaostrzać najbardziej nienasyconej z wszystkich, ambicyi chłopskiej; z wizerunków zaś kreślonych przez kronikarzy współczesnych widać zgodnie, że zacięty upór, niezmierna duma i gwałtowność wybuchająca w porywczych słowach, a nieraz nawet przechodząca w okrucieństwo, były główną jego charakteru cechą. To też rzecz naturalna, że między tym kondottierem, o którym Biondo mówi, że był *iracundiae impotens et ferocis ingenii*, a niezdradzającym nigdy tajników swej myśli, zawsze i we wszystkiem wyrachowanym i przebiegłym księciem, że między tą zbyt jawną i śmiałą pychą najemnika, a wielką, ale skrytą dumą pana musiał z czasem wybuchnąć konflikt.

Ostatnim dowodem łaski Filipa Maryi było zamianowanie Carmagnoli namiestnikiem Genuy. Ale i w tem szedł książę zwykłą sobie drogą: Liguryę zdobyli mu wspólnie Carmagnola i Torelli; żeby ich poróżnić, jeden miał tylko w jej zarządzie pozyskać nagrodę. A gdy po roku Carmagnola z największym trudem z niczego prawie stwarzał księciu flotę,

mającą walczyć przeciw Alfonsowi Arragońskiemu, którego gwiazda wschodząca budziła Viscontie[redacted] zazdrość, w ostatniej chwili nie Carmagnola, ale właśnie Torelli otrzymywał nad nią dowództwo. Po tym pierwszym zawodzie nast[redacted] wkrótce drugi: książę polecał Carmagnoli zaciągać wojsko, aby lądem uderzyć na Alfonsa i w tym celu ~~odbierał mu~~ zarząd Genuy, ale kiedy wojsko już było gotowe na tę nową wyprawę, ~~nadchodziła~~ nagle wieść, że Joanna Neapolitańska ze stronnictwem andegaweńskiem zwyciężyła i że Alfonsa już nie ma na półwyspie. Upadały tem samem zamiary Filipa Maryi, który nakaz[redacted]ał Carmagnoli ~~rozpuszczać~~ wojsko.

A tymczasem nieprzyjaciele zastawiali ze wszystkich stron sidła, żeby go zgubić w oczach coraz bardziej podejrzliwego księcia. Do nich zaliczali się [redacted] ci, których zwyciężył, albo dzieci tych, których stracić lub wygnać w czasie podboju Lombardyi kazał: więc niemal wszyscy [redacted] panowie lombardzcy, a dalej najbliższe otoczenie Viscontiego, jego dworzanie i doradcy, spoglądający z zazdrością na wpływ i znaczenie Carmagnoli. Na ich czele stał Oldrado Lampugnano, najpierw nauczyciel, później pierwszy podkomorzy książęcy, i Zanino Riccio, niegdyś towarzysz Carmagnoli we wspólnej u Facina służbie, następnie najbliższy faworyt i powiernik Filipa Maryi. Wszystkie żale lub żałoby, zawody lub zazdrości [redacted]chodziły w celach zemsty przez tych zaufanych do uszu księcia, który tak, jak [redacted] cesarz Hadryan, [redacted] chętnie słuchał „co mu o przyjaciołach szeptano“ — *quidquid de amicis insusurrabatur*. Przedstawiano mu więc [redacted] przywiązanie wojska do Carmagnoli, cześć, z jaką się lud cały przed nim korzył, bogactwa, jakiemi rozporządzał, a nieokiełznaną dumę, którą żywił; równocześnie zaś przypominano przykłady zbuntowanych przeciw swym panom condottierów, straszono blaskiem tej potęgi, przed którą nawet potęga Viscontich bladła i wreszcie samemże pokrewieństwem, którem się książę z nim związał, budząc tem najniebezpieczniejszą ~~może~~ ambicye.

Poznał wnet Carmagnola, że głosy te znajdują posłuch, że się odwraca od niego łaska księcia, który mu ~~przecież~~

wszystko zawdzięczał, nagle w jego gwałtownej duszy zbudziło się uczucie nowe: żądza zemsty. Ostatnim zresztą może, dopełniającym miary zawodem było przyjście na świat córki bezdzietnego dotychczas Filipa Maryi, a tem samem rozwianie się wszelkich marzeń i nadziei następstwa, oraz równoczesne pojawienie się na dworze medyolańskim młodego kondottiera, którego imię rozbrzmiewało już świetnie po całym półwyspie, a który teraz z neapolitańskiej przechodził w służbę lombardzką. Nie mógł Carmagnola oczywiście przewidzieć, że dziwnem zrządzeniem losu ten właśnie w chwili urodzenia ostatniej z Viscontich, Bianki, zjawiający się znienacka w Medyolanie młody wódz, zostanie kiedyś jej małżonkiem i że z nią wspólnie, [illegible], największą chyba potęgę rodową we Włoszech stworzy; ale oko wprawne wielkiego wojownika [illegible] musiało z pewnością zgadnąć, jaki mu nagle wyrastał w służbie książęcej współzawodnik w tym nowym przybyszu z południa, który się zwał Francesco Sforza.

Na koniec, jak opowiadają kroniki, otrzymał Carmagnola rozkaz, aby rozpuścić natychmiast pozostającą mu jeszcze ostatnią przyboczną gwardyę trzystu konnych. List za listem słał do Viscontiego, błagając, aby nie słuchał ludzi, którzy się tak wymownie na niego sprzysięgli i żeby mu nie odbierał zaufania i dowództwa! Na te listy przychodziły odpowiedzi wymijające, kręte, dwuznaczne, jak sama natura księcia, ale świadczące jasno o niełasce. Natenczas zażądał zwolnienia od służby, aby przejść na żołd inny, a gdy odpowiedź nie nadchodziła, w towarzystwie zaledwie kilku konnych ruszył do Abbiate Grasso, gdzie właśnie rezydował Visconti. Ale po raz pierwszy odmówiono mu wstępu, a gdy nastawał, polecono pogardliwie, żeby się rozmówił z którym z powierników książęcych. Zawrzał Carmagnola na tę obelgę gniewem i zwracając się do księcia, o którym z doświadczenia wiedział, że z ukrycia wszystkiego słucha, jął mu wyrzucać jego przewrotność, chytrość i obłudę, broniąc swej własnej sprawy i grożąc zemstą. Straż mająca go uwięzić nie śmiała podnieść ręki na wodza, pod którym tylekroć walczyła zwy-

cięsko, a on sam wypadłszy z zamku zacinał konia i miotając przekleństwa i groźby, z burzą w sercu opuszczał dwór niewdzięcznego pana.

Jeżeli zbyt rozmaite szczegóły, ~~podawane przez kronikarzy opisujących to zajście, budzą słusznie zdaniem Battistelli~~ niejakie wątpliwości w jego autentyczność, to przecież pewnem jest, że z końcem 1424 r. pałając gniewem rzucał Carmagnola służbę Viscontiego, a nie czując się dosyć bezpiecznym w lennych swoich dobrach w Oltrepo, ~~uchodził~~ wkrótce do rodzinnego miasta w margrabstwie Saluzzo. Mając ~~od razu~~ przed sobą cel wytknięty, badał z kolei usposobienie książąt i panów okolicznych i starał się ich nakłonić do wspólnej przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi walki. Margrabiemu Saluzzo, Ludwikowi, obiecywał ~~w zamian za lennictwo Carmagnoli~~ zdobycie, a raczej odzyskanie wszystkich włości, które jemu i jego ojcu zagrabiła z kolei rodzina Viscontich. Ale margrabia, zwany powszechnie *signore della pace*, odmawiał ostrożnie wszelkiej pomocy przeciw zbyt silnemu sąsiadowi. Wymawiali się tak samo Giangiacomo di Monferrato i przebiegły Amadeusz Sabaudzki; ten jednak pierwszy pono obrażonemu kondottierowi doradził, aby w Wenecyi, jako najbardziej zagrożonej wzrostem potęgi Filipa Maryi, przeciw niemu pomocy szukał. Z Ivrei ~~puszczał~~ się więc Carmagnola nad Adryatyk. Znając przecież dobrze naturę Viscontiego, wiedząc, że go z pewnością ciągle szpiegować, podstępem lub przemocą chwytać każe, że może nawet na życie nastawać będzie, w przebraniu i z małą garstką kilkudziesięciu zaledwie jeźdźców oddalał się od granic Lombardyi i przez Trento, Feltre, Treviso chyłkiem zdążał ku lagunom. Bez przeczucia straszniejszej tragedyi, jaka go tam czekała, stawał 23 lutego 1425 r. w Wenecyi i oddawał się na usługi Rzeczypospolitej ze ~~swą~~ krzywdą, gniewem i pragnieniem zemsty.

Signoria przyjmowała go ze czcią, należną wodzowi tej miary i sławy. Ale charakter Filipa Maryi, jego chytrość powszechnie znana, nakazywała każdemu a cóż dopiero zawsze przezornej i ostrożnej Wenecyi mieć się na baczności i zbadać wprzódy, czy się i pod tem nie kryje jaka nowa

intryga i podstęp książęcy. Z niedowierzaniem wdano się więc ze znakomitym przybyszem, zbyt wygórowane stawiającym warunki, w targi, odmawiano mu naczelnego dowództwa nad wojskami Rzeczypospolitej, o które prosił, dozwolono jednak złożyć przysięgę wierności i już w służbie weneckiej ruszył Carmagnola po kilku dniach na czele niezbyt znacznej wielkiej siły zbrojnej do przekazanego mu na rezydencyę Treviso. Ale wyjeżdżał gniewny, bo z dawnej swej ojczyzny odbierał nowiny, że książę zagrabił jego dobra i włości, a żonę i dzieci, choć nie więził, to przecież jako zakładników trzymał; tu zaś, w nowej ojczyźnie, jakżeby ścigany przekleństwem zdradliwej natury dawnego pana, nie zdołał dostatecznej wzbudzić w siebie wiary. Przecież pomódz mu miały losy i przerachowanie się księcia we własnej intrydze, bo wkrótce zaszedł w Treviso fakt, który musiał stanowczo rozwiać wszelką względem niego nieufność weneckiego rządu.

Mieszkał tam podówczas krewny Filipa Maryi, wygnany przez niego z Medyolanu za udział w spisku rodzinnym, niejaki Giovanni Aliprandi. Szpiegowaniem Rzeczypospolitej na korzyść księcia starał się on już od lat kilku pozyskać na nowo jego łaskę, a przybycie Carmagnoli nadawało mu nową i ważniejszą do tych posług sposobność. Jakoż podesta trewisański, Niccolo Priuli, zauważył wkrótce, że coraz częściej goście z Lombardyi jęli się pojawiać w Treviso; jedni przybywali rzekomo na zakupno psów gończych na łowy książęce, innych pozornie inne ściągały interesa, ale wszyscy stykali się zawsze z podejrzanym już oddawna władzom weneckim Aliprandim. Przestrzeżona przez Priulego Signoria ruch ten pilnie śledzić nakazywała, gdy zaś Carmagnola właśnie zachorował, a Foscari słał mu uczonych medyków padewskich, odkrył nagle Priuli, że sprzysiężeni lombardzcy chcą z tej sposobności skorzystać, aby Carmagnolę otruć. Przybycie równoczesne do Treviso jednego z najbliższych zauszników księcia, Gerarda da Ruberia, było nieomylną wskazówką, w czyjem ręku schodziły się nici uknutego na życie Carmagnoli spisku.

Non est quod Neapoli quam humana vita minoris vendatur — „nie ma nic tańszego w Neapolu, niż życie człowieka“, mówi trochę później jeden z historyków włoskich; a jeżeli szczególnie na południu morderstwo polityczne było powszednim wypadkiem, to i w północnych państwach półwyspu, choć rzadsze, zaliczało się przecież także do znanych i uznanych środków rządzenia. Że i mniej do mordu skory Filip Marja tym razem tego środka spróbować zechciał, dowodzi tylko, jakim postrachem był dla niego Carmagnola w służbie weneckiej. Ale przewrotność jego rozbiła się o czujność i ową tradycyjną, tak na umysły działającą „wszechwiedzę“ Rzeczypospolitej: nasłanych trucicieli schwytano, zanim jeszcze zdołali dokonać zbrodni, a choć na wyraźny rozkaz senatu nie wymieniano w wytoczonym im procesie nazwiska księcia, wiadomem było powszechnie, kto ich nasłał i czyjem byli narzędziem. Kiedy w grudniu tegoż roku poraz czwarty posłowie florenccy przybywali błagać Signorię o pomoc przeciw Viscontiemu, mógł Carmagnola śmiało i rozstrzygająco poprzeć ich prośbę: torturą i rusztowaniem okupili mu Aliprandi i Ruberia zaufanie Wenecji.

IV.

W imieniu Florencyi przemawiał do senatu weneckiego Marcello Strozzi. „Ogołociliśmy się ze wszystkiego — wołał — aby się Viscontiemu oprzeć; po całych Włoszech rozprószyły się klejnoty naszych żon i córek, bo sprzedaliśmy wszystko, żeby się uzbroić na wojnę. Koszta jej wynoszą już przeszło dwa miliony złotych dukatów, a sprzedaż całej Florencyi nie byłaby nam chyba takiej ceny przyniosła. Ale po naszej zagładzie, na was przyjdzie kolej i ku wam się ta burza zwróci. Więc jeżeli wam owa wolność, którą się miasto wasze szczyci, droga, póki czas, póki nam jeszcze sił i męstwa, a wam tej wolności starczy, łączcie się z wolnymi". — Słowami pełnemi pochlebstw i słodyczy uspakajali natomiast umysły senatorów wysłannicy książęcy, Lampugnano i Vilmercato, powołując się na starą przyjaźń Viscontich z Wenecyą, na długoletni pokój mimo bezpośredniego sąsiedztwa, wreszcie na traktat dziesięcioletni, niedawno między obu państwami zawarty, ~~a niedobiegający~~ jeszcze kresu. Ale zręczne ich, łatwo do przekonania ostrożnych senatorów trafiające wywody, odpierał z ogniem wprowadzony z kolei na rozkaz doży do sali obrad Carmagnola. W gniewnych słowach kreślił on wizerunek dawnego swego pana. Znając dobrze tajniki duszy i wszystkie wykręty przebiegłej Viscontiego polityki, wyjawiał teraz ciągłe jego podstępy i zdrady, wieczną obłudę i chytrość, przypominał ambicyę, niepokojącą wszystkich a niezaspokojoną nigdy,

opowiadał wreszcie o pustkach w skarbie medyolańskim, o szemrzącym coraz głośniej pod ciężarem twardych podatków ludzie, o wzrastającem niezadowoleniu i nienawiści poddanych ~~dla~~ osoby księcia, który zamknięty w swych rozkosznych ogrodach, radził z podłymi zausznikami o przyszłych rozrywkach i zabawach, wzbraniając przystępu do siebie nawet tym, którzy w znoju i trudzie wygrywali dla niego bitwy i którym wszystko zawdzięczał. „Teraz — kończył — więzi mi żonę i dzieci jako zakładników i dlatego ~~zdaje mu się~~, że ma jeszcze moc i władzę nademną, że jest jeszcze moim panem. Ale dla mnie ojczyzna jest tam, gdzie się wolnym czuję. To miasto, które ludziom wszystkich narodów i wyznań tak ~~szczodrze~~ udziela przytułku, nie odmówi go przecież Carmagnoli. I ja przybywam do was z rzemiosłem, a rzemiosłem tem jest wojna. Dajcie mi oręż do ręki, a zobaczycie, czy was obronić, a siebie pomścić zdołam“.

Skorzystał Foscari z zagrzania umysłów namiętnem słowem Carmagnoli, żeby przechylić szalę na stronę wojny: „Wspierajmy — zawołał — Florentczyków, póki ich Bóg wspiera! Niechaj świat pozna, że przyjaciół i sprzymierzeńców mamy tam, gdzie jest gotowość ofiary za wolność. Gdziekolwiek wolności tej sztandar powiewa, niechaj tam powtarzają imię Wenecyi“. Dnia 3 grudnia 1425 r. ~~zawierała~~ Signoria przymierze z Florencyą, do którego przystępowali z biegiem czasu dzielny Gianfrancesco Gonzaga, pan na Mantui, margrabia Ferraryjski, Amadeusz Sabaudzki i Alfons Arragoński, a 15 lutego następnej wiosny wśród bicia dzwonów i okrzyków zebranego na placu ludu, wręczył uroczyście doża Carmagnoli, mianowanemu naczelnym wodzem wojsk Rzeczypospolitej, wojenną ~~chorągiew~~ św. Marka.

Dla dumnego kondottiera zaczynał się tedy okres nowy, okres czynnej zemsty za doznane od księcia krzywdy. Wszystko zdawało mu się sprzyjać. Wenecya nie dla samego niebezpieczeństwa Florencyi, ani dla położenia tamy zaborczej polityce Viscontiego, wmięszała się w wojnę. Rosnąca potęga turecka, napierająca ze wschodu, pchała ją siłą rzeczy coraz bardziej ku zachodowi. Włości jej na morzu Śródziem-

nem przemieniały się zwolna w zwykłe banki i stacye kupieckie, a Adryatyk i ląd włoski stawał się głównym przedmiotem ciężkości, celem nowej jej polityki. Teraz nęcił ją przedewszystkiem podbój sąsiedniej Brescii, a właśnie tam rządził z ramienia Viscontiego najbardziej znienawidzony przez Carmagnolę wróg, ów Oldrado Lampugnano, którego chytre podszepty wyzuły go z łaski książęcej. Zresztą Brescię znał Carmagnola na wylot, zdobywszy ją już wprzódy dla Filipa Maryi na Pandolfie Malatesta, który ją był sobie po śmierci Giangaleazza przywłaszczył. W owych jeszcze czasach nawiązał był nowy naczelny wódz wenecki ścisłe stosunki z bresciańskimi Gwelfami, którzy teraz na wstępie kampanii i prawie bez oporu otworzyli mu bramy dolnego miasta. Zdobywanie wyżej położonych twierdz, do których wkradały się kolejno wojska książęce pod wodzą Piccinina i Francesca Sforzy, codzienne niemal z nimi utarczki, porywanie dostawianych oblężonym żywności, okopywanie miasta głębokim rowem przez Mikołaja da Tolentino, wodza wojsk florenckich, wreszcie w pięciokrotnym odstępie kapitulacya pojedynczych fortów i poddanie się całej Brescii, wypełniły pierwszy rok wojny.

Z dumą mógł Carmagnola na ten szereg powodzeń spoglądać. Sława jego wojenna zajaśniała nowym blaskiem: zdobycie Brescii w owej epoce i z ówczesnym sposobem wojowania, a bronionej nadto przez wszystkie siły Viscontiego, było czynem „zdumiewającym“ — *una espugnazione mirabile* — jak jeszcze w sto lat później świadczy Macchiavelli. Lampugnano musiał składać przed nim broń i uchodzić z miasta, którego zarząd wraz z łaską książęcą utracił. Torelli wreszcie, którego Filip Marya chciał ponad Carmagnolę wywyższyć, sprowadzony teraz z pośpiechem z Romanii pod mury Brescii, nieśmiał groźnemu dowódzcy wojsk weneckich stawić czoła.

Ale najbardziej miłości własnej obrażonego condottiera pochlebiać musiał ów strach, który on, do niedawna jeszcze zbieg i tułacz, teraz wódz naczelny potężnej rzeczypospolitej wzbudzał w Viscontim. Na wszystkie strony rozsyłał książę listy

i poselstwa, żebrząc pomocy lub pośrednictwa. Ażeby uszczuplić zastęp sprzymierzonych wrogów, zawierał osobny pokój z Alfonsem Arragońskim, przyznając mu Lerici i Porto Venere na Korsyce; cesarza zaklinał, aby przybywał na pogrom Wenecyi, przypominał mu dawny jej antagonizm z Węgrami, prosił, żeby, jeżeli sam przybyć nie może, słał przynajmniej do Włoch żyjącego na jego dworze ostatniego ze Scaligerów, Brunora, któryby zbuntował przeciw Wenecyanom dziedziczną swoją Weronę. Gdy zaś Zygmunt z przybyciem zwlekał i wymawiał się nową wojną turecką, osobne poselstwo Viscontiego docierało aż do sułtana, aby go nakłaniać do zgody z cesarzem. Nawet Florentczyków starał się Filip Marya oderwać, zawsze za pośrednictwem cesarskiem, od ligi, byle tylko izolować najniebezpieczniejszego nieprzyjaciela, Wenecyę. A gdy zewsząd odmowne przychodziły odpowiedzi, gdy wszystkie wysiłki pełzły z kolei na niczem, gdy cesarz nie dbał i nadal „o opustoszały ogród cesarstwa“, a Wenecya coraz groźniej napierała, niespodziewanym skokiem, właściwym zresztą tej zmiennej, hardej lub uniżającej się naprzemian naturze, zwrócił się książę nagle o rozjemstwo w stronę inną, wprost do Carmagnoli.

I tu zaraz na wstępie tych wojen zaczyna się owa dziwna gra przebiegłego księcia z condottierami Wenecyi, gra pełna dwuznaczników i wykrętów, pochlebstwa i przynęty, istna zabawa potężnego kusiciela, znającego na wskróś czasów swoich ducha i ludzi z tych czasów dusze, — gra ciągnąca się długo ze zdumiewającą nieraz cierpliwością gracza, choć tak trudna, bo skierowana przeciw najczujniejszemu z państw, a prowadzona z ludźmi tej miary co Carmagnola i Sforza, z których pierwszy rusztowanie, drugi tron miał w niej wygrać.

Carmagnola zrazu i przez lat kilka o wszystkich listach i poselstwach księcia zawiadamiał natychmiast senat; kiedy i w której właśnie chwili zawiadamiać go przestał, tego dociec trudno. Przy pierwszej zaraz sposobności, gdy go książę w maju 1426 r. o nakłonienie Wenecyi do zawarcia pokoju prosił, zapytany o zdanie senat odpowiadał, że słowom i obiet-

nicom Filipa Maryi nie daje wprawdzie wiary, ale że rad jest, iż się Visconti zgłasza z tem do męża, któremu Signoria ufa, jak sobie samej; dostojny wódz ma przecież baczyć, czy się pod tem nie kryje jaka zdradliwa, na drogą jego osobę skierowana zasadzka. Ten ton znamienny, ostrzegający, namawiający nawet nieraz wprost do nieprzyjmowania wysłańców książęcych, ale zawsze ostrożny, oględny, bardziej do rady niż do nakazu lub zakazu podobny, a unikający i cienia niezaufania, przebija we wszystkich orędziach senatu do Carmagnoli, a cechuje wymownie ów nieszczery bądź co bądź stosunek między ówczesnymi kondottierami, a trzymającem ich na swym żołdzie państwem. Najcharakterystyczniej brzmi on może w owym liście Foscarego do Pawła Trona i Stefana Contariniego, proveditorów Rzeczypospolitej w Brescyi, kiedy po zawarciu w grudniu 1426 r. za pośrednictwem papieskiem pokoju między Viscontim a ligą, chciał Carmagnola sprowadzać z Medyolanu żonę i dzieci, które mu książę wedle warunków pokojowych miał wydać. Doża radzi Carmagnoli, ażeby ten, którego po rodzinę wysłać zamierza, nie składał żadnych „polecających się oświadczeń" księciu — *nullo modo utatur verbis recommendationis versus ducem* — ale żeby stając przed Viscontim oświadczył tylko, po co przybywa i zlecenie spełnił; a tak samo ma się zachować Carmagnola, gdyby książę ze swej strony przysyłał do niego „po konie lub psy, w których się lubuje".

Ale na razie wszystkie te obawy były płonne: krzywda była za świeża, a miara zemsty jeszcze niedostateczna, ażeby Carmagnola już się chciał pogodzić z dawnym swoim panem. To też gdy na wiosnę 1427 r. Visconti ociągał się z wydaniem Wenecyanom zagwarantowanych im pokojem twierdz z okolic Brescyi, Carmagnola za nowym wybuchem wojny, chętnie znów stawał na czele wojsk Rzeczypospolitej. Będąc już w posiadaniu Brescyi i zasmakowawszy w zdobyczach, chciała teraz Wenecya nabyć Bergamo i Cremonę.

Wojna ta ściągnęła księcia po raz pierwszy i jedyny w życiu do obozu. W lecie przybywał do Cremony, którą liga oblegać miała, a wodzowie jego, chcąc się przed oczami pana

odznaczyć, wszczynali 12 lipca z Carmagnolą bitwę. Ale straszna tego lata susza za pierwszem zaraz zetknięciem się wojsk udaremniła starcie. Tumany kurzu wzbijające się zewsząd na każdym ruchem pieszych i konnych, zakryły wnet obie armie; na kilka kroków nie rozpoznawano swoich od przeciwników; powstał zamęt, a gdy zatrąbiono do odwrotu, splątane ze sobą wojska ledwie się rozplątać mogły. Sam Carmagnola, a z nim Gonzaga znaleźli się podobno nagle w obozie medyolańskim, a Sforza w weneckim. Tylko oślepiające chmury kurzawy wyratowały ich z niebezpieczeństwa, zasłaniając odwrót.

Po tej nierozegranej bitwie wracał książę co tchu do Medyolanu, strwożony nową wieścią, że Amadeusz Sabaudzki wkroczył z wojskiem w granice Lombardyi. Starym swym jednak zwyczajem, bojąc się miru i wzięcia własnych condottierów, dzielił przed odjazdem z Cremony pomiędzy nich w równej mierze komendę, aby w ten sposób współzawodnictwem i zazdrością paraliżować poszczególne ambicye. Celu tego dopiąć nie było trudno; między Torellim, Angelem della Pergola, Piccininem i Sforzą wybuchały wnet poważne niesnaski; ale nieprzyjaciel tak z nich zręcznie korzystał i takie robił postępy, że Visconti wkrótce zmieniał taktykę i ponad nich wszystkich stawiał Carla Malatestę z Pesaro, w nadziei, że dostojny ród i wysokie położenie nowego wodza potrafią skłóconych między sobą condottierów utrzymać w ryzie. Z niedoświadczenia młodego Malatesty korzystał natychmiast Carmagnola i osadziwszy się w bezpiecznem stanowisku pod wioską Maclodio, otoczoną zewsząd zaschłemi bagnami, zwabiał nieprzyjaciela w zasadzkę; ciężkie wojsko lombardzkie grzęzło w trzęsawiskach, a z wszystkich stron opasywały je ścieśniającym się pierścieniem zastępy weneckie. Choć bitwa była, jak często w owych czasach, gdzie przedewszystkiem chodziło o powalenie i ubezwładnienie ciężko opancerzonych rycerzy, prawie bezkrwawa, tak że ją Bilia *senza lagrime* nazywa, to niemniej klęska Viscontiego była zupełna; inni jego wodzowie zaledwie zdołali się salwować ucieczką; zresztą z dziesięć tysięcy ludzi, a więc

prawie całą armię książęcą i samego Malatestę, ~~brał~~ Carmagnola w niewolę.

Opowiadają ~~niemal wszyscy kronikarze współcześni~~, że następującej po bitwie nocy żołnierze Carmagnoli ~~[illegible]~~ prawie wszystkich jeńców na wolność; nazajutrz komisarze weneccy, zgorszeni tak lekkomyślnem marnowaniem korzyści zwycięstwa, jęli wodzowi gorzkie czynić wyrzuty; wtedy Carmagnola przywołać ~~rozkazał~~ przed swój namiot resztę ~~więźniów~~ ~~trzymanych~~ jeszcze w obozie i darzył ich w obecności proveditorów senatu wolnością, zapewniając dumnie, że się nie da ~~wyprzedzić~~ swoim ludziom w szlachetności, którą okazali bratniemu żołnierstwu. Od tej chwili, dodają owe ~~kroniki~~, stracić ~~miał~~ Carmagnola zaufanie Signorii: tu się miał zacząć ~~rzekomo~~ ów dramat, rozegrany w kilka lat później w Wenecyi.

~~Opowieść o tem zajściu i o takich właśnie jego skutkach zdaje się być mylną.~~ Puszczanie na wolność natychmiastowe wziętych w niewolę nieprzyjaciół, po poprzedniem ich ~~oczywiście~~ rozbrojeniu, było w owych czasach jeżeli nie regułą, to z pewnością ~~zawsze prawie~~ zwyczajem. Między temi najemnemi hordami, wałęsającemi się po całych Włoszech, w ciągłej niemal zmianie żołdu i panów, wyrobiło się pewne tajemnicze braterstwo, jakaś ukryta i cicha spójnia, która im sobie nawzajem pomagać kazała. Jedyną racyą, jedynym warunkiem bytu tych ludzi była wojna; żołdowi zawdzięczali chleb powszedni, łupom wojennym ~~nieraz i~~ bogactwo. To też nieprzerwalność wojny była wspólnym celem prostego żołnierza i potężnego kondottiera; pierwszy z niej żył, drugi tylko na niej i przez nią wzrastał; obaj więc unikali wszystkiego, co przerywało jej ciągłość, a więc i przytrzymywania ~~więźniów~~. Z innej znów strony wojny te, polegające głównie na pustoszeniu kraju, tą właśnie swoją cechą utrudniały niemało wyżywienie wojska. Głód był najczęstszą, a najgroźniejszą żołnierza ówczesnego plagą; opowiadają, że ciężka konnica Sforzy żyła raz przez trzy dni w spustoszonej Umbryi zbieranemi w górach jagodami. Nic więc dziwnego, że się żołnierz bał jeńca, którego żywić musiał. ~~Gdyby był~~ za-

tem Carmagnola wziętych w niewolę książęcych ludzi z niewoli wypuścił, byłby poszedł tylko utartym zwyczajem swych czasów, a nie byłby zadziwił senatu, ani się naraził Signorii, znającej warunki condotty, wedle której więźniem wojennym mógł condottiere rozporządzać do woli. Ale Battistella, w gruntownej swej biografii Carmagnoli zwraca jeszcze i na to uwagę, że w zawartym po tej właśnie wojnie pokoju, osobno i wyraźnie gwarantowano sobie obustronne wydanie jeńców: dowód to najlepszy, że aż do skończenia wojny trzymano ich w niewoli.

Pokój ten zawierano w kwietniu 1428 r. w Ferrarze. Pośredniczył znów z ramienia papieża kardynał Albergati a Santa Croce. Wszyscy prawie do złożenia broni byli skłonni. Długa wojna zrujnowała Florencyę, Mantuę, Ferrarę; Visconti, acz zdołał oderwać od ligi zawsze chwiejnego Amadeusza Sabaudzkiego, którego córkę Maryę poślubił, nie czuł się przecież na siłach, aby na razie dalszą prowadzić wojnę. Przytem stracił właśnie jednego z najdzielniejszych swych wodzów, bo stary Angelo della Pergola umierał nagle w Bergamo, a równocześnie prawie zabierała mu śmierć najbliższego powiernika, Zanina Riccia. Do tego zawody ze strony cesarza, którego pomocy próżno wyczekiwał, skłaniały go do odroczenia na inne, późniejsze czasy, upragnionej zemsty na Wenecyi. Ale właśnie Wenecyanie, korzystając z powszechnego zniechęcenia, najtwardsze stawiali warunki, i gdy Florencya, wydawszy trzy i pół miliona dukatów na wojnę, musiała się teraz zadawalniać pustą obietnicą Filipa Maryi, że się do spraw toskańskich mięszać nie będzie, Wenecya posuwała swą granicę aż po Addę, dołączając do nabytej już Brescii, Bergamo i część ziem kremońskich. *Stato e grandezza* — mówi z goryczą Macchiavelli — były nagrodą Wenecyi, *povertà e disunione* Florencyi.

Ale najwięcej nagród dla siebie i swej miłości własnej zbierał Carmagnola: książę pobity i upokorzony coraz to częściej, coraz natarczywiej, jak człowiek, który przeprasza i prosi, wprost się do niego w ciągu tych lat odzywał, oddawał mu rodzinę, a teraz zwracał wolne od lenna dobra

lombardzkie, wreszcie zwolnił go od wszelkich kar i znosił wszystkie na niego ferowane wyroki. Z nieprzyjaciół lub współzawodników jedni, jak Riccio lub Pergola legli w grobie, drudzy, jak Lampugnano lub Sforza żyli w niełasce, wszyscy przez niego zwyciężeni. Florencya zwała go *perfecto e cordiale fratello e amico,* a Wenecya, choć Signoria miała już może żal, że walnego zwycięztwa pod Maclodio nie zakończył pochodem na Medyolan, przesadzała się przecież w objawach czci i wdzięczności: żonę jego przyjmowano z królewskiemi prawie honorami i sama dogaressa z orszakiem pań weneckich płynęła na jej spotkanie; nadawano mu pałac po Pandolfie Malatesta na lagunach i rozległe włości pod Brescyą; nazwisko jego błyszczało wreszcie w regestrze Złotej Księgi, zaszczyt, o który się nieraz monarchowie ubiegali na próżno. A kiedy 24 maja 1428 r. odnosił na czele kondottierów ligi chorągiew wojenną — *la bandiera di Messere San Marco* — i inne na nieprzyjaciołach zdobyte sztandary przed ołtarz Ewangelisty, cała Wenecya towarzyszyła mu w uroczystej procesyi.

Zemścił się, urósł jeszcze i gwiazda jego stała teraz u zenitu; ale od tej chwili miała już gasnąć i chylić się ku krwawemu zachodowi.

V.

Male tuta, insidiosa et plena periculis pax — niepewny, zdradliwy i najeżony niebezpieczeństwami był ten w 1428 r. zawarty pokój, jak go sam książę w listach do posła swego na dworze cesarskim nazywał. Niebezpieczeństwa te groziły ze strony Wenecyi, tłumiącej niechętnie od ostatnich powodzeń zaborcze swoje żądze, Florencyi, zawsze przedsiębiorczej, ruchliwej, namiętnej, a do tego tracącej coraz częściej równowagę pod wpływem wewnętrznych sporów Medyceuszów i Albizzich a wreszcie i przedewszystkiem ze strony Filipa Maryi i nieustających jego intryg. Posyłając sobie nawzajem poselstwa z zapewnieniami ~~nieszczerej~~ przyjaźni, starali się wciąż jedni usypiać czujność i rozwiewać nieufność drugich. Ale na próżno, bo strony poznały się w ciągu lat ostatnich tak dokładnie, że teraz już nikt nikomu nie wierzył. W poczuciu tem, a w przewidywaniu rychłej nowej wojny, starał się więc Visconti przedewszystkiem zjednać sobie Carmagnolę. Chwilę ~~znalazł~~ odpowiednią, bo miara własnego upokorzenia była mu rękojmią, że obrażony niegdyś condottiere ~~mógłby~~ musiał już dostatecznie nasycić swą zemstę. To też coraz częściej odbierał tenże pisma książęce: ~~dotyczyły one spraw politycznych~~, zawierały żądania wyjaśnień, lub niosły usprawiedliwienie względem częstych a obustronnych naruszeń ostatnich pokojowych układów; głównie miały jednak na celu utrzymanie ciągłej oso-

bistej z Carmagnolą styczności, były poprostu chytrem a zręcznem obłaskawianiem zbuntowanej jego duszy.

Niechętnie spoglądał senat wenecki, zawiadamiany przecież o wszystkiem przez swego wodza, na te łagodniejące zwolna stosunki między nim a księciem. Niechęć ta przemieniła się wkrótce w niepokój wobec dobiegającej właśnie kresu swego służby Carmagnoli, a już wprost w przestrach, kiedy w terminie samym nadchodziła od niego z Brescji, gdzie od zawarcia pokoju stał z wojskiem, prośba o zwolnienie ze służby. Jasnem było, że Carmagnola nie rzuca weneckiego żołdu, aby porzucić razem i zawód. W Rzymie i Neapolu panował względny spokój; Florencya nie mogła w tej chwili tak kosztownego zamawiać najemnika, a zresztą miała swych własnych kondottierów. Zostawał więc jeden Visconti, któremu tak wiele na tem zależeć musiało, żeby na wszelki wypadek pozbawić ligę wodza tej miary i nareszcie go dla siebie odzyskać. Zrozumiał to odrazu senat i bez wahania odmówił prośbie Carmagnoli, rozpoczynając z nim natychmiast układy o nowy kontrakt. Targi trwały długo, aż w końcu nader korzystne warunki skłoniły Carmagnolę do pozostania w służbie Rzeczypospolitej. Nagradzano go obiecanem już wprzódy hrabstwem Chiari pod Brescią, niosącem 6.000 dukatów rocznie, i w trzecią niedzielę postu 1429 r. na przystrojonym odświętnie placu Św. Marka nadawał mu doża po wysłuchaniu mszy do Ducha św, dawno upragnione lenno.

Opowiadają, że w czasie tej uroczystości przeciskał się z mozołem przez strojne tłumy ludu i błyszczące od złota zastępy patrycyuszów ubogo przybrany starzec, wpatrujący się z zachwytem w twarz Carmagnoli. Był to Bartłomiej Bussoni, ojciec wielkiego condottiera, przybyły z dalekiego Piemontu, aby się przyjrzeć tryumfowi syna. Rozrzewniony Carmagnola poznawszy ojca, brał go w ramiona i ze łzami witał, a gdy po skończonej ceremonii doża i patrycyusze odprowadzali nowego lennika Rzeczypospolitej na wspaniale przystrojonej łodzi do pałacu jego na Canal Grande, stary ojciec wśród dostojnego orszaku na pierwszem zasiadał miejscu.

Ponownie więc na żołdzie weneckim wracał Carmagnola do Brescji, gdzie mu stałą wyznaczono kwaterę, bo był to właśnie najbardziej na wszelkie niespodzianki i niebezpieczeństwa od strony Lombardyi wystawiony posterunek, a odpowiadało zresztą dawnemu zwyczajowi ostrożnej Signorii, aby nie trzymać nigdy wojsk w obrębie obwarowanej już i tak przeciw zewnętrznym nieprzyjaciołom samem swojem położeniem Wenecyi.

Niebawem też nowe chmury zjawiły się na horyzoncie. Z jednej strony przychodziło do starcia między Marcinem V a Bolonją, z drugiej słała Florencya swoje wojska pod wodzą siostrzeńca sławnego Braccia da Montone, Fortebraccia, naprzód na poskromienie zbuntowanej wskutek zaprowadzenia podatku katastralnego Volterry, a następnie ztamtąd na zdobycie Lukki. Rządzący od lat trzydziestu Lukką, Paweł Guinigi, któremu przez ciąg długiego panowania udawało się zawsze trzymać ze swem małem państwem zdala od wszelkiej wojny, zwracał się w tej potrzebie do Viscontiego; książę jawnej pomocy odmówił, ale głosząc powszechnie, że Sforza opuszcza jego służbę i przechodzi na żołd neapolitański, wyprawił go na odsiecz Lukki. Sforza i Piccinino, ten ostatni także pozornie nie w imieniu księcia, tylko z ramienia Genuy, wkraczali z kolei do Toskanii i bili wojska Florencyi. Błagalne prośby Florentczyków o pomoc, a równoczesne prawie odkrycie nowego zamachu Filipa Maryi chcącego, wbrew warunkom pokoju, zająć kilka fortec brescjańskich, przyspieszały decyzyę Wenecyi, która z wiosną 1431 r. rozpoczynała nową wojnę z Medyolanem. Po nabyciu Brescji i Bergamo w poprzednich walkach z Viscontim, zdobycie Cremony i przejście Addy, aby coraz głębsze zagony w ziemie lombardzkie zapuścić, to było teraz w dalszym ciągu głównym celem polityki weneckiej.

Pomyślne warunki towarzyszyły zaraz na wstępie nowemu przedsięwzięciu Rzeczypospolitej, a do najpomyślniejszych należał zgon długoletniego protektora rodu Viscontich, Marcina V Colonny, którego miejsce w marcu 1431 r. zajmował pod imieniem Eugeniusza IV, Gabryel Condolmieri,

Wenecyanin. Wspaniałemi uroczystościami, radosnem biciem we ~~wszystkie~~ dzwony, procesyami i wieczornem illuminowaniem wież miejskich, witano na lagunach przez ośm dni wstąpienie na Stolicę Apostolską ziomka, o którym wiadomem było powszechnie, że w przeciwieństwie do poprzednika nie sprzyja Filipowi Maryi, a najżyczliwsze za to żywi uczucia dla ligi.

A przecież nowa ta wojna miała być dla Wenecyi szeregiem klęsk ~~naj~~dotkliwszych. W życiu Carmagnoli rozpoczyna się bowiem z tą chwilą po pierwszym okresie wzrostu i drugim zemsty, trzeci, ~~a najdziwniejszy, któregoby doprawdy zrozumieć nie można, gdyby się należało do tych, którzy oddawna, bo od czterech przeszło wieków i aż do najnowszych badań z lat ostatnich, zbijających nareszcie to mylne zdanie, upatrywali w tragicznym końcu nieszczęśliwego condottiera okrutną tylko karę, wymierzoną przez Wenecyę za proste niepowodzenia na niewinnym~~. Do tej pory cechowały Carmagnolę ~~nieustraszona~~ odwaga, błyskawiczna szybkość, z którą każdy zamiar zamieniał od razu w czyn, a przytem przebiegłość i owa wzbudzająca podziw współczesnych ciągła potrzeba działania i ruchu; teraz w zamian pojawia się u niego nieznana dotąd, trwożliwa prawie ostrożność, a przytem nieopatrzna ~~i lekkomyślna niemal~~ łatwowierność wobec nieprzyjaciół, oraz powolność, granicząca z niedołęztwem.

Zaraz na wstępie wojny w maju, ~~chcąc~~ na życzenie senatu zająć Soncino, twierdzę, ~~w którejby miał~~ podstawę dalszych ruchów wojennych nad Addą, wchodzi z jej załogą w tajemne układy, i pewien, że mu się forteca dobrowolnie podda — *solita vincendi fiducia exultans* — jak mówi Decembriusz, wpada w dniu umówionym w zasadzkę. Sforza ~~i Mikołaj da Tolentino~~, przestrzeżeni na czas przez komendanta twierdzy, pojawiają się nagle z wojskiem książęcem i biją go na głowę, biorąc 1.600 jeńców w niewolę. Po tej porażce zwraca się więc ku Cremonie, której zdobycia Wenecya pragnie i dokąd wysyła Padem pod dowództwem Trevisaniego ~~flotę~~, złożoną z 38 większych i tyluż mniejszych ~~okrętów~~. Przeciw ~~tej flocie~~ płyną od Pawji ~~pod wodzą Pa-~~

tina Eustachia i Genueńczyka Grimaldiego nie tak liczne wprawdzie, ale mniejsze, więc do ruchu na rzece sposobniejsze okręty nieprzyjacielskie. Gdy się już obie floty zbliżają do siebie, a stojący niedaleko, bo tylko o kilka mil, Carmagnola wyczekuje upornie ciągnących wzdłuż Padu kondottierów książęcych, Piccinina i Sforzę, korzystają ci ostatni z osłony gęstej mgły, aby wsiąść na okręty medyolańskie. Próżno szle Trevisani do obozu weneckiego gońców, wołając o pomoc; Carmagnola zastawia się tem, że Piccinino i Sforza na niego się zwrócą, odpowiada, iż nie wierzy w niebezpieczeństwo floty, nie rusza się z miejsca i natrząsa z tchórzostwa admirała, a nawet podobno z senatu weneckiego, że rozstrzygnięcie wojny powierza flocie. A gdy tak z pomocą zwleka, okręty medyolańskie uderzają na weneckie, zaczepiają je i wojskiem lądowem wszczynają na pokładach walkę, w której Trevisani, ratując się sam w małem czółenku ucieczką, traci, z wyjątkiem sześciu wszystkie okręty i w której prócz jeńców wziętych w niewolę ginie 1,200 Wenecyan, a pomiędzy nimi wielu patrycyuszów.

Po tej na owe czasy tak niezwykle krwawej bitwie i tak świetnym odwecie nieprzyjaciół za Maclodio, nie zrywa się przecież Carmagnola do czynu, ale szle do Wenecyi posłów, mających usprawiedliwić jego bierność w czasie pogromu floty. Senat odpowiada, że nie widzi w klęsce jego winy, że mu i nadal „jako własnej duszy ufa“, ale namawia go, aby teraz energiczniej działał i szedł na zdobycie Soncina, któreby mu otworzyło przejście przez Addę. Pismo to zbija dowodnie twierdzenie Poggia, a za nim innych historyków ówczesnych, podziwiających *taciturnitatem senatus veneti*, który już wówczas postanawiał rzekomo stracenie Carmagnoli, ale tłumiąc w milczeniu gniew, przez ośm miesięcy przygotowywał zemstę. Że w łonie tegoż senatu pewne podejrzenia i niepokoje rodzić się mogły, to rzecz oczywista. To też acz zawsze oględne, przybierają jego orędzia do Carmagnoli w ciągu tej wojny ton inny: życzenia przemieniają się we wskazówki, rady brzmią prawie jak rozkazy; ale

wszędzie przebija w nich bardziej chęć pobudzenia go do czynu i energii, niż niedowierzanie lub nieufność.

Wszelako i teraz namowy nie odnosiły skutku, a w sierpniu nagle zawiadomił Carmagnola senat, że w skutek zarazy końskiej, grasującej w okolicy i trudności w wyżywieniu wojska, chce to wojsko już teraz rozdzielić na zimowe leże. Próżne były prośby i nalegania senatu, próżne przedstawienia, że zaraza ta zarówno dziesiątkuje jazdę nieprzyjaciela, który także potrzebuje żywności, a pomimo tego, choć liczebnie słabszy, broni jeszcze nie składa. Odpowiedzią Carmagnoli była dziwna, nowa klęska: pułkownik jego, Cavalcabo, przeciągający z garstką żołnierzy pod murami Cremony, spostrzegłszy, że jedna z bram miejskich, zwana bramą Św. Łukasza, wolną jest od straży, zajmował ją śmiałym ruchem i słał gońca za gońcem do obozu Carmagnoli, wzywając go, aby przybywał co tchu z wojskiem i wkraczał do miasta. Ale wódz znów dwa dni namyślał się, zwlekał i czekał, a tymczasem Cavalcabo ustępować musiał przed wypierającą go załogą kremońską.

I tak trzecim takim kapitalnym błędem kończył Carmagnola pierwszy rok wojny. Dnia 30 marca wyruszał z doborowym żołnierzem w pole; w październiku wracał z nietkniętem prawie, trzydzieści tysięcy ludzi liczącem wojskiem na kwaterę, nie wydawszy ani jednej bitwy, nie zdobywszy ani jednej twierdzy, nie przyłączywszy ani piędzi ziemi do poprzednich nabytków Rzeczypospolitej, kiedy tymczasem nieprzyjaciel rozzuchwalał się coraz bardziej i coraz większe robił postępy.

Nie mógł nie widzieć senat, kto był tych klęsk przyczyną i sprawcą. Ale leżało to może w pozytywnej już naturze Wenecyan, że czuwając bacznie, bez dowodów w ręku nie zapuszczali się oni przecież nigdy na niepewną i niebezpieczną drogę samych podejrzeń. Dwukrotnie stawiano pod ten czas właśnie wniosek w senacie, aby „radzić nad czynami Carmagnoli"; oba razy wniosek upadał „ze względu na daną chwilę i drażliwość materyi". Opowiadają wszakże, że gdy pewnego razu bawiący właśnie w Wenecyi Carmagnola

spotkał wychodzącego nad ranem z Rady Foscarego i pytał go żartobliwie, czy mu dobrego dnia, czy dobrej nocy ma życzyć, doża szczególnym odpowiadał uśmiechem, że istotnie obradowano aż do świtu i „że dużo tam mówiono o Carmagnoli".

A klęski te, które Rzeczpospolita musiała słusznie kłaść na karb i rachunek swego wodza, były tem dotkliwsze, że ogólne położenie polityczne, byle je potrafiono wyzyskać, było raczej dla niej korzystnem: stratę jednej części floty pod Cremoną równoważyło niejako świetne zwycięztwo Piotra Loredana nad Genueńczykami na morzu Liguryjskiem pod Rapallo; nowo obrany papież coraz bardziej wpływem swym zasilał ligę; przybywał wreszcie tak często a usilnie nawoływany przez Viscontiego cesarz Zygmunt w listopadzie 1431 r. do Włoch, ale przybywał nie tak, jak tego książę pragnął, bo bez zamiarów wojennych i bez wojska i tylko w tym celu, aby próżnym już na owe czasy symbolem i pamiątką dawnego imperium ukoronować się najpierw w Medyolanie lombardzką, potem w Rzymie cesarską koroną. Może dla doznanego ztąd zawodu, a zresztą wskutek zwykłego stronienia od ludzi, nakazywał książę przyjmować cesarza z największym przepychem w Medyolanie i słał Piccinina na koronacyę, ale sam nie pokazywał się Zygmuntowi na oczy i zamknięty w Abbiate Grasso, pisał do posła swego na dworze cesarskim, tłómacząc nieobecność „zwykłą swą żołądkową dolegliwością"—*la colera, accidente usato, che gli dava assai maggiore impazo che una volta* — a przytem „tuszą i niekwitnącym już wyglądem", narażającym go na odgrywanie „mizernej" wśród tych uroczystości roli. Nic dziwnego, że cesarz opuszczał w grudniu Medyolan z gniewem w sercu na dziwacznego księcia i że liga natomiast zyskiwała w nim nieczynnego wprawdzie, ale cichego sprzymierzeńca.

Tymczasem z początkiem 1432 r., a wobec zbliżającej się pory, w której wojsko znów w pole wyruszyć miało, radzono w senacie weneckim nad pytaniem, czy nie należałoby pobudzić Carmagnoli do przejścia Addy i zajęcia Lom-

bardyi obietnicą nadania mu w razie powodzenia księstwa medyolańskiego na własność. Odstępowano przecież od tego zamiaru z uwagi, że ubliżałoby powadze i godności Signorii podobne kuszenie własnego wodza, takiem, niepolitycznem może zresztą na przyszłość przyrzeczeniem. Ale już sam ten zamiar wskazuje, że i teraz jeszcze nie miała Wenecya dotykalnych dowodów umyślnej Carmagnoli winy, tak, że i nadal naczelne dowództwo w jego pozostawiała ręku. Może jednak, że pogłoska o tych naradach dochodziła uszu Carmagnoli, bo z początkiem lutego dodany mu na proveditora Giorgio Cornaro donosi, że wódz ma silne postanowienie — *l'ottima e fervente intenzione* — spełnić nareszcie życzenia senatu i przekroczyć Addę. Mijały wszelako znów dni i tygodnie, a wojsko jak wryte stało w miejscu, gdy tymczasem Carmagnola zawiadamiał senat, że przybył znów do obozu wysłannik Filipa Maryi. Jak już tylokrotnie, tak samo i teraz, tylko tym razem w bardziej stanowczych słowach odpowiadano z Wenecyi, żeby się z poselstwem w żadne pokojowe nie zapuszczać układy, bo jak dawniej, tak i obecnie, nie kryje się pod tem zapewnością nic, prócz zwykłej intrygi chcącego zawsze zyskać na czasie księcia.

Czy rzeczywiście pod tem ostatniem poselstwem Viscontiego, poprzedzającem tak bezpośrednio katastrofę, nie kryło się nic, czy też może baczna ręka jednego z owych licznych szpiegów, wszędzie się Rzeczypospolitej wysługujących, uchylała w tej właśnie chwili rąbek tajemniczej zasłony, po za którą leżało rozwiązanie owej żywej zagadki, jaką stał się dla Wenecyi jej wódz naczelny,—dość, że jednostajna epopea przemienia się znienacka w dramat i w miejsce senatu, wahającego się i nieumiejącego już wśród tych manowców rozpoznać, gdzie się kończył błąd, a zaczynała wina, wstępuje nagle nie wahająca się nigdy, działająca zawsze prędko, a rozstrzygająca w milczeniu jak *fatum*, surowa i ponura Rada Dziesięciu.

Nadchodzi jeszcze jedna wieść: Carmagnola nie idzie na zdobycie Soncina, choć mu zewsząd donoszą, że część murów, opasujących twierdzę, runęła i przystęp do niej

otwarty; senat jeszcze próbuje rad, próśb i namowy, a wtem 27 marca stawia Rada Dziesięciu wniosek, aby rektorom brescjańskim nakazać natychmiastowe aresztowanie Carmagnoli. Wniosek zbyt nagły nie przechodzi od razu w uchwałę; ale już dnia następnego, nie tracąc chwili czasu, zgłasza się znów Rada do senatu z żądaniem dodania jej dwudziestu senatorów, którzyby wraz z nią, dożą i pięcioma jego stałymi doradcami złożyli trybunał, mający sądzić sprawę Carmagnoli. Senat przystaje i już 29 marca zebrani członkowie tej nadzwyczajnej *giunty* obowiązują się zaraz na wstępie do przestrzegania „pod karą mienia i życia" najściślejszej tajemnicy o wszystkich krokach i nawet o samem ukonstytuowaniu się trybunału. Pierwszy wniosek, ażeby Carmagnolę sprowadzić przemocą, nie znajduje poparcia; zapada natomiast uchwała, żeby go zwabić podstępem, i nazajutrz rusza do Bresqji notaryusz Cancellarii, Giovanni de Imperiis, z poleceniem jawnem, aby naczelnego wodza „zaprosić w imieniu senatu do natychmiastowego przybycia do Wenecyi, w celu naradzenia się o dalszych krokach wojennych", tajnem zaś, aby w razie oporu, przystępować w imieniu Rady Dziesięciu do bezzwłocznego uwięzienia Carmagnoli.

Wszystko w tej misyi przewidziane z dziwną, przejmującą dokładnością: komendanci Bresqji i miast lub twierdz, przez które de Imperiis miał jechać, przestrzeżeni z góry, żeby go we wszystkiem ślepo słuchali, a na wypadek usiłowanej w drodze przez Carmagnolę ucieczki, by go strzegli i w razie danym chwytali; na ręce proveditorów rozesłane listy do wszystkich kondottierów Rzeczypospolitej, mające im być wręczone po aresztowaniu naczelnego wodza, a zawierające usprawiedliwienie faktu, stwierdzenie prawa i racyi senatu; wreszcie do wojska wystosowane orędzie samego doży, wzywające żołnierzy do wytrwania w wiernej służbie Rzeczypospolitej, której „cześć i zbawienie wymagały z przyczyn najważniejszych i najsłuszniejszych tego, co się stało".

Bez podejrzenia wyruszał Carmagnola na wezwanie wysłannika senatu 6 kwietnia w drogę; gwardye Bresqji, Vicenzy, Padwy, towarzyszyły mu kolejno „w dowód czci"

z jednego miejsca na drugie, a władze weneckie przyjmowały go wszędzie jak najuroczyściej. W następujący sposób opowiada Sanuto [1]) w treściwych swych zapiskach przybycie Carmagnoli do Wenecyi: „Na spotkanie wyruszyli panowie nocy (*signori di notte*) z całą strażą, mówiąc, że ich tak wysłano, ażeby go uczcić. A gdy przybył, przyjmowało go ośmiu patrycyuszów, którzy, zanim jeszcze do własnego domu wstąpić zdołał, wiedli go do pałacu Św. Marka. I gdy wychodził na brzeg, zamknięto bramy pałacu, z którego prócz straży, wszyscy wyjść musieli. On zaś wstępował z patrycyuszami po schodach do prokuratora Rady, Leonarda Mocenigo, gdzie mu powiedziano, że doża nie zdrów, więc go dopiero następnego dnia przyjmować będzie. A że zbliżała się pora wieczerzy, więc myślał iść do domu, ludziom zaś jego powiedziano wprzódy, że z dożą jeść będzie, że oni zaś do domu iść i wieczerzać, a potem wrócić mają. A hrabia zeszedł, by wsiąść na łódkę i na wieczerzę jechać. A wtedy mu powiedziano: Panie, podejdźcie-no tu, na stronę więzień. On atoli widząc, że za daleko pod portykiem idą, rzekł do nich: Nie tamtędy droga. Towarzyszący mu patrycyusze odpowiedzieli mu zaś: A właśnie, że tędy. Gdy wchodził do więzienia, rzekł tylko: Widzę, żem jest człowiek umarły, i westchnął głęboko. Tamci go pocieszali, ale on im odrzekł: Nie chwyta się ptaszków, aby je znów wypuszczać. *Ucelli che non sono da lasciare, non sono da prendere*".

Natychmiast rozsyłał senat na wszystkie strony gońców: do Brescii z rozkazem, ażeby sekwestrowano wszystkie dobra, włości i całe wogóle mienie Carmagnoli, a żonę jego *sine strepitu* aresztowano, i odebrawszy bezzwłocznie przysięgę na wierność wojska, „strzeżono jak najczujniej miasta"; do Bergamo, Werony, Padwy, Treviso, Vicenzy i wszystkich większych miast Rzeczypospolitej z wiadomością o uwięzieniu naczelnego wodza, z powołaniem się zawsze na „najsłuszniejsze i najważniejsze powody"; do ambasadorów weneckich na

---

[1]) Marin Sanuto: *Vite de Duchi di Venezia*. Murat. t. XXII p. 1028.

dworze ferraryjskim, gdzie toczyły się właśnie układy o zakończenie wojny, z zaręczeniem, że senat czekał cierpliwie „póki jasno nie przejrzał i nie nabył najdowodniejszego przekonania o złych uczynkach Carmagnoli“, które wiodły Rzeczypospolitę wprost do przepaści; wreszcie do Florencyi, a tam już z najwyraźniejszem twierdzeniem, że „Carmagnola był w zmowie z nieprzyjacielem i nie chcąc z tej przyczyny niczego przeciw księciu przedsiębrać, *sub simulationem* rzecz w nieskończoność ciągnął“.

Proces rozpoczynał się 9 kwietnia i w dwa dni potem brano Carmagnolę na tortury: tortury sznura dla rany, którą miał w ręku, zaniechać musiano, wybierano za to inną, przypiekanie ogniem nóg i „wtedy od razu zeznawał wszystko“. Wedle innych świadectw, sam widok ognia już go do zeznań skłaniał. Po przejrzeniu papierów jego i dokumentów, nadeszłych z Brescii, i po przerwie spowodowanej świętami Wielkanocy, przedkładał z kolei wydział inkwizytorski trybunałowi wynik śledztwa. Na zapytanie przewodniczących Rady Dziesięciu, czy „Francesco, zwany Carmagnola, *olim* wódz naczelny wojsk weneckich“, winien jest zbrodni zdrady, dwudziestu sześciu sędziów odpowiadało potakująco, jeden tylko przecząco, a dziewięciu wstrzymywało się od głosowania, zaczem dziewiętnastoma głosami przeciw Foscaremu i innym, którzy przemawiali za karą dożywotniego więzienia, zapadał wyrok śmierci. I tegoż jeszcze dnia, 5 maja 1432 r. „o zwykłej godzinie po nieszporach“, poprzedzony krzyżem bractwa Santa Maria Formosa, szedł skazaniec ze związanemi na plecach rękoma i zakneblowanemi usty, a „przybrany w karmazynowy żupan *(giuppone)*, szkarłatny kaftan z rękawami, w czerwonych butach i z jedwabną czapką *alla carmagnola* na głowie“ na Piazettę „pomiędzy dwie kolumny“, gdzie kat trzykrotnem cięciem ścinał mu głowę. Ciało niesiono zrazu do kościoła San Francesco della Vigna, ale gdy już je miano do grobu spuszczać, nadchodził spowiednik więzienny, Fra Jacomo Dolfin, i wyjawiał ostatnie straconego życzenie, aby złożono jego ziemskie szczątki w Cha Grande

dei Frari. Ztamtąd po latach kilku przewoziła je wdowa do Medyolanu.

Odtąd płynęły lata i wieki, a Carmagnola, jakby skazany na to, żeby i po śmierci, jak za życia, wiecznie być człowiekiem zemsty, z głębi grobu mścił się jeszcze na Rzeczypospolitej za spełnione na nim wyroki. Wkrótce, a na długo, stawało się jego imię klassycznym przykładem rzekomego okrucieństwa Wenecyi. Rolę tę nadawali mu zrazu i przez dwa stulecia kronikarze włoscy, z którymi Wenecyanie na polu własnego dziejopisarstwa mierzyć się nie mogli, a przez których usta przemawiała nienawiść reszty Włoch do samotnej, lecz chciwej zawsze zaborów królowej mórz. Legendę tę snuli z kolei wolnomyślni pisarze XVIII wieku, niechętnem spoglądający okiem na konserwatywną zawsze i arystokratyczną Rzeczpospolitę, i przekazywali ją z rzędu historykom z pierwszej połowy bieżącego stulecia, którzy krzewiąc z Sismondim na czele ideę jedności włoskiej, nie przebaczali nigdy Wenecyi odśrodkowych jej dążeń i samodzielnego ducha. Na koniec, a na podstawie tych źródeł, brali poeci i powieściopisarze [1] legendę ową w swoje ręce, przystrajali ją w kwiaty własnej wyobraźni i zabarwiali własną sentymentalnością, a rzecz prosta, że im nieszczęśliwszym miał być sam bohater, tem bardziej musiał być niewinnym i że w miarę, jak pod ich piórem bielał Carmagnola, tem ciemniejszego wymagał tła, za które służyć musiała na swoją szkodę Wenecya.

Na czem polegał ów dotykalny dowód winy Carmagnoli, który zniewolił senat wenecki po tak długiej cierpliwości do nagłej zmiany frontu, to nazawsze chyba pozostanie tajemnicą. W licznych pożarach w pierwszej połowie XV stulecia płonął tylekroć pałac dożów, że nie doszedł nas żaden akt procesowy z owych czasów, a najdawniejszy następnego dopiero sięga wieku. To też niesłusznym jest za-

[1] Nawet muzycy, bo w r. 1841 Scribe pisał libretto, a Ambroise Thomas dorabiał muzykę do opery pod tytułem *Carmagnola*, która jednak po pierwszem przedstawieniu w Operze paryskiej upadła.

rzut, jakoby właśnie tylko akta dotyczące Carmagnoli, a więc to umyślnie, zniszczonemi zostały, ale równie niesłusznem zdziwienie, wyrażone przez niektórych historyków, że się senat wenecki w innych, zachowanych nam dokumentach z owych czasów i z owej chwili, jak to we wspomnianych instrukcyach do miast podwładnych i do posłów w państwach ościennych, nigdzie i z nikim konkretnym dowodem winy Carmagnoli nie dzieli. Wbrew owej rzekomej tajemniczości senatu, w której szukano głównych argumentów dla obrony Carmagnoli, świadczy właśnie ta korespondencya, że senat donosił na wszystkie strony naprzód o uwięzieniu, potem o skazaniu i śmierci swego condottiera, a jeżeli nie wyjawiał szczegółów i nie podawał gołosłownych faktów, to dla tego, że chodziło tu przecież o zdradę stanu, a więc o sprawę, w której każde o swą powagę i godność a nawet o proste swoje dobro i byt swój dbające państwo, tak w owych czasach, jak i dziś, wedle świeżych i najświeższych dowodów, musi jawności pewne zakreślić granice.

Zkądże się i dlaczego podniósł więc ów krzyk oburzenia, z jakim wedle tych samych historyków przyjmować miała reszta Włoch wieść o procesie, potem o straceniu Carmagnoli? Szemrały może nieprzyjazne Rzeczypospolitej państwa, ale nigdzie nie ma śladu lub wskazówki, ażeby fakt ten donioślejsze wywoływał skutki, lub wzniecił jakikolwiek rozruch, czy niepokój: wojsko składało odrazu przysięgę wierności, a z condottierów wszyscy, nawet sam zięć Carmagnoli, Luigi dal Verme, zostawali i nadal w służbie Rzeczypospolitej. Przypuszczając zresztą choćby na chwilę, że straceniem Carmagnoli nie karała Wenecya zbrodniarza za winę, ale mściła się tylko na niewinnym za błędy, któż ze współczesnych śmiałby się jej dziwić? Wszak nie Filip Marya, który słał na wspólne rusztowanie z giermkiem swym, Michelottem Orombelli, winną czy niewinną, ale w każdym razie własną swą małżonkę, Beatricę di Tenda, a później jeszcze na samegoż Carmagnolę trucicieli nastawiał; nie Signoria florencka, nakazująca w trzy lata później stracenie Bastiana Capponi, podejrzanego o usiłowane otrucie papieża i zmowę z Viscon-

tium; nie Joanna Neapolitańska, której kochanka, Pandolfella, mąż jej, Jakób, na sromotnej zamęczył torturze; nie Alfons Arragoński, sam może nie splamiony niczyją krwią, ale pod którego okiem chował się syn, straszny Ferrante, morderca młodszego Piccinina i tylu innych; nie Sforza, którego ojciec, Attendolo, na rozkaz Mikołaja d'Este własną ręką zabił zwabionego w zasadzkę na układy i bezbronnego Ottobuona Terza, pana na Parmie; nie tenże wreszcie margrabia Mikołaj, na którego ponurym zamku w Ferrarze rozegrała się była na kilka zaledwie lat przedtem, bo w r. 1425, krwawa tragedja Hugona i pięknej Parisiny. Sumienia ówczesne były pod tym względem równie mało lękliwe, jak tanią była krew i życie ludzkie.

A nakoniec, kogóż, wtedy jak dziś, dziwiłaby do tyla zdrada kondotiera, tego zestrażby na służbę wędrującego najemnika, który nie znał ojczyzny, nie miał polityczny

przynależności, u którego ambicja zastępowała cześć, a celem było tylko wyniewienie się ponad innych? Zdradzali ci gracze wszyscy ciągle, tamże sympatyi zmieniając z dnia na dzień obóz, ale warunkiem wygranej była zawsze szybkość w dokonaniu zdrady, a tę najtrudniej chyba bywało pod czujnym, przenikliwym, bacznym okiem Wenecji.

Czem zresztą książę Carmagnolę kusił? Czy Brescją, której utratę senat zaraz po straceniu nieszczęśliwego kondottiera tylokrotnie, a tak usilnie miejscowej załodze polecał? Czy może czemś większem jeszcze, samymże Medjolanem, gdzie na zamku, pod okiem coraz częściej chorującego ojca, rosła ostatnia już latorośl rodu Viscontich, naznaczona wprawdzie w tajemnicy młodemu Sforzy, ale licząca dopiero lat osiem, kiedy Carmagnola, w pełni męzkiego wieku, nosił znów herb i nazwisko Viscontich i był bądź co bądź prawdziwym

odnowicielem wielkości ich domu?
I tę tajemnicę swych nadziei, mocno otrzymanych przyrzeczeń, zabrał ze sobą Carmagnola do grobu, a Wenecja jej nie wydała, choć Filip Marja brał wkrótce potem proveditora weneckiego, Giorgia Cornaro, w niewolę, ogłaszał go za zmarłego i kazał ~~wielkie~~ nawet odśpiewać za niego egzekwje, a tymczasem przez lat siedm trzymał go pod kluczem i męczył na torturach, byle tylko dojść, kto Carmagnolę o zmowę z nim, Viscontim, oskarżył. Cornaro milczał, ale ta uporna ciekawość księcia dowodzi znowu, że zmowa ta istniała, że więc Carmagnola był winny.

Nie traci na tem poezja, bo zawsze wysoce dramatycznym zostanie widok wielkiego Kondottiera,

– choć byłby i winny — Kroczącego
na miejsce stracenia, „pomiędzy dwie
Kolumny." Może krew jego bryzgała
na owo godło miasta, tego na szczycie
Kolumny uskrzydlonego lwa, który
był mu najpierw narzędziem zemsty,
aż podrażniony sam się na nim
mścił, a teraz patrzał z wysoka
na koniec burzy ~~tego~~ takiego żywota, dumny
i wskazujący w milczeniu, jakby na
symbol bezpieczeństwa Wenecji, na
owe słowa wielkiego spokoju ~~i na~~
(z Księgi leżącej u) ~~pisie z pod~~ jego stóp: Pax tibi
Marce Evangelista meus.

odstęp VI

VI

Po tragicznym zgonie Carmagnoli zarysowuje się coraz wyraźniej na tle dziejów włoskich owej epoki postać innego kondottiera, rycerskością, rozumem i uczciwością z wszystkich wspomnianych chyba najświetniejsza, w której Burckhardt tak trafnie upatruje typ i ideał człowieka „wedle serca XV wieku." Za zwycięstwo pod Soncino i na Padzie odbierał od Króla Francesco Sforza najwyższą nagrodę: 23 lutego 1432 r. na zamku Porta Giovia w obecności Filipa Marji i przeora Umiliatów z Brery zamienił pierścionki z ośmioletnią zaledwie Bianką, bo Książę dotrzymywał danego mu przed rozpoczęciem wojny słowa i wybrał go na narzeczonego tej, „którą po własnej swej osobie najbardziej na świecie kochał", jak to sam tak charakterystycznie

w jednym liście do cesarza wyznaje, pisząc, że *la nostra fiola è la più cara cossa, che habiamo in questo mondo de la persona nostra in fuora*. Zresztą Visconti, który niczego bez ubocznych politycznych celów nie robił, zyskiwał teraz wiele, bo zatrzymując oczywiście ośmioletnią córkę przy sobie, miał w rękach coś, czem mógł w przyszłości Sforzę naprzemian straszyć i kusić.

Tymczasem cesarz Zygmunt, który był tak dotkliwie Filipa Marję zawiódł przybyciem do Włoch bez wojska, doznawał również przykrego odwzajemniania się ze strony księcia. Odprowadzony bowiem przez jego pułkowników tylko po granicę Lombardji, siedział teraz wśród smutnej peregrynacji koronacyjnej w Sienie, bez wojska i pieniędzy, nie mogąc dotrzeć do celu podróży, do Rzymu. Łatwo pojąć jak z dniem każdym tej przymusowej zwłoki wzrastał jego gniew na księcia, a jeden z jego dworzanów wspomina, że często w ciągu tych dni słyszał, jak cesarz miotał pogróżki: *Ego ulciscar de illo perfidissimo tyranno, qui me Senis tamquam belluam collocavit*, bo

złapany w sidła teraz w Sienie siedział. Tem więcej atoli starał się doprowadzić do skutku pokój między księciem a ligą, aby nie dopuścić większego pognębienia nieprzyjaciół Viscontiego, a mianowicie Wenecyi, nie mającej od śmierci Carmagnoli znakomitszego dla wojsk swoich wodza. I tak za wstawieniem się Zygmunta i margrabiego Mikołaja Este, zawartym został 8. kwietnia 1433 r. trzeci z rzędu pokój w Ferrarze, w którym Wenecyanie, hardzi zawsze przy stawianiu warunków a biegli w układach, zdołali znów, mimo niepomyślnego dla nich przebiegu wojny, wytargować dla siebie kawał ziemi po lewym brzegu Addy, tak że sztandar św. Marka powiewał już u samych bram Lodi i Cassano, o siedm mil od Medyolanu.

Pierwsze dziesięciolecie rządów Francesca Foscari kończyło się więc nowym tryumfem jego polityki, bo nowem rozszerzeniem granic rzeczypospolitej. A jednak właśnie w tej chwili stanął doża przed Radą, prosząc o zwolnienie z najwyższego urzędu i godności. Czy przestraszyło go poczucie, że na drodze, na jaką politykę swą skierował, nie można się było zatrzymać i że Wenecya, stawszy się potęgą i na stałym lądzie, nie mogła już odtąd rozdzierającym Włochy zatargom biernie się tylko przyglądać? Czy skłaniały go do tego kroku względy natury prywatnej, świeża żałoba po dzieciach, których mu troje śmierć w krótkich odstępach zabrała? Czy nakoniec leżało to może w celach jego polityki, żeby tą demonstracyą ze swej strony, wywołać inną, na swoją korzyść, i tak wpływ swój utwierdzić, żeby dowieść, że doża Mocenigo prawdę mówił, kiedy na łożu śmierci przepowiadał, że czasy jego, Foscarego, będą czasem wojny, że się podatki i ciężary zwiększą, że „kto miał dziesięć domów, będzie miał dom jeden, a kto dziesięć sukni, ten suknię jedną", ale że nie mógł lub nie chciał Mocenigo przewidzieć, jak spotężnieje jeszcze w tych wojnach moc i hart rzeczypospolitej, o której przyjaźń ubiegał się teraz cesarz, o pomoc i opiekę Florencya, przed którą drżał niejednokrotnie sąsiad tej miary co Visconti i która zdobyciem dwóch pięknych, bogatych prowincyj wpiła się

nareszcie w głąb ciała półwyspu? Jakiekolwiek były tej rezygnacyi szczere czy nieszczere pobudki, napróżno przypominał doża, jak opowiada Sanuto, że „czasy jego panowania były czasem wojny, pomoru i klęsk“ — *tempo di guerra, moria e tribulazioni* i daremnie prosił o wybór następcy; Rada odmawiała prośbie i Foscari nadal pozostawał dożą.

Ale na razie i na lat kilka chciała się znów Wenecya zamknąć w sobie i odgraniczyć od zatargów reszty Włoch. Nie było to przecież rzeczą łatwą. Bo, jak mówi Macchiavelli, Włochy podówczas tak były rządzone, „że pokój zawarty za zgodą książąt, wnet łamali ci, którzy broń mieli w ręku i ztąd rządzącym ani wojna sławy, ani pokój spokoju nie przysparzał“. Zawrzało też znów wkrótce w środkowych Włoszech za sprawą kondottierów książęcych, a za namową samego księcia, Visconti bowiem po zawarciu pokoju w Ferrarze zwolnił dowódców swoich wojsk ze służby; ale z obawy, aby się te wojska odrazu nie rozpierzchły, namówił Sforzę i siostrzeńca Braccia da Montone, Fortebraccia, ażeby skorzystali z buntu Marchii Ankonitańskiej przeciw legatowi papieskiemu, Janowi Vitelleschi, i próbowali sobie z włości papieskich własne wykroić państwa. Rada była praktyczna, bo tym sposobem miał książę wojska na zawołanie, choć ich już sam płacić nie potrzebował i zarazem mścił się ~~nie pod własnem imieniem i odpowiedzialnością~~ na Eugeniuszu IV za opiekę nad ligą, a wreszcie, co naj~~charakterystyczniejsze~~, wynagradzał własnych kondottierów cudzem dobrem. Fortebraccio szedł pod Rzym, zdobywał kolejno wszystkie okoliczne miasta i groził już samej stolicy, a Sforza tymczasem podbijał w przeciągu pietnastu dni całą Marchię Ankonitańską, ~~rozłożył się główną~~ kwaterą w Fermo i ztamtąd wydawał rozkazy datowane hardo „na przekorę Piotrowi i Pawłowi“ — *ex Girifalco nostro Firmiano, invito Petro et Paulo*. Papież, nie mogący dwom równocześnie nieprzyjaciołom stawić czoła, musiał ~~między nimi mniej niebezpiecznego wybrać, a pomny na nienawiść Braccia do Stolicy Apostolskiej, którą odziedziczył po nim uczeń,~~

z pomiędzy nich wybrać tego, który mu się wydawał mniej niebezpieczny. Fortebraccio wziął był nienawiść do Kościoła w spadku po swym Bracciu da Montone, którego kronikarze stawiają obok Ezzelina, Sigismonda Malatesty i tego Wernera von Ürslingen co na zbroi nosił napis „Nieprzyjaciel Boga, litości i miłosierdzia". W takich warunkach zwrócił się Eugenjusz IV do Sforzy, zawarł z nim układy i zamianował go margrabią Marchji Ankonitańskiej i gonfalonierem Kościoła.

II

Nowe stanowisko odpowiadało najzupełniej polityce Sforzy. Przedewszystkiem chciał on oszczędzać przyszłego teścia i nie uszczuplać księstwa, które sam kiedyś posiąść zamierzał, ale z drugiej strony zdawał sobie jasno sprawę, że Visconti tylko wtedy

przyrzeczenie spełni, i córkę mu wyda, jeśli się z nim liczyć
będzie musiał, a sam się w zbytnią nie
wzbije potęgę. Warunkom tym odpowiadało
więc właśnie silne stanowisko pana na
Marchji Ankonitańskiej z ramienia i
pod opieką papieża. Żeby zaś utrwalić ten
stan rzeczy, wiązał się Sforza coraz ściślej,
mianowicie pod wpływem przyjaciela swego,
Kosmy Medyceusza, z Florencją i Wenecją,
które aczkolwiek nie wolne od ambicji
zaborczych, najsilniej jeszcze ~~dążyły zawsze~~ pilnowały
utrzymania równowagi we Włoszech.
I tak przez kilka lat mimo ciągłych
starć wojskowych, z podziwu godną zręcz-
nością, ~~zdołał~~ umiał on w trudnych warunkach
między dwoma obozami, pomiędzy Viscontim
a jego ~~wrogami~~ nieprzyjaciółmi, z obiema stronami zachować sto-
sunek dobry, bo ilekroć się w nim burzyła
harda natura kondottiera, hamował ją zawsze
ten, którego Medjolan zwał il fidanzato di
Madonna Bianca – narzeczonym Bianki.

Nie leży w zakresie i ramach niniejszego szkicu opowiadać szereg wypadków z kilkunastu lat następnych, wyprzedzających tryumf Sforzy. Zapełnione są one znowu ogólną wojną w całych Włoszech, wojną wywołaną intrygami Filipa Marji, i ambicją Foscarego, aby rozszerzać posiadłości weneckie na *terra ferma*, wojna wśród której Sforza, to na jednym, to na drugim żołdzie, pilnuje swojej przedewszystkiem sprawy i wytkniętego celu ani na chwilę nie spuszcza z oka. Nie brak tym epizodom fantazji i barwy, chociaż te oblężenia miast, i to nie największych, przez całe lata, a pojedyńczych twierdz i zameczków przez tygodnie i miesiące, te spory długie i uparte o mały czasem skrawek ziemi, prawie o miedzę graniczną; te naumachje na rzece lub

jeziorze i te bitwy wreszcie, w których często nikt nie ginął, robią na nas, co prawda, ~~[illegible]~~ wrażenie turnieju tylko, niezawsze pozbawionego donkiszoterji. Ale w tych rycerskich popisach, podszytych subtelną grą polityczną, wyrabiały się owe silne ówczesne indywidualności, zadziwiające świat. I gdy na te bezkrwawe, a przecież pełne chwały pobojowiska, padła ożywcza rosa Odrodzenia, najpiękniejsze ta ziemia miała wydać kwiaty, — kwiaty epoki Sforzów i Medyceuszów.

Filip Marja przez ten cały czas tę samą wobec Sforzy odgrywa rolę: kiedy go ma na swoim żołdzie, wysyła go na dalekie posterunki, jakby z obawy, aby bystry kondottier w pobliżu nie przeniknął skrytych jego myśli; kiedy się ~~znów~~ zaś przeciwko Medjolanowi zwrócą ~~[illegible]~~ przymierze i sprzymierzeni

wrogowie Księcia zabiegają o współ-
działanie Sforzy po ich stronie ~~[illegible]~~ i ofiarowują
~~[illegible]~~ mu dowództwo, natychmiast zwraca
się do niego Visconti, naznacza dzień
ślubu i wzywa przyszłego zięcia, aby spra-
wiał gości na gody weselne. Podobną
taktyką odwzajemnia mu się Sforza:
oszczędza Księcia, kiedy mu to na rękę,
ale nie waha się objąć dowództwa nad
jego nieprzyjaciółmi i stanąć przeciw
medjolańskim kondottierom do walki,
~~[illegible]~~ ilekroć sądzi, że strachem łatwiej przyszłego
teścia do woli swojej nakłoni.

W r. 1441, w pokoju zawartym pomiędzy
Wenecją, której wojskami dowodził właśnie
Sforza, a Medjolanem, ~~w~~ pokoju jak wszystkie ówczesne
traktaty nietrwałym, ale zwracającym We-
necji zabrane jej w ciągu wojny włości na
stałym lądzie, uzupełnione Peschierą, tym

Gardy
Kluczem jeziora Gardy, oddał Visconti nareszcie swą córkę za żonę Sforzy i wyposażył ją ziemią ~~Kremonską~~ Kremońską.

Już przecież w trzy lata później zmienił ~~[illegible]~~ zdania: oświadczył bowiem nagle, że Cremonę, daną jako wiano córce, dał jej był tylko w zastaw; teraz postanowił zastaw wypłacić, a Cremonę wojskom swoim zająć kazał. Kosma Medyceusz, zawsze oddany Sforzy, w którym upatrywał żywioł potrzebny do utrzymania równowagi między republikami a tyranjami na półwyspie italskim, ujął się za krzywdą przyjaciela, a wojowniczy Foscari, nęcony zawsze nadzieją nowych podbojów na Zachodzie, przyklasnął jego zdaniu i obie rzeczypospolite wszczęły na nowo z Viscontim wojnę.

a wojowniczy Foscari, nęcony zawsze nadzieją nowych podbojów na zachodzie, przyklasnął od razu jego zdaniu; obie rzeczpospolite wydawały księciu wojnę i Sforza był uratowany.

Teraz dopiero miał Filip Marya poznać co utracił z śmiercią Piccinina; bo wojska weneckie pod Michelottem Attendolem, przekroczywszy Addę w zwycięzkim pochodzie bez zapory prawie szły naprzód i rok 1446 nie dobiegł jeszcze kresu, kiedy cała wschodnia Lombardya była już w ręku Wenecyan, pustoszących kraj aż pod sam niemal Medyolan. Visconti zwracał się z kolei do wszystkich swych sprzymierzeńców. Ale gdy znikąd nie otrzymywał pożądanej odpowiedzi, bo czem innem była nowa wojna z potężną Wenecyą, niż dotychczasowa z dzielnym, ale na małej tylko terrytoryalnej podstawie opierającym się panem na Marchji, książę, który drugich upokarzać lubił, ale w potrzebie i siebie samego upokorzyć się nie wahał, wysłał teraz poselstwo do Sforzy. „Niech przybywa — prosił — ukochany zięć na pomoc; stary i prawie niewidomy, na kimże się ma oprzeć, jeżeli nie na mężu jedynej córki, a przyszłym spadkobiercy, któremu przecież zależeć na tem musi, aby dumny nieprzyjaciel nie zagrabił tego, co jemu właśnie przypaść miało kiedyś w udziale". Sforza znał teścia zbyt dobrze, ażeby nie wiedzieć, jak ostrożnie przyjmować należało tego rodzaju nagłej jego czułości dowody, ale z innej strony pogodzenie się z Viscontim zdawało się być najprostszą drogą do zapewnienia sobie medyolańskiego dziedzictwa, a właśnie zwycięzkie postępy Wenecyan niemałą dla tego dziedzictwa były groźbą. Odmawiając Viscontiemu, musiałby się był Sforza zdać na łaskę i niełaskę Wenecyi, której jak mówi Macchiavelli „żaden przezorny władca nie powierzał nigdy bez potrzeby swych losów", — *alla quale niuno prudente principe non mai si non per necessita si rimise.* Niemniej zresztą i w Medyceuszu wzbudzały już te zbytnią ambicyą Foscarego zaostrzone apetyty Wenecyan zaniepokojenie i zazdrość, tak, że zapytany o zdanie radził Sforzy, aby się nie oglądał na ligę i własnym tylko kierował inte-

wiej myśli swego pana, ale z dziwną szybkością ruchów umiał zawsze gonić za ciągłą tej myśli zmianą. Gdzie Visconti dochodził krętą ścieżką lisiej swej przebiegłości, tam wnet stawał Piccinino i odrazu z lwią odwagą spełniał rozkaz. A nie tylko z tej odwagi, ale i z okrucieństwa do mistrza swego Braccia podobny, kiedy n. p. do zdrajców, szpiegów lub przestępców łucznikom swoim dla wprawy jak do celu strzelać kazał i sam na nich nieraz pierwszą wypuszczał strzałę, był on pomimo tego, tak samo jak Braccio, ubóstwianym przez żołnierzy. Wiedzieli bowiem wszyscy, że wygrana była prawie zawsze po tej stronie, po której pojawiała się ta mała, nikła, chorobami zgięta i skurczona postać milczącego wodza, który często konia dosiąść nie mógł, z posłania giermkom dźwigać się kazał, ale na polu bitwy w pierwszym zawsze stawał rzędzie, prowadził, rozkazywał i zwyciężał.

Dla Sforzy śmierć Piccinina, z którą kończyła się świetność szkoły Braccia, była wypadkiem pomyślnym. Lecz czasy próby nie miały się jeszcze tak prędko skończyć. Bo gdy ściąć kazał pułkownika swego Sarpelliona, którego Visconti był sobie za następcę Piccinina upatrzył, rozgniewany teść znowu sprzymierzeńców do zemsty na „okrutnego“ zięcia wołał i znów z trzech stron istne się na niego rozpoczynały łowy: z całej Marchii po roku zostawała mu się już tylko mała mieścina Jesi, a za poradą i pieniężną pomocą Wenecyi i Florencyi podjęta w r. 1446 wyprawa do Umbryi, skończyła się klęską. Tylko z klęski tej książę tym razem nazbyt skwapliwie skorzystał i przeciągnął strunę. Nagle oświadczył, bowiem, że Cremonę, daną jako wiano córce, dał jej był tylko w zastaw; teraz zamierzał zastaw spłacić, a Cremonę wojskom swoim zająć kazał. Na tak oczywiste złamanie pokoju zawartego w Caprianie, przebrała się nareszcie miara cierpliwości Florencyi i Wenecyi; Cosma Medyceusz zawsze oddany Sforzy, w którym upatrywał żywioł potrzebny do utrzymania równowagi między rzeczpospolitemi i monarchiami półwyspu, użył znów całego swego wpływu, aby niedopuścić do zupełnej przyjaciela zguby,

rzem. ~~A gdy~~ A gdy wreszcie Wenecjanie,
powiadomieni jak zawsze o wszystkiem, a więc
i o tych nowych układach Sforzy, zrzucili
nagle maskę i probowali zająć dla siebie
Cremonę, którą wyjmała w tajnie Sforzy za-
bezpieczyć miasta; gdy, co więcej, wyciągali
już chciwą rękę po sam Medjolan, ~~nawołując~~ nawołując
Medjolańczyków do buntu przeciw Viscontiemu
i połączenia się z nimi, ~~wznowienia~~ — na
nowo, i tym razem może pierwszy raz w życiu
szczere uczuwanie księcia, ruszył Sforza
w stronę Medjolanu. I nareszcie przyjść
miało do zgody między zięciem a teściem,
kiedy nagle niespodziewany wypadek
„urwał takich zdarzeń nadzieję" — *tan-*
tarum rerum eventum sustulit —: Sforza
otrzymał w połowie drogi wiadomość, że
15 sierpnia 1447 r. na zamku Porta Zobbia
w Medjolanie, Filip Marja rozstał się z tym

światem.

Dziwnem zrządzeniem (losu dochodzi tego ta) ~~[illegible] przeto~~ wiadomość właśnie w tej samej rodzinnej Cotignoli, skąd przed laty ojciec jego, Muzzo Attendolo, wyruszał w świat, aby założyć podwaliny potęgi rodu Sforzów. Tradycja mówi, że działo się to około 1380 r.: wielki reformator sztuki wojennej we Włoszech, Alberyk da Barbiano, zerwawszy z dawną tradycją, według której bandy najemnego żołdactwa składały się niemal wyłącznie z cudzoziemców, stworzył właśnie słynną swą „Kompanję Św. Jerzego", pierwsze narodowe wojsko włoskie i szkołę wszystkich znakomitszych kondottierów następnego wieku; otóż pewnego dnia przeciągający w pobliżu miasteczka Cotignoli żołnierze papiescy ujrzeli pracującego ponad drogą z motyką w dłoni młodzieńca. Uderzeni

dziarskim jego wyglądem, śmiałym wzrostem i silną budową ciała, jęli go namawiać, żeby porzucił rolę i szedł z nimi szukać szczęścia; chłopiec zamyślił się przez chwilę, a potem odrzekł: „Na ten dąb w pobliżu rzucę motykę; i jeżeli spadnie, będzie to znak, że mam się przy niej zostać; jeżeli zaś na drzewie zawiśnie to pójdę z wami w świat." Rzucona motyka uczepiła się w drzewo i nie spadła, a w stopięćdziesiąt lat potem, ostatni z rodu Sforzów książę na Medjolanie, mówił do historyka Paola Giovio, ukazując mu na zbytek i wspaniałość swego dworu: „Wszystko co tu widzisz, wszystkę tę świetność i ten przepych, zawdzięczam gałęziom dębu pod Cotignolą, na których zawisła motyka mego pradziada, Muzza Attendolo."

dębem, na którego gałęziach zawisła motyka Giacomuzza, patrzał wielki condottiere w przyszłość, w przededniu tej walki, która miała rozstrzygnąć o marzeniach ojca i nadziejach jego własnych. Zadanie nie było łatwe, bo ubiegających się o dziedzictwo po zmarłym księciu nie brakło. Z jednej strony stał książę Orleański, syn siostry ostatniego z Viscontich, Walentyny, której tytuł prawny tak straszne miał kiedyś na Lombardyą i całe Włochy sprowadzić klęski; z drugiej Alfons Arragoński, opierający swe prawa na ostatnim testamencie Filipa Maryi, który w chwili właśnie pogodzenia się z zięciem testament zmienił i nie jego, tylko Alfonsa na spadkobiercę obrał; z innego tytułu, bo z tytułu odzyskania lenna cesarskiego rościł sobie do Medyolanu prawa Fryderyk III; a wreszcie sam Sforza stawał do walki, jako małżonek jedynej zmarłego księcia córki, nieślubnej wprawdzie, co jednak nie mogło być przeszkodą w czasach, kiedy w Urbino rządził Federigo da Montefeltre, w Ferrarze Lionello d'Este, a Santi Casecse Bentivoglio w Bolonii.

I teraz rozpoczyna się ten dramat medyolański, owe dwa lata, w których Sforza wytęża wszystkie siły, aby dopiąć celu życia, którego czuje się tak bliskim. W Medyolanie wybucha rewolucyá; całe miasto wylega zrazu na pogrzeb księcia, ale chwila zbyt ważna, umysły innemi sprawami roznamiętnione i zajęte, więc tłum rozprasza się wśród żałobnego pochodu, i gdy ciało składają do grobu, już tylko sami grabarze stają nad grobem ostatniego z Viscontich. A tymczasem najznakomitsi patrycyusze z Ambrożym Trivulzim i Jerzym Lampugnanem na czele, ogłaszają rzeczpospolitą. Wojsko kupione pieniędzmi znalezionemi w szkatule zmarłego księcia, zdziera z wież wywieszone już na rozkaz dawnej rady, a na mocy testamentu, sztandary ze znakiem arragońskim i wraz z condottierami przechodzi na służbę nowego rządu. Pierwszem zadaniem jest obrona kraju, zajętego już w połowie przez czyhających na nowe zdobycze, nawet na podbój samego Medyolanu Wenecyan. Wszyscy czują, że tylko jeden oręż może Medyolan obronić i zbawić, oręż Sforzy, i jemu niebacznie młoda rzeczpospolita losy swe po-

wierza. Widząc, że inną drogą do celu nie dojdzie, przyjmuje Sforza warunki, ale zaczyna od tego, że zdobywa naprzód Parmę i Tortonę dla siebie, potem dopiero Piacenzę dla Medyolanu. Jak niegdyś Carmagnola, tak on teraz spaja rozdartą Lombardyę, zdobywa miasto po mieście, twierdzę po twierdzy, zamek po zamku, wreszcie pod Casal Maggiore na Padzie niszczy flotę wenecką, największą jaką Wenecya w ostatnich latach uzbroiła, a która zrabowana i nakoniec podpalona przez żołdactwo medyolańskie, spływa cała w ogniu i ginie w płomieniach. Po tem zwycięztwie następuje wnet drugie, znaczniejsze: 15 września 1448 r. pod Caravaggio bierze Sforza armię wenecką, jedenaście tysięcy jeźdźców i całą piechotę w niewolę, a w liczbie jeńców znajdują się i obaj proweditorowie rzeczypospolitej i prokuratorowie św. Marka.

Znakomici jeńcy z tą wytrwałością, która i wśród największych klęsk nie opuszczała nigdy Wenecyan, wchodzą natychmiast w tajne ze zwycięzcą układy: kiedy mu Medyolan pomimo zwycięztw nie oddaje berła, to niech przejdzie na stronę zwyciężonych, a Wenecya za sowitą oczywiście nagrodą, mianowicie za odstąpienie jej pożądanej od dawna już Ghiaradaddy, wprowadzi go na tron medyolański. Bez wahania przerzuca się Sforza na stronę wenecką i w trzydzieści dni po bitwie pod Caravaggio opuszcza dowództwo wojsk medyolańskich. Daremnie posłowie przybyli z Medyolanu zaklinają go na cześć i złożoną przysięgę, aby sprawy ich nie porzucał; Sforza wzbrania się, bo zarówno przez obie strony, przez Wenecyę i Medyolan zagrożony, chce kolejno jedną stronę przez drugą osłabić, i dopiero zrzucić maskę, kiedy będzie już panem ich wojsk i ich bogactw. I teraz znów od strony Wenecyi i za jej pomocą rozpoczyna podbój Lombardyi, ale Wenecyanie spostrzegłszy się za późno, jaki im w wspomaganym niebacznie rycerzu rośnie na przyszłość współzawodnik, zawierają pokryjomu z medyolańskim rządem pokój, wedle którego rzeczpospolita medyolańska miała zatrzymać tylko kraj między Ticinem, Padem i Addą, Sforzy natomiast ustąpić Novarę, Tortonę,

~~Aleksandryę~~, Pawię, Piacenzę, ~~Parmę i Cremonę, a Wenecyi~~ Ghiaradaddę.

~~Dla ambicyi dumnego condottiera za mało to jednak, więc pozornie zgadza się na ten pokój, wbrew jego woli zawarty, ale równocześnie~~ pilnuje choć zdaleka Medyolanu, którego oblężenie przerwał, żeby prowianty nie dochodziły do miasta, i czeka tylko, aż Medyolańczycy ~~w nadziei pokoju~~ rozsieją, jak zwykle na wiosnę, resztę ziarna złożonego w spichrzach miejskich, aby zjawić się znów pod murami miasta i wznowić oblężenie. Oblężonych ogarnia rozpacz, wielu ucieka ~~z miasta~~, lecz Sforza napowrót gnać ich każe, aby w mieście nie ubywało ust, a wzrastał głód i nędza. I nagle, kiedy za podszeptem posła weneckiego, Veniera, rozdarty już wewnętrznemi waśniami, słaby i niezgodny z sobą rząd stawia wniosek, żeby się poddać Wenecyi, na ulicy wszczyna się rozruch: Pod przewodem Kaspra de Vimercato, przyjaciela i dawnego żołnierza Sforzy, lud wpada do pałacu Signorii, morduje posła weneckiego, rozpędza przelękłych radców i nazajutrz, 26 lutego 1450 r., otwiera bramy miasta Sforzy, który obwołany księciem Medyolanu, „z koniem razem niesiony przez falę ludu“ wkracza nareszcie do stolicy.

Historyk medyolański z XVII w., Ripamonti, a za nim cytujący go Sismondi pytają, czy chwila ta opłaciłaby była mogła Sforzy ~~burzę~~ całego żywota i ~~zdradę, której ją zawdzięczał~~, gdyby w ~~przeczuciu czy~~ jasnowidzeniu przyszłych tragedyj swego domu, ujrzał był nagle pierworodnego syna, Galeazza, zamordowanego za bezwstyd i zbrodnie, drugiego, Lodovika Mora, konającego w rozpaczy w więzieniach francuskich, z wnuków Giangaleazza otrutego przez własnego stryja, Maksymiliana umierającego na wygnaniu, a Francesca kończącego smutny żywot na wstrząśniętym tronie, na którym zasiadał z rodu ostatni. Na pytanie takie odpowiedzieć trudno, jak trudno cyrklem ~~zwykłej~~ filozofii dziejów mierzyć ową epokę wybujałych indywidualności i do duszy ludzi z owych czasów stosować nasze pojęcia etyczne.

Więc bez względu na drogi, któremi Sforza do celu swego dążył i na środki, jakiemi go dopiął, nam chwila jego wstąpienia na tron, i to na wielkie, świetne panowanie, przedstawia się jako apoteoza owych kondottierów, do których sto lat dziejów włoskich aż po połowę XV wieku należy. Sforza był z nich największy, ale po nim mieli już zniknąć z widowni. A pod wielu względami do nich podobny, już się on przecież od nich różni. Bo szukając ogólnego zewnętrznego typu tych ludzi, znajdziemy go chyba najprędzej w owych freskach Mantegni z życia św. Jakóba w kościele *dei Eremitani* w Padwie, w tych żelaznych rycerzach o twarzach chłopskich, twardych, upartych, z których przemawia cała powaga, ale i posępność wieków średnich. Z oblicza Sforzy na zachowanych podobiznach mówi już do nas inna, bliższa nam dusza: taki sam nos orli, silną szczękę, zaciśnięte usta, znamionujące upór i energię mógł mieć Braccio i Piccinino, Forelli lub Gattamelata, ale na twarzy Sforzy malują się jeszcze rysy inne, pogoda i wykwintność człowieka z epoki nowej, ucznia Guarina z Werony, przyjaciela Eneasza Sylwiusza i Medyceuszów. Dlatego był on też właśnie „człowiekiem wedle serca XV wieku“, bo odczuwał i wcielał to, co niósł z sobą temu wiekowi wielki, ożywczy powiew Odrodzenia. A stąd nawet w charakterystykach ówczesnych, tak zwykle jednostajnych, historycy, mówiąc o Sforzy, subtelniejszy o nim sąd wydają i delikatniejsze przypisują mu rysy, kiedy n. p. jeden z nich podziwia w nim *benignitatem in audiendo, facilitatem in judicando, mansuetudinem in parcendo, magnanimitatem, clementiam, sed imprimis felicitatem.* Dla nas charakterystyka tem bardziej pociągająca, że w prawnuku Sforzy, w naszym Zygmuncie Auguście, odnajdujemy te same cnoty, zalety i łaski Opatrzności, i odnajdujemy je wszystkie, prócz jednej niestety tylko — prócz ostatniej.

~~X.~~

Dla Wenecyi takie właśnie rozwiązanie kwestyi medyolańskiej było dotkliwem rozczarowaniem i ciosem. Z nadzieją nabycia Medyolanu dla siebie, z tym planem, który tak schlebiał dumie ambitnej rzeczypospolitej, a od śmierci ostatniego z Viscontich chwilami zdawał się urzeczywistnienia ~~na prawdę~~ bliskim, przyszło się jej teraz pożegnać na zawsze. W miejsce długoletniego wroga, najbardziej nieobliczalnego z ludzi, stawał wróg inny, który żelaznej swej wytrwałości i konsekwencyi takie był już złożył dowody, że zmiana ta była dla Wenecyan raczej zmianą na gorsze. Bo Filip Marya zmuszał ich wprawdzie do ciągłej czujności, ale w samej jego dziwacznej i chwiejnej naturze, którą znali na wskróś, leżała rękojmia ich przewagi, co też świetnie zawsze potrafili wyzyskać; potężna indywidualność Sforzy kładła natomiast tamę wszelkim ich zakusom zaborczym, była ~~sama przez się~~ widomą niejako ~~granicą~~ dla trzydziestoletniej chciwej ich polityki. Rozumiała to Signoria, a z pojęciem tem łączyło się poczucie gorzkie, że ten nowy sąsiad bądź co bądź za jej ~~osobistą sprawą i~~ pomocą, a do czasu nawet w jej własnej służbie, w taką się wzbił potęgę.

Zrazu wszelako po wkroczeniu Sforzy do Medyolanu wojska weneckie cofnęły się po za Addę, a na lagunach nastąpiła chwila ciszy i skupienia, ~~jakżeby~~ po nagłym a niespodzianym zawodzie. Zresztą obie strony potrzebowały wytchnienia: Sforza, aby ustalić swą władzę, Wenecya, aby się za nowym obejrzeć sprzymierzeńcem. Na Florencyę już bo-

wiem liczyć nie mogła, gdyż Cosma Medyceusz w jawnych dążeniach do rodzinnej oligarchii nie miał ani powodu ani ochoty oglądać się nadal na bratnią rzeczpospolitę. Przeciwnie poznawszy dokładnie ambicyę Wenecyi i bezwzględność jej wobec własnych nawet aliantów, wolał on stokroć nowe sąsiedztwo dawnego osobistego przyjaciela Sforzy, niż ciągłe niebezpieczeństwo grożące Toskanii ze zbytniego wzrostu rzeczypospolitej weneckiej. Prócz tego dalszą wojnę odwlekały do czasu inne z kolei wypadki: najpierw morowe powietrze, jedna z tych strasznych zaraz, które w XV w. kilkakrotnie dziesiątkowały Włochy; potem podróż weselna i koronacyjna cesarza Fryderyka III, podróż, której prześliczną illustracyę w pół wieku później malował na ścianach Librerii sieneńskiej Pinturicchio. Wbrew tradycyi Ottonów, Fryderyków i Henryków, a podobnie jak przed laty kilkunastu Zygmunt, wkraczał nowy cesarz prawie bez wojska do Włoch. Ale Zygmunta ignorowały niemal państwa włoskie w czasie trudnej jego koronacyjnej pielgrzymki, Fryderyka przeciwnie przyjmowano wszędzie z wyszukanym przepychem i zbytkiem. W wspaniałych uroczystościach współzawodniczyły Florencya, Neapol i Wenecya, ażeby przekonać tego intruza z północy, goniącego za przeżytą już mrzonką zachodniego imperium, o sile, bogactwie i potędze państw włoskich, na gruzach tego imperium wyrosłych. Z podziwem i lubością opisują mianowicie historycy współcześni wspaniałe łowy, któremi przy dźwiękach muzyki i w świetle pochodni król Alfons siostrzenicę swą, cesarzową Eleonorę, w grotach Solfatary witał.

Powierzchownego przecież tylko znaczenia i miru, jakiego Fryderyk we Włoszech zażywał, było dowodem i to, że nie opuścił był jeszcze półwyspu, kiedy z wiosną 1452 r. rozpoczynała się na nowo wojna. Dwuletnia ta walka, na długie czasy we Włoszech ostatnia, miała też być ostatnią, karykaturalną już prawie próbką wojen średniowiecznych włoskich. Sprzymierzeńcem Wenecyi był Alfons Arragoński, Sforzy Florencya; wojskami weneckiemi dowodził zrazu dawny pułkownik z pod znaków Carmagnoli, Bartłomiej Col-

leoni, potem Gentile da Leonessa, i młodszy Piccinino; wojsko medyolańskie prowadził sam nowy książę Medyolanu. Ale mimo takich sił i takich przeciwników, z wszystkich mało krwawych wojen tego wieku, była to chyba najmniej krwawa. Bo może właśnie dlatego, że chodziło o rozstrzygnięcie tak ważnej sprawy, jak sprawa lombardzko-wenecka, i podziału wpływu i włości pierwszych dwóch państw na północy półwyspu, nie śmiały strony sporne stanowczej wygrać karty. Dni, tygodnie i miesiące upływały więc na ciągłych marszach i kontrmarszach, na drobnych utarczkach, a częściej unikaniu się wzajemnem obu armij, na wyzywaniu do walki i miotaniu obelg z obozu do obozu, zaczem, jak pod Montechiaro, rozchodziły się znów wojska, każde w inną stronę. Jedynym ważniejszym chyba epizodem było pojawienie się przelotne wojsk francuskich pod Renatem Andegaweńskim, którego zwabił Kosma Medyceusz z po za Alp, ażeby wznowieniem długoletnich pretensyj andegaweńskich zachwiać tronem Alfonsa. Ale zaraz na wstępie, przy oblężeniu twierdzy Pontevico, bitność i zaciekłość żołnierzy francuskich, którzy wojnę brali nie na żarty, takie wśród milicyi włoskiej wywołały oburzenie, że połączone na chwilę pułki lombardzkie i weneckie wspólnie na cudzoziemców uderzyły i Sforza zaledwie zdołał rozdzielić walczących. Wkrótce potem Francuzi opuścili półwysep.

A jednak wojna ta, choć tak jednostajna, najobszerniejszej i niezmiernie charakterystycznej doczekała się monografii. W głównej kwaterze armii weneckiej pod Jakóbem Piccinino znajdował się bowiem literat z zawodu, Gianantonio Porcello de Pandoni, posłany do obozu przez pełnego zawsze fantazyi i ciekawości Alfonsa Arragońskiego, z rozkazem, aby mu składał relacye o wojnie, w której się mieli zmierzyć z sobą wodzowie tej miary, co Sforza i młodszy Piccinino. W górnolotnych szumnych heksametrach spisywał ów pierwszy reporter z drobiazgową dokładnością monotonne dzieje tej nieheroicznej wcale walki, przenosząc się od czasu do czasu i do przeciwnego obozu medyolańskiego, aby obie strony równie dobrze znać i z równą opiewać przedmiotowością. Przed-

miotowość tę stwierdza on i w tem, że się przez cały ciąg poematu z nieubłaganą wytrwałością Sforza Hannibalem, a Piccinino Scipionem nazywa, co nie przyczynia się pewnością do jasności opowiadania, ale musiało być niezawodnie równorzędnym dla obu stron komplementem w czasach, w których pytanie, kto większy, Hannibal czy Scipio, roznamiętniało umysły uczonych ¹).

Innego rodzaju świadectwo z owej chwili podaje w komentarzach swych innego też znaczenia historyk. Neri Capponi z Florencyi oskarża mianowicie Wenecyan, że w ciągu zimy 1453 r. chcieli otruć Sforzę. Trucizna miała mu być zadana w proszku rzuconym na ognisko, którego dym niechybnie zabijał. Tylko w ostatniej chwili ten, którego Rada Dziesięciu za grubą zapłatą do spełnienia zbrodni najęła, straciwszy rzekomo odwagę, odstąpił od zamiaru i zeznawał wszystko Sforzy, który w ten sposób ocalał. Zkąd Capponi wiadomość tę zaczerpnął, dociec trudno; ale mimo niezaprzeczonej powagi tego historyka nie można się oprzeć wrażeniu, że mu tym razem ponure to oskarżenie podyktowała nienawiść polityczna. Bo inni współcześni pisarze nie mówią o tem nic, a przecież nieodstępny sekretarz i najdokładniejszy biograf Sforzy, Simoneta, nie mógłby był zdarzenia takiej doniosłości i wagi zupełnem pominąć milczeniem.

Tymczasem wojna ciągnęła się leniwie dalej bez nadziei i widoków końca. Było to naturalnem następstwem długoletnich, prawie wiekowych sporów i waśni granicznych, w których ambicye osobiste tyranów i condottierów tak często górowały nad interesem ogólnym i ludzkim, że z błędnego koła mógł tę społeczność wybawić już chyba tylko jakiś wielki wypadek dziejowy, jakiś fakt wstrząsający sumieniem jej i duszą. I fakt taki zaszedł z wiosną 1453 r., kiedy nagle na chrześciańistwo zachodnie padła jak grom przerażająca wieść o upadku cesarstwa wschodniego i zdo-

¹) Porcellii: *Commentaria Jac. Piccinini.* — (*Rer. ital. script.* Muratori, t. XX, XXV).

byciu Konstantynopola przez Turków. Zadrżała Europa i po raz ostatni w szczerym zapale, choć na krótko, obudziła się w tej chwili przełomu średnich wieków najszczytniejsza z średniowiecznych myśli, myśl krucyaty. Zewsząd podnosiły się głosy wołające o zemstę za chrześciańską krzywdę, wielu przywdziewało już pątniczą suknię, lub zbroję krzyżowca, a na czele całego ruchu stanął wielki ~~i mądry~~ Mikołaj V, zasiadający podówczas na Stolicy Piotrowej. Pierwszem zadaniem papieża było pogodzenie poważnionych i walczących, których potem pod wspólnym chciał złączyć sztandarem, a za tem pokojowem wezwaniem poszli zrazu wszyscy. Bo i ~~w obozach stojących~~ obozy rozłożone naprzeciwko siebie na granicy lombardzko-weneckiej ~~za~~panowała na wiadomość o wzięciu Konstantynopola ~~rozpacz~~ trwoga i smutek: dowódzcy i żołnierze wyrzucali sobie tracony czas na bezbożnych zatargach i marnych walkach, które ~~marnowały próżno~~ najlepsze ich siły w ~~chwili~~, kiedy taki cios padał na chrześciaństwo. Nuncyusz papieski, kardynał Sant-Angelo, zagrzewał skruszone serca i zewsząd wołano o pokój wewnętrzny, a potem o nową, świętą wojnę.

Ale na świecie było już za późno. Bo choć w tym wiosennym zkądinąd brzasku Odrodzenia, duchom szersze zdawały się wyrastać skrzydła, to dusze nie były już zdolne wzbić się do tych wyżyn, na które je niósł boży zapał najwznioślejszych chwil wieków średnich. Oczy Sforzów, Medyceuszów, ~~Alfonsów~~ Farrazonów wlepione w dół, w tę ziemię, z której z pod rumowiska ~~czasów~~ stuleci wyłaniał się duch starożytności z całym swoim czarem, ale i z zimnem marmurowego swego piękna, nie umiały się już podnieść w górę i patrzeć w niebiosa tak, jak w nie patrzyli Gotfrydy, Bohemundy i Tankredy.

To też mimo zabiegów i usiłowań papieża kongres zwołany w Rzymie zamiast zgody, nowe tylko wzniecał niesnaski; kiedy bowiem pokój miał być na długie lata zawarty, wszyscy w ostatniej chwili jak największe jeszcze dla siebie wytargować chcieli zyski~~; każdy żądał tego, o co prowadził wojnę~~, a wśród tych sprzecznych interesów i roszczeń porozumienie było niepodobne. Znający się najlepiej na dyplomacyi Wenecyanie odgadli też pierwsi, że wobec

tak licznych egoizmów i apetytów, z tej za szeroko założonej akcyi owoców być nie może. Dlatego postanowili porozumieć się wprost i bezpośrednio z Sforzą, i w tym celu, a w największej tajemnicy przed resztą stron spornych, wysłali do niego najpierw zakonnika Szymona de Camerino, potem przebranego w zakonny habit franciszkański prokuratora rzeczypospolitej Pawła Barbo. Sforza, który nie wierzył już także w pomyślny rezultat kongresu rzymskiego, przyjmował proponowane mu warunki i 9 kwietnia 1454 r. ku ogólnemu zdziwieniu i niespodziance ogłoszonym został pokój zawarty w Lodi, mocą którego Wenecya uznawała nareszcie nowego sąsiada księciem na Medyolanie, oddając mu nadto sporną Ghiaradaddę, ale zatrzymując w zamian na własność miasta i prowincye Brescii, Bergamo i Cremy.

Śmiałym rzutem strony zawierające pokój stypulowały w nim także warunki dla reszty stron spornych, a chociaż takie samowolne dyktowanie praw całym Włochom obraziło zrazu tych, którym Wenecya i Medyolan wolę swą narzucić chciały, przecież głębsza myśl Sforzy stworzenia na podstawie traktatu w Lodi ogólnej ligi pokojowej włoskiej, przyjęła się wkrótce. Za przykładem Wenecyi i Florencyi przystąpili do niej z kolei książęta Sabaudyi, Montferratu i Mantui, potem Siena, Lucca i Bolonia, a wreszcie w styczniu 1455 r., na umyślnem naleganiem i prośbą papieża, wahający się najdłużej Alfons Arragoński. I tak za inicyatywą najszczęśliwszego z kondottierów kończyły się te wojny lombardzkie, które niemal od początku wieku zakłócały spokój w całych Włoszech; ale w błogiej słodyczy tego spokoju, od którego byli już odwykli, zapomnieli wnet Włosi o świeżej klęsce chrześciaństwa; przelotny zapał ostygł, a tymczasem Turcy rozsiadali się bezpiecznie na gruzach wschodniego imperium.

Dlaczego Wenecya, jako pierwsza potęga morska, nie podążyła w porę z pomocą upadającemu cesarstwu, z którem ją łączyły naturalnym węzłem wspólne interesa na wschodzie? Dlaczego z dziwną obojętnością, prawie jakby na żart, w chwili zbliżania się Mahometa II pod mury Konstantyno-

pola, wysłała w stronę Bosforu sześć tylko okrętów, które zresztą nie dopłynęły nawet na czas? Czy wstrzymały ją od śmielszej akcyi, tak jednak, zdawałoby się, dla niej ważnej, bliższe wypadki na półwyspie i polityka zaborcza na stałym lądzie, którą od trzydziestu lat wytrwale prowadziła? Czy może wreszcie, znając z wszystkich najlepiej potęgę turecką, wiedziała, że nic już przed jej parciem zmurszałego cesarstwa ochronić nie zdoła? Jakiekolwiek były tej bierności Wenecyi w chwili stanowczej powody, po pogromie zmierzyła i oceniła od razu wszystkie jego następstwa i jak zawsze dyplomatycznie giętka, natychmiast w nowem położeniu odnaleść się zdołała. Z rozkazu Signorii ruszał Bartłomiej Marcello w poselstwie do sułtana i nie minął rok od zdobycia Konstantynopola, kiedy już stosunki Wenecyi z nowym wschodnim sąsiadem określone były jasno i zawarowane traktatem, w danych warunkach zupełnie dla rzeczypospolitej korzystnym. Traktat ten gwarantował bowiem Wenecyanom wolność ruchu i handlu w całem państwie tureckiem, okrętom ich pozwalał zawijać do wszystkich tureckich portów, a poddanych rzeczypospolitej zamieszkałych w Turcyi stawiał pod opiekę i jurysdykcyę posłów weneckich.

Tak więc z tej dziejowej katastrofy wychodziła Wenecya obronną ręką i ośmdziesięciokilkoletni Francesco Foscari, z dumą mógł na długi okres swego panowania spoglądać. Bo owoce były świetne: w wojnach lombardzkich zdobyte trzy bogate prowincye Brescji, Bergamo i Cremy; w r. 1441 po wygnaniu rodu Polentów, dobrowolne, zręczną dyplomacyą Wenecyi przygotowane i doprowadzone do skutku poddanie się Rawenny; długi spór z patryarchą Akwilei, wszczęty jeszcze za rządów Tomasza Mocenigo, zakończony oddaniem Friulu na własność rzeczypospolitej; — z trzech więc stron na północ, zachód i południe daleko posunięte granice, głęboko worane zagony w stały ląd włoski. Z nieprzyjaciół najdawniejszy, Visconti, w grobie, a następca jego, Sforza, rozbrojony w chwili krytycznej traktatem w Lodi; zdrada Carmagnoli, która w przepaść mogła wtrącić państwo, odkryta na czas i stłumiona w zarodzie, a pomszczona na wieczny

przykład „pomiędzy dwiema kolumnami". Na lagunach zaś, mimo odzywających się niekiedy skarg na zbyt długie wojny utrudniające handel, zwiększające podatki i tamujące kredyt, wszędzie ład, rozkwit, przepych i bogactwo.

Po raz drugi w ciągu wieków użyźniał właśnie i zapładniał Italję duch grecki. Pod naporem tureckim ustępujący uczeni greccy chronili się na sąsiedni półwysep, a pierwszą przystań znajdowali w Wenecji. Przesuwają się przez nią z kolei Chrysoloras, nauczyciel wszystkich niemal znaczniejszych humanistów włoskich z XV wieku, potem Lascaris, Chalcondylas, Mosco, a godny pod tym względem współzawodnik Mikołaja V, Bessarion, gromadzi tu najcenniejsze rękopisy starożytne, które wkrótce przekaże Signorii na własność, jako główny fundament założonej z darów Petrarki bibljoteki św. Marka. W czasach, w których Kosma Medyceusz słał Alfonsowi Arragońskiemu na znak przyjaźni, a jako zadatek pokoju, rzadkiego Liwjusza, w których Lucca składała u stóp Filipa Marji w dowód wdzięczności za doznaną opiekę inne dwa cenne rękopisy, przykład Bessariona i w Wenecji znaleść musiał naśladowców. To też Ermolao Barbaro, a obok niego syn doży, Jakób Foscari, zbierają skrzętnie starożytności, a wyszukują i skupują ciekawe i rzadkie rękopisy. Główną mistrzynią edukacji Wenecjan pozostaje i nadal Padwa, ale w połowie XV wieku otwierają oni katedry filozofji i w samej Wenecji; pierwszą lekcję wygłasza Dominik Bragadino, a obok niego wykładają inni młodzi patrycjusze.

W ślad za tym ruchem idzie spóźniony wprawdzie w stosunku do reszty Włoch, ale niemniej żywy i indywidualny rozkwit sztuki. Lubujący się we wspaniałości Foscari, godny tej wspaniałości chce zostawić pomnik i obok kościoła św. Marka, którego romańsko-bizantyńska fasada stroi się właśnie w tej chwili w gotyckie ozdoby, aby połączyć naprzekór wszystkim regułom akademicznym wszystkie epoki i style w jeden dziwny, czarowny, olśniewający kwiat; obok tego fantastycznego grobu patrona i opiekuna rzeczypospolitej, rośnie pod kierunkiem Buonów to równie fantastyczne

mieszkanie pierwszych tej rzeczypospolitej dostojników, na zgliszczach dawnego nowy pałac Dożów, którego budowa zdaje się znów urągać wszelkim stałym zasadom już nie tylko architektury, ale samejże balistyki, zawieszając cały swój ciężar w górze, na misternej lekkości dolnych portykach. Za przykładem danym przez dożę, który prócz tego zakupuje, rozszerza i odnawia skonfiskowany pałac po Sforzy, idzie wnet patrycyat wenecki i wzdłuż Wielkiego Kanału obok starszych pałaców Loredanów, Farsettich, Marcellów w poważniejszym stylu bizantyńsko-romańskim, obok mau-rytańskiego *Fondaco dei Turchi*, stają ze swoją filigranową prawie koronką z kamienia owe prześliczne pałace Foscarich, Pisanich, Giustinianich, Cavallich, nadewszystko zaś ta perła z nich najczystsza, przez Buonów dla Marina Contarini zbudowana Ca d'Oro. A że się w Wenecyi wszystko inaczej jak w reszcie Włoch dziać musi, więc tu nie zakwita dopiero wprawdzie, ale rozkwita w najlepsze gotyk w chwili, kiedy inne miasta włoskie zrywają z nim na zawsze i przechodzą do klassycznych linij wczesnego Odrodzenia. Lecz tam linie te stosują się jeszcze do monumentalnej, obronnej architektury średniowiecznej, jak świadczą pozostałe z tej właśnie epoki forteczne prawie mury dumnych pałaców Pitti, Riccardi, Strozzi we Florencyi. Tu, gdzie Adryatyk falą swoją jakby naturalnym a najpewniejszym murem okala miasto, traci gotyk całą swoją groźną mistyczną cechę: uzmysłowiony, otwiera przewiewny portyk do zażywania wczasu, a rozkoszny balkon dla słuchania serenady.

W parze z architekturą rozwija się rzeźba, jak świadczą rozsiane po kościołach weneckich pomniki poprzedników Foscarego, Michała Steno lub Tomasza Mocenigo, a jeżeli malarstwo nie nadąża zrazu za rozkwitem ogólnym w innych miastach włoskich, jeżeli do dekoracyi nowego pałacu Dożów zapożycza się Wenecya i sprowadza z Umbryi Gentilego da Fabriano i Pisanella, to przecież ma ona już i swoje na tem polu zdrowe, samorodne talenta, bo te męzkie, poważne postacie na obrazach Vivarinich oddają sumiennie i pewnością wiernie charakter ówczesnych Wenecyan. A nie-

bawem ci surowi i ziemi święci, i sztywną prawie dumą senatora weneckiego z wieków średnich, wyjdą ze złotego tła, pomieszają jednostajne szyki symetryi, zbliżą się do ludzi i wśród dźwięku lutni i fletów przygrywających z nabożnem weselem aniołków zacznie się *Santa Conversazione*; w dwa lata po wstąpieniu na tron Foscarego, rodzi się Giovanni Bellini.

Z szerzeniem się humanizmu i rozkwitu sztuki łagodniały obyczaje, ale wzmagał się zbytek. Kronikarz z Lio opowiada w r. 1433, że „gdy się na placach weneckich ukaże przeszło sześćset kobiet ubranych w jedwabne złote stroje, wyszywane klejnotami“, to widok taki jest istotnie wspaniały, *è maestà vederle*; zakonnik natomiast z północy, Feliks Faber, widząc taki orszak posuwający się na procesyi za Najświętszym Sakramentem, pyta z przestrachem, czy to pochód chrześcijanek, a nie raczej matron trojańskich i towarzyszek Heleny. Daremnie w r. 1437 św. Wawrzyniec Giustiniani, pierwszy patryarcha wenecki po przeniesieniu patryarchatu z Grado na laguny, zakazywał Wenecyankom nadto kosztowne przywdziewać szaty: Wenecyanki rekurowały podobno aż do Rzymu i Rzym, podobno, im przyznał racyę. Daremnie za pomocą t. zw. *leges sumptuariae* z urzędu zwalczano zbytek: każdy zakaz obejść lub zbytek innym zbytkiem zastąpić się dało, i gdy n. p. w r. 1440 senat osobnym edyktem nakazywał obciąć zbyt powłóczyste ogony sukien, panie weneckie wymyśliły wnet złote, drogiemi kamieniami wysadzane szpilki, podpinające suknie.

Roztaczaniem przepychu lubiła Wenecya przedewszystkiem olśniewać dostojnych gości, zjeżdżających w odwiedziny doży, i kronikarze współcześni rozpisują się szeroko o fetach powitalnych na cześć Sforzy, Kosmy Medyceusza, Jana Paleologa, Fryderyka III, kiedy jako ostatni z koronowanych w Rzymie cesarzy wracał po za Alpy, wreszcie królewicza portugalskiego, Piotra, przyjmowanego za przyjazdem z Ziemi Świętej w Wenecyi balem, na którym wystąpiło „sto dwadzieścia pań przybranych w złociste, rzędami

pereł i brylantów naszywane szaty, a sto trzydzieści w szkarłatnych sukniach, również pokrytych klejnotami". Foscari przecież, który wobec zazdrosnej arystokracyi chętnie działał na wyobraźnię ludu, aby go sobie jednać, wyjątkowym i szczególnym blaskiem otaczać przedewszystkiem lubił uroczystości dotyczące własnego nazwiska i domu. Po jego elekcyi rok trwały zabawy, turnieje i regaty, w których uczestniczyła cała Wenecya, zaczem dopiero doża małżonkę, Marinę Nani, wprowadził do pałacu. A kiedy w r. 1441 Jakób Foscari pojął za żonę Lukrecyę Contarini, miasto zaledwie pomieścić mogło przybyłych zewsząd gości. Przed pałacem Contarinich rzucono most wysłany drogiemi kobiercami przez Canal Grande, a młodzi patrycyusze z kompanii *della Calza*, przybrani „w żupany z karmazynowego jedwabiu, w kaftany z srebrnego brokatu, z rękawami podszytemi futrem, i w czerwonych czapkach *alla Sforzesca* na głowie, wiedli konno, jakżeby w pochodzie tryumfalnym, młodą parę. Wieczorem, kiedy miasto zajaśniało illuminacyą, sto pięćdziesiąt strojnych pań odwiozło oblubienicę na Bucentaurze do pałacu Dożów, a przez kilka następnych dni trwały jeszcze ~~uroczystości~~ i zabawy, wielki turniej wyprawiony przez Sforzę i drugi przez samego dożę, którym się przypatrywało na placu św. Marka trzydzieści tysięcy widzów.

Ale miał to być ostatni dzień wielkiego wesela w domu Foscarich. W zbiorach Muzeum Correr w Wenecyi znajduje się ciekawy nader portret doży Foscarego, pendzla Andrzeja z Murano. Z pod czapki książęcej z rogiem i złotą przepaską wyziera duża, mięsista twarz człowieka sześćdziesięcioletniego, o pospolitych raczej rysach, lecz uderzająca wyrazem silnej woli w cienkich, zaciśniętych szczelnie ustach, a bystrości i jakby pytającego zaciekawienia w dużych ~~a łagodnych~~ jasnych oczach. Takim był zapewne Foscari w czasie wojen lombardzkich z Viscontim, kiedy mężnie i wytrwale, a z taką chwałą przeprowadzał program swej lądowej polityki i rozszerzał granice rzeczypospolitej, sam zaś z rodem swoim rósł w sławę, znaczenie i wziętość.

Innym się on nam przedstawia natomiast w marmurowem popiersiu, zachowanem w pałacu Dożów. Ta sama to głowa duża i gruba, ale z twarzą zgrzybiałego starca, pooraną zmarszczkami w szerokie bruzdy i z wyrazem takiego znękania i troski, że zobaczywszy ją, zapomnieć jej nie łatwo. Tak musiał wyglądać Foscari w ostatnich latach panowania, wśród długiej a okrutnej tragedyi swego domu.

XI.

W lutym 1444 r. doniesiono Radzie Dziesięciu, że Jakób Foscari odbierał i przyjmował tajemnie podarunki od Filipa Maryi i od Sforzy. Sprzeciwiało się to wyraźnym przepisom rzeczypospolitej, utwierdzonym nadto przysięgą składaną przez dożę po elekcyi, którą się obowiązywał, że „ani on, ani żona jego, synowie lub synowe“ nigdy od nikogo żadnego nie przyjmą daru i że im nawet po za granicami państwa „z wiktuałów, zwierzyny lub drobiu“ — *in victualibus et bestiis et volatilibus silvestribus et domesticis tantum ad comedendum et pro victu unius diei* — „tylko prowiant na dzień jeden przyjmować będzie wolno“. Rada Dziesięciu wzmocniona *giuntą* dwudziestu patrycyuszów nakazywała natychmiastowe uwięzienie przestępcy, żądając równocześnie od doży, ażeby syna, którego odnaleźć nie zdołano, do stawienia się przed sąd nakłonił. Ale Jakób umknął był tymczasem do Tryestu, a ucieczka ta zdawała się stwierdzać jego winę, którą zresztą zeznawali na torturze kapitan portowy z Rialto, Olivier, i słudzy jego właśni, Piotr Varoter i Kasper Niemiec. Gdy zaś sam obwiniony w kilka dni później sędziom doniósł, że jest w Tryeście, ale że dla ciężkiej niemocy wrócić i stanąć przed trybunałem nie może, 20 lutego obwieściła Rada Dziesięciu wyrok, skazujący go na dożywotnie wygnanie za zbrodnię „naruszającą cześć rzeczypospolitej“. I tego samego dnia ruszał Marco Trevisani do Tryestu, aby żądać od tamtejszych władz wydania skazanego, któremu wyznaczono na miejsce stałego pobytu miasto

Napoli w Romanii, a rozkaz ten dotyczący banicyi syna rozpoczynał się zwykłą formułą ojca: *Nos Franciscus Foscari Dei gratia Dux Venetiarum.*

Na prośbę doży, aby matka istotnie ciężko chorego syna w Tryeście odwiedzić mogła, Rada suchą odpowiadała odmową, żądając nadto, ażeby doża uznał sprawiedliwość wyroku i wydał owe podarunki, których przyjęcie syn taką opłacał karą. Doża odmawiał, a tymczasem majątek Jakóba obłożono sekwestrem; tylko na prośby jego własne, poparte przez przyjaciół i krewnych w Wenecyi, odstąpiono od zamiaru zasłania go do Romanii i wyznaczono mu bliższe Treviso na miejsce stałego pobytu, grożąc więzieniem, gdyby tę przymusową siedzibę śmiał opuścić. Pomiędzy Tryestem, Treviso, wreszcie Mestre, płynęły więc pierwsze lata wygnania młodego Foscarego, aż w r. 1446 odezwał się znów błagalny głos ojca, żebrzącego u surowej Rady łaski dla jedynego syna. W przejmujących słowach kreślił doża obraz swej smutnej sędziwości — *la sua extrema e fadigosa vechieza* — w sieroctwie po nieszczęśliwym jedynaku, tułającym się w znękaniu duszy i ciała już trzy blisko lata „po obcych domach“ — *per le case di altri* — a głos ten trafił tym razem na serca dostępniejsze litości i „ze względu na wielkie zasługi ojca około rzeczypospolitej, jako i na to, że mu z licznego potomstwa Opatrzność tylko tego jednego pozostawiła syna, syn ten, Jakób Foscari, ułaskawiony wrócił do Wenecyi.

Trzy lata schodziły mu tam spokojnie wśród rodziny i pod bokiem ojca, kiedy 5 listopada 1450 r. wykrycie niezwykłej zbrodni grozą całe przejęło miasto. Morderstw w Wenecyi nie brakło, ale tym razem osoba, ród i stanowisko ofiary zdwajała znaczenie wypadku, bo ofiarą tą był Ermolao Donato, jeden z najznakomitszych patrycyuszów rzeczypospolitej, którego w chwili, gdy wracał do domu z posiedzenia Pregadów, nieznany morderca zasztyletował na ulicy. Zebrana nazajutrz Rada Dziesięciu wdrożyła śledztwo, i na placu św. Marka, na Rialto i po wszystkich większych ulicach ogłoszono natychmiast obwołaniem i pismem wysoką

nagrodę dla tego, który zbrodniarza wykryje i wyda, obiecując nadto bezkarność mordercy, jeżeli działał z cudzego rozkazu i wymieni instygatora nazwisko. Mijały przecież dni i tygodnie, a wszystkie poszukiwania były daremne, bo morderca, jakżeby w wodę wpadł, żadnego po sobie nie zostawił śladu, i trybunał daremnie premię dla donosiciela zdwajał, sam się zaś w podejrzeniach coraz bardziej gubił, już nawet około mogiły zamordowanego robiła się cisza, kiedy wtem 2 stycznia 1451 r. w osławionej „lwiej paszczęce“ całej inkwizytorów znaleziono nareszcie zbyt długo oczekiwaną denuncyacyę. I tegoż samego dnia jeszcze odpowiadała na nią Rada Dziesięciu aresztowaniem Jakóba Foscari.

Donosicielem był niejaki Antonio Venier Brasiola, człowiek znany z lekkomyślnego życia i najniższych namiętności, indywidyum tak podejrzane, że jeden z radców, Luca da Lezze, nie wahał się twierdzić, iż mu denuncyacyę „chciwość raczej niż prawda“ — *potius gulositas quam veritas* — podyktowała, że więc nie należałoby się z nią liczyć. Nie przychyliła się jednak do tego zdania większość Rady i rozpoczął się proces. Choć wyrok o „pismach“ wspomina, świadectw innych, prócz donosu Veniera, w procesie niema śladu, a nawet brat Donata, zapytywany przez trybunał, czy zmarły żył z kim w niezgodzie odpowiadał wymijająco, zasłaniając się nieświadomością i dodając tylko, że zamordowany przed skonaniem mordercy przebaczył. Ale za podstawę podejrzenia brano nieszczęsny dla Jakóba Foscarego zbieg okoliczności, że właśnie ów Ermolao Donato był jedną z „głów“ Rady Dziesięciu, w chwili pierwszego procesu i skazania go na wygnanie, że więc z pewnością zemsta pchnęła go do zbrodni. Nadomiar złego nazajutrz po zasztyletowaniu Donata prokurator św. Marka, Benedetto Gritti, spotkał był wczesnym rankiem w Mestre sługę młodego Foscarego, Oliwiera Sguri, i ten mu opowiedział pierwszy o zbrodni, wykrytej poprzedniej nocy w Wenecyi. Już wtedy uderzyło Grittiego, zkąd wiadomość ta, zaledwie znana w mieście, tak rychło i po za miasto doszła, i odrazu miało się w nim obudzić podejrzenie, czy nie sam właśnie morderca, a sługa

domu Foscarich, wieści mu tej udzielił. Niepewny ten zrazu domysł denuncyacya Brasioli zdawała się teraz potwierdzać.

Na takich słabych, niemal błahych wskazówkach oparte dochodzenie nie było przecież wystarczające, więc 6 lutego postanowiła Rada Dziesięciu zejść nazajutrz do więzień, aby tam, w sali tortur, przesłuchać oskarżonego. Jeżeli nie, jak opowiadają niektórzy historycy, w obecności i pod okiem sędziwego ojca, to wszelako w pobliżu i prawie pod jego bokiem rozpoczynały się więc męczarnie syna i ten najambitniejszy może z dożów weneckich, starzec pełen zasług i chwały, musiał się teraz we łzach i bezsilnej zgryzocie korzyć przed nieubłaganą surowością ponurego trybunału, który jak fatum ciężył nad Wenecyą i tak samo mógł zmiażdżyć najnikczemniejszego ze złoczyńców, jak i pierwszego dostojnika, samą głowę rzeczypospolitej. Nie mogąc powagą swego dostojeństwa osłonić syna, musiał nią niejako osłaniać jego oprawców, a nie miał już nawet prawa ustąpić ze stanowiska. Bo gdy w r. 1442, potem po raz trzeci w r. 1448 ponowił był, z nieznanych zresztą powodów, prośbę wniesioną już przed laty piętnastu o zwolnienie z urzędu, Rada odbierała od niego przysięgę, że stanowiska nie opuści i teraz związany nią, musiał na niem trwać, choć mu donoszono jak syna „z rozdartemi członkami, zbroczonego krwią i bliskiego śmierci“ odnoszono z sali tortur do celi więziennej.

Ile razy brano Jakóba Foscarego na męki, tego z aktów dojść nie można. Ale to wiadomem, że go torturowano po raz pierwszy 7 lutego, a wyrok zapadł dopiero 26 marca, wyrok dziwny, przyznający jakoby niemoc trybunału, bo opiewający, że oskarżony „dla uporu“ — *propter obstinatam mentem* — żadnych zeznań uczynić nie chciał „o prawdzie stwierdzonej świadectwami i pismem“. Zgrozą zaś przejmują dalsze słowa, „że na torturze nie zdradził się obwiniony ani słowem, ni nawet jękiem, tylko coś niezrozumiale przez zęby szeptał“ — *solum inter dentes videbatur loqui.* Tym samym przecież wyrokiem skazywał trybunał nieszczęśliwego na dożywotnie wygnanie na wyspie Krecie; mieszkać miał w Ka-

nei i tam się codziennie u rektorów miasta meldować; rektorom zaś nie było wolno oddawać mu jakichkolwiek oznak czci, „sadzać go po prawicy, lub podawać mu prawą rękę“; słowem nie synem doży, ale zwykłym miał być dla nich skazańcem. W razie zaś ucieczki i schwytania, czekała go kara śmierci. W nocy 29 marca nadpłynęli „stróżowie nocy“ — *Signori di notte* — z łodziami swemi po za pałac Dożów i przewieziono skazańca na okręt ~~Łukasza Mantello~~, który z brzaskiem dnia opuścił Wenecyę. Równocześnie zaś przewodniczący Rady Dziesięciu szli do Francesca Foscarego, aby mu donieść o zapadłym i spełnionym wyroku i zalecić „cierpliwe poddanie się“ woli trybunału.

I znowu przez lat kilka głucho o Jakóbie Foscarim, aż w lecie 1456 r. pojawia się nagle w Wenecyi niejaki Luigi Bochetta, szpieg w służbie Rady, aby jej z rozkazu rektorów Kanei zdać sprawę „w rzeczach ważnych“, dotyczących dostojnego wygnańca. Natychmiast żąda znów Rada wyboru dwudziestu patrycyuszów i wzmocniona tą *giuntą*, przegląda nadesłane papiery, między któremi znajduje list Jakóba do księcia Medyolanu, Sforzy, z prożbą o wstawienie się za nim, wyjednanie mu łaski i prawa powrotu do Wenecyi, a prócz tego pisemne doniesienie rektorów, że się wygnaniec za pośrednictwem niejakiego Genueńczyka, zamieszkałego na Krecie, znosi i porozumiewa z Turkami, aby sobie za ich pomocą ułatwić ucieczkę.

List do Sforzy, mówi Sanuto, podyktowała Foscaremu tęsknota za żoną, dziećmi i starymi rodzicami, których chciał choćby raz w życiu jeszcze oglądać. Pismo więc umyślnie zostawił na stole otwarte, aby nie uszło baczności otaczających go szpiegów, a potem powierzył je rzeczonemu Bochecie, donosicielowi z zawodu, wiedząc, że w ten sposób list nie do Medyolanu, tylko do Wenecyi dojdzie. Bo wiedział także, że o tę nową winę nowy się rozpocznie proces, może nowe nawet męki, że przecież na nowy proces czy męki sprowadzą go do Wenecyi, dokąd choć więźniem powróci. I nie omylił się; 21 lipca siedział już bowiem w więzieniu w Wenecyi, a oto jak wymowny w ścisłości swej Sanuto

przebieg tej sprawy opisuje: „W śledztwie odrazu zeznał otwarcie, że list ten napisał umyślnie, choć wiedział, że przeczytanym będzie, a to, ażeby zobaczyć raz jeszcze przed śmiercią ojca dożę i matkę, a potem na wygnanie powrócić. Więc 24 lipca, po ukończeniu dochodzenia, nakazano mu wrócić do Kanei, gdzie rok miał siedzieć w więzieniu; a gdyby się znów do jakiego księcia zagranicznego pisać ośmielił, to więzienie miało być dożywotnie. Doża zaś i dogaressa, żona i dzieci otrzymali pozwolenie odwiedzenia go w więzieniu. Ale w czasie śledztwa, aby dojść czy mówi prawdę, wzięto go na torturę i trzydzieści razy przebył mękę sznura, tak, że był rozdarty *(aperto)*. I za zezwoleniem Rady Dziesięciu zaprowadzono go do celi, gdzie go miano leczyć i tam szedł doża, aby go zobaczyć i uścisnąć. Doża był stary i zgrzybiały i wlókł się o kiju. A doszedłszy, przemówił poważnie, jak gdyby nie do syna, i to syna jedynego. I Jakób rzekł: „Panie ojcze, wstawcie się za mną, aby mi wolno było powrócić do domu". A doża odpowiedział: „Jakóbie, idź i słuchaj rozkazów rzeczypospolitej — *va e obbedisci a quello che vuol la terra* — i nie oglądaj się za niczem innem". Ale powiadają, że doża wróciwszy do pałacu zemdlał, a Jakóba odesłano na wygnanie do Kanei".

W ten sposób kończył się ten trzeci z rzędu proces Jakóba Foscari. W pierwszym nie był on bez winy, bo w kilka lat później wydano nareszcie Radzie skrzynię, zawierającą srebro i tysiąc czterysta dukatów, które mu był przesłał Sforza, choć nie wiadomo, czy w celu przekupienia go w pewnej jakiejś danej sprawie, czy wogóle dla zaskarbienia sobie jego łaski. Ale już tu, kara dożywotniego więzienia, zmieniona potem jedynie w drodze łaski, nie odpowiada mierze przewinienia, ma wszystkie cechy wyjątkowej i umyślnej surowości. W drugim procesie surowość ta przemienia się w okrucieństwo, bo wyrok zapada tylko na podstawie denuncyacyi człowieka złej sławy, choć obwiniony na torturze milczy i milczeniem niewinność swą stwierdza. I rzeczywiście w kilka lat potem, jak znów zapisuje Sanuto, zeznał niejaki Niccolo Erizzo spowiednikowi na łożu śmierci, że on

to zamordował Ermolaa Donato, aby się na nim w osobistej pomścić sprawie, że więc Foscari był niewinny. A już wyszukanej wprost zawziętości przykład daje trybunał w trzecim procesie, torturując obwinionego, choć się ten do winy, do napisania owego listu do Sforzy, otwarcie i dobrowolnie przyznał. Foscari wiedział, że list ten do rąk Sforzy nie dojdzie nigdy, ale nawet gdyby był chciał i mógł z nim do księcia Medyolanu trafić, czyż zbrodnia była tak wielka, w czasach, kiedy pokój zawarty w Lodi zgoił był już rany zadane w wojnach lombardzkich i zbliżył zaprzyjaźnione zresztą osobiście ze sobą rody Foscarich i Sforzów? Nawet zetknięcie się z prawdziwymi nieprzyjaciółmi rzeczypospolitej, z Turkami, traci cechę cięższej winy, kiedy się zważy, że tą drogą ratował się niesprawiedliwie skazany i niewinny.

Czemże więc wytłomaczyć sobie w tej właśnie sprawiedliwej zresztą Wenecyi tę wyjątkową zajadłość, z jaką Rada Dziesięciu tak długo Jakóba Foscarego ścigała? Odpowiada na to przedewszystkiem nazwisko, które przez cały ciąg tych procesów ustawicznie wraca i złowrogo pobrzmiewa, nazwisko Loredanów. W chwili pierwszego skazania Jakóba Foscarego jednym z trzech przewodniczących Rady Dziesięciu, jest Loredano Francesco; w czasie drugiego procesu zasiada pomiędzy wybranymi *giunty* Loredano Lodovico; w trzecim zaś procesie występuje aż dwóch Loredanów, Jacopo jako głowa, Lorenzo jako członek Rady. Przeczy wielu nowszych historyków, ażeby wpływ jednego rodu i nienawiść jednego domu tak ciężko na szali sprawiedliwości ówczesnej zaważyć mogła. A przecież całą średniowieczną i późniejszą nawet historyę włoską wypełniają, a często o jej biegu i losie stanowią zaciekłe spory i krwawe nieraz walki takich Orsinich i Colonnów, Medyceuszów i Albizzich najpierw, potem Pazzich. Nigdzie zaś chyba nie musiały nienawiści owe wydatniejszego znaleźć gruntu, jak w tej handlowo-arystokratycznej oligarchii weneckiej, gdzie składały się na nie równocześnie ambicya polityczna, współzawodnictwo rodowe i zazdrość kupiecka.

W wiekach wcześniejszych opowiada historya wenecka o zaciekłych rywalizacyach Candianów i Orseolich, Caloprinich i Morosinich, Dandolów i Tiepolów; wiek XV, a przynajmniej pierwszą jego połowę, wypełnia zawiść Loredanów i Foscarich. Spór wszczął się w czasie elekcyi Foscarego, kiedy musiał zwalczał i zwalczył kandydaturę wielkiego admirała rzeczypospolitej i pogromcy Turków, Piotra Loredana. Zawiedziony dumny senator mścił się odtąd wytrwale, sprzeciwiając się, gdzie mógł, woli doży i podkopując jego powagę. Próżno próbował Foscari ułaskawić sobie niebezpiecznego wielkim wśród patrycyatu wpływem wroga; próżno dla uśmierzenia sporu własną mu córkę na synowę chciał oddać; hardy Loredano odmawiał, a obrażony taką obelgą doża, głośno w niebacznym wołał gniewie: „Póki ten człowiek żyje, nie będę się czuł nigdy panem rzeczypospolitej!“ Okrzyk ten nieśli zawistni donosiciele do pałacu Loredana, i gdy fatalnym zbiegiem okoliczności wkrótce potem w ciągu wojny lombardzkiej z r. 1438 wielki admirał nagle prawie w obozie umarł, gdy niezadługo równie nagle skończył brat jego Marek, a to właśnie w chwili, kiedy z rozkazu Wielkiej Rady wdrażał śledztwo przeciwko zięciowi doży, oskarżonemu o nadużycia w sprawowaniu urzędu proweditora, w stronnictwie Loredanów mówiono głośno o otruciu, a cicho, że trucicielem był sam Foscari, syn Marka a brataniec zmarłego admirała, Jakób, na grobowcu stryja pod pochwalnym napisem i te zjadliwe słowa ryć kazał: *Per insidias hostium veneno sublatus* — „za zdradą nieprzyjaciół otruty“. Odtąd wśród wszystkich spadkobierców tej nienawiści, czy im Jacopo czy Lorenzo, Francesco czy Lodovico na imię, rosła jeszcze żądza zemsty i stąd owe złowrogie brzmienie ich nazwiska w procesach młodego Foscarego. A znamiennem jest mianowicie, że gdy za trzecim wyrokiem obaj inni przewodniczący Rady Dziesięciu, Cornaro i Valaresso stawiali wniosek, aby winowajcę napowrót na Kretę odesłać, wniosek, do którego przychyliła się i większość Rady, jeden Jakób Loredano żądał, ażeby „nazajutrz między dwiema kolumnami ścięto Foscaremu głowę, tak, aby umarł“ — *ita ut moriatur*.

Lecz i tu, z odesłaniem na Kretę skazańca, nie było jeszcze końca tragedyi Foscarich. Ojciec jeszcze raz próbował zmiękczyć zatwardziałe serca sędziów i stronnicy jego domu jęli się właśnie krzątać za wyjednaniem łaski dla nieszczęśliwego wygnańca, gdy wtem nadeszła z Kanei wiadomość, iż Jakób Foscari 12 stycznia 1457 r. niespokojny swój żywot zakończył. I zdawało się zrazu, że ci, którzy nie umieli przedtem ulitować się boleści ojca, potrafią chyba teraz uszanować jego żałobę, że torturą i więzieniem zamęczywszy syna, ojcu przynajmniej spokojnie umrzeć dozwolą. A przecież miało się stać inaczej, bo gdy ośmdziesięcioczteroletni starzec, złamany troską i żalem, cofnął się w głąb pałacu, odgraniczył od ludzi i nawet na narady senatu przychodzić przestał, nagle w Radzie Dziesięciu zrodziła się okrutna myśl, aby pohańbienie syna dopełnić upokorzeniem ojca i złożyć go z urzędu. Projekt ten, jak wszystkie czarne zamiary Rady, dojrzewał przez rok prawie cały w najgłębszej tajemnicy i dopiero 21 października słała Rada jednego ze swych przewodniczących do Foscarego z prośbą, żeby „jako dobry pan i władca, a prawdziwy ojczyzny ojciec, w wielkiej swej mądrości uznać zechciał“, że pozostanie jego dalsze w urzędzie, „wymagającym ciągłej obecności doży na wszystkich zebraniach i naradach“, jest ze względu na wiek jego i choroby nadal niemożliwem i szkodę rzeczypospolitej przynoszącem, żeby więc, „będąc do dalszego sprawowania rządów niezdolnym“, dobrowolnie z godności i stanowiska ustąpił. Obelżywe to orędzie kończyło się bezczelnym dodatkiem, że Rada nie rozchodząc się postanowiła oczekiwać odpowiedzi, wszelako że jeżeliby doża żądał czasu do namysłu, zostawioną mu być może zwłoka dwudziestu czterech godzin. Tym zaś, który się podjął z takiem wezwaniem stanąć przed obliczem doży, był Jakób Loredano.

W dziejach weneckich był to fakt pierwszy, aby zgrzybiałość lub niemoc doży zmusić go miała do abdykacyi, dotąd w podobnych wypadkach zastępował dożów najstarszy z przybocznych radców. Wiadomem to było Foscaremu, to też zrazu z powagą odrzekł, że ze względu na złożoną

przy elekcyi i wznowioną później na wyraźne żądanie Signorii przysięgę, na posterunku swoim wytrwać musi, póki go Bóg nie odwoła,—że zresztą wtedy tylko mógłby pierwej ustąpić, gdyby taka była wola sześciu jego przybocznych radzców, naturalnych stróżów pierwszego w rzeczypospolitej dostojeństwa, lub zapadła uchwała na zgromadzeniu Wielkiej Rady. Zatrwożył Radę Dziesięciu warunek ostatni, bo niepewna ogółu patrycyatu, decyzyę w tej ważnej sprawie tylko i wyłącznie dla siebie zachować chciała. To też po burzliwej naradzie powtórnie udawali się jej przedstawiciele do doży, aby go do dobrowolnego ustąpienia skłonić, a gdy i tym razem Foscari odmawiał, prośba zamieniła się w groźbę, a namowa w rozkaz, żeby w ciągu trzech dni opuścił pałac, bo inaczej skonfiskują mu mienie, zatrzymają zaręczoną mu na wypadek dobrowolnego ustąpienia pensyę, a i tak nie będzie już dożą, tylko człowiekiem prywatnym".

Nikt, nawet doża nie mógł i nie śmiał oprzeć się Radzie Dziesięciu, kiedy wydawała rozkaz. Więc przed potężną jej wolą musiał się i Foscari ukorzyć. Nazajutrz, wsparty na ramieniu brata, opuszczał pałac Dożów, dzieło i kwiat niejako długiej swej chwały, a gdy go brat namawiał, żeby boczną wyszedł bramą i w tem upokorzeniu oszczędził sobie widoku ludu otaczającego pałac: „Tą samą bramą -- rzekł — którą tu lat temu trzydzieści i cztery wchodziłem, dzisiaj ztąd wyjdę; wprowadziły mnie tu własne moje zasługi, wypędza ztąd złość ludzka". „Lud zaś — mówi Sanuto — przywiązany do czcigodnego starca, w całej rzeczypospolitej szemrać począł, tak, że Rada wydała edykt nakazujący pod surową karą milczenie o tem, co zaszło". W sześć dni później dano mu następcę i prokurator św. Marka, Paskal Malipiero, dożą obrany został.

Ale Foscari, który trzydzieści i cztery lata panował, już tylko dwa dni miał żyć jako poddany. „Właśnie — opowiada Cronaca Augustini — słuchał nowy elekt z Signorią i rodziną swoją w dzień Wszystkich Świętych mszy w kościele św. Marka, gdy w czasie nabożeństwa nadbiegł zięć poprzedniego doży, Andrzej Donato, z wiadomością, że

Francesco Foscari nagle skończył. I boleśnie dotknęła wieść ta całe miasto, bo mówili sobie wszyscy, że przecież było lepiej choć tych dni kilka poczekać i dać mu umrzeć spokojnie, a nie wyrządzać mu takiej krzywdy. A wdowa, Marina Nani, ciało jego bractwu *dei Battuti*, jak to zwyczajem ubogich, ubrać i najpierw do kościoła św. Małgorzaty, potem ze skromnym konduktem jak dla ubogiego patrycyusza, na wieczny spoczynek kazała nieść do Frarich. Lecz doża wróciwszy do pałacu, naradził się z Radą Dziesięciu, i postanowiono, że zwłoki zmarłego przybrane będą w płaszcz i wszystkie odznaki książęce i wystawione w sali Piovegów w pałacu Dożów, gdzie się przez trzy dni odprawiać miały egzekwie". Pośmiertną pompą chciała ~~widocznie~~ Signoria zmazać plamę ~~własnej~~ niewdzięczności i wyrządzonej krzywdy. Ale wdowa długo wzbraniała się wydać ciało męża, i tym, którzy po nie z rozkazu Signorii przyszli, wedle tego samego kronikarza, „w dziwnych odpowiadała słowach". Wreszcie rozkaz Wielkiej Rady zmusił ją do posłuszeństwa: „Zwłoki przybrane w złocisty płaszcz książęcy, czapkę z rogiem i ze złotemi ostrogami u nóg", złożono w pałacu Dożów, a w około katafalku pełniło straż dwudziestu przybranych w szkarłat patrycyuszów. W trzy dni potem w wspaniałym pochodzie zaniesiono ciało do kościoła Frarich, gdzie je w głównej nawie na prawo od wielkiego ołtarza złożono do grobu. „I na tym pogrzebie—opowiada inny kronikarz—oglądano żywego dożę, choć ubranego tylko w szaty senatorskie, kroczącego za trumną poprzednika, widok, jakiego dotąd nie widziała rzeczpospolita".

Podanie zaś mówi, że Jakób Loredano, który po śmierci stryja i ojca w książkach swoich kupieckich do osobnej rubryki Foscarich jako dłużników swych ~~był wciągnął~~, teraz na sąsiedniej stronnicy dochodów tryumfującą ~~miał dopisać~~ ręką: *I Foscari mi hanno pagato*—„Foscarowie mi zapłacili".

wpisał
dodawał

104

W dorocznej pielgrzymce do Włoch i tej wiosny droga nas znów do Wenecyi zawiodła. Wędrówkę rozpoczęliśmy od granic złotej Lombardyi i przez zielone równiny weneckie, przez Brescię, Weronę, Vicenzę, Padwę, przez wszystkie te żyzne okolice, o które toczyły się owe długie walki między Medyolanem a Wenecyą w pierwszej połowie XV wieku, przez te ziemie, uratowane lub zdobyte dla rzeczypospolitej dzielnością Foscarego na Viscontim i Sforzy, a niemal tą samą drogą, którą niegdyś zwabiony chytrze Carmagnola na śmierć do Wenecyi jechał, zdążaliśmy na laguny. Kto należy duszą do wszechświatowego bractwa miłośników Wenecyi, ten wie, czem jest każdy do niej powrót, to jakby oderwanie się nagle od rzeczywistego świata, a rzeczywiste wejście pomiędzy owe cudne dziwy, któremi w dzieciństwie wyobraźnia zapełnia kraje wróżek i czarodziejek.

Jedna z pierwszych wycieczek była naturalnie znów do Frarich. W kościele, przez którego okna padało łagodne złote światło popołudniowego weneckiego słońca, było równie pięknie, spokojnie, uroczyście, jak za ostatnim naszym przeszłego roku w nim pobytem. Tylko wydał się nam mniej cichy, bo zawdzięczaliśmy rozczytywaniu się w historyi średniowiecznej włoskiej w ciągu długich wieczorów zimowych, że z grobowców śpiących dożów wyraźniejsze nas dolatywały teraz głosy. I przeglądając te marmurowe karty dziejów weneckich, a szczególnie tę najpiękniejszą z nich w pomniku Francesca Foscarego, zdawało nam się lepiej rozumieć tragedyę jego końca. Zdawało nam się mianowicie, że tajemnica tej tragedyi, tego oficyalnego niemal a długiego męczeństwa leżała w tem, iż Foscari, jak to poprzednik

Tym razem

ta nagła zmiana rzeczywistości

w starych kronikach weneckich,

rzeczypospolitej

jego, Tomasz Mocenigo, słusznie przeczuł, nie był człowiekiem wedle ducha Wenecyi. W ciągłej styczności z najbardziej wybujałemi indywidualnościami swego czasu, z takim Viscontim, Cosmą Medyceuszem, Alfonsem Arragońskim, Sforzą, rozwinął on i swoją własną zanadto, więcej niż na to pozwalała jednolita, niwelacyjna miara Wenecyi. Nie miał on z pewnością nigdy tych pokus i zamiarów, które Marina Faliero zawiodły na rusztowanie; ale usposobienie, temperament, geniusz, pchały go naprzód i doprowadziły tam, dokąd na lagunach dojść nie było wolno. To też nawet rola Loredanów wobec Foscarich w innem jeszcze się przedstawia świetle. Jako wrogowie osobiści wysuwali się oni zapewne chętnie na pierwszy plan, ale właściwie musieli być tylko narzędziem i wyrazem niejako całego patrycyatu weneckiego, który bezwiednie może i prawie z instynktu mścił się za to na wielkim doży, że we Włoszech i w całym ówczesnym świecie Wenecya przez pół wieku zwała się: Foscari. I dla tego, gdy na koniec tragedyi w kościele Frarich wobec żywego następcy—„widok, jakiego dotąd nie widziała rzeczpospolita"—składano Foscarego do grobu, tryumfowała bezwzględna zasada tej arystokratycznej oligarchii: Wenecyanie wracali do zimnej bezimienności, a nad nimi stała znów zbiorowa, ale jedyna, tajemnicza Wenecya.



11 106

bez nagrody – kiedyś zbiorowej

Loże Dantejskie

—

Jarosław Morawski

Kraków

Aleje Krasińskiego 6

Zorze Dantejskie.

Nagły a odrazu tak potężny rozkwit literatury włoskiej w XIV w. należy do tych dziwnych zjawisk, które świadczą, że duch wieje nietylko wedle słów Pisma św. kędy chce, ale i kiedy chce. Po upadku rzymskiego państwa, wśród napływu obcych szczepów zalewających w czasie wędrówek narodów ziemie włoskie i wśród rozdarcia półwyspu Appenińskiego w zawieruchach średniowiecznych na odrębne prowincje, na rozgraniczone miasta i grody, stary, wspólny język łaciński rozkładał się i przeistaczał. Każdy zaś niemal politycznie bardziej samoistny twór urobił sobie z niego kształt narzecza. Dopiero w drugiej połowie XII w. skonfederowanie się na północy w obronie przeciw Hohenstaufom miast Lombardzkich, potem, za ich wzorem, toskańskich, upoiło ściślej węzłem

wspólnego celu wszystkich tych ziemi połać,
a wraz za tem szło zbliżenie się do siebie
i ujednostajnianie pojedyńczych djalektów.

Ale ten wyrabiający się wspólny
język włoski nie śmiał wchodzić zrazu do
literatury. Jako język kościelny, nauko-
wy i dyplomatyczny panowała nadal
wszechwładnie łacina, tworząc istotną
spójnię intellektualną całego Zachodu.
Sami Włosi uważali się zresztą za spadko-
bierców dawnych Rzymian, więc w powsta-
jącym nowym języku upatrywali tylko
zepsutą łacinę. Podobnie w innych krajach
ludowe gwary nie miały długi prawa lite-
rackiego obywatelstwa, uchodziły za niższe
[illegible], i kiedy Karol Wielki w czasie
renesansu Karolińskiego spisywać kazał
stare rycerskie pieśni germańskie, ówcześni
ich zbieracze po klasztornych celach lub
kancelarjach dworskich wiązali je skrupli-
wie w nowiżone pęta łacińskiego heksa-
metru. W tej formie dochował się n. p. słynny
Waltharilied ze sagi burgundzkiej, aż

Kuds.

go Scheffel w XIX w. znowu z Tacing prze=łożył. Dobitniej zaś jeszcze stwierdza tę pogardę dla narodowych narzeczy ów mnich ze St. Gallen, kiedy około 1080 r. opisuje, jak djabeł w opatach w po barbarzyńsku aū we, mir we krzyczał — barbarice „aū we, mir we" vociferavit. —
Na drugi plan za Tacingą wysunął się z kolei rozbrzmiewający z dźwiękiem lutni truba=durów język prowansalski, szczególnie odkąd prześladowanie Albigensów całe ich zastępy pchnęło poza Alpy, do Włoch. Wiadomo powszechnie, ile im literatura włoska, ile im sam Dante, szczególnie młody Dante z Vita Nuova zawdzięczał; wiadomo jak szybko rozpowszechniał się następnie pokrewny temu językowi d'oc język ~~d'oïl~~ d'oïl, w którym mistrz Dantego Brunetto Latini, spisał uczoną swą encyklopedyę, swój Trésor, zaznaczając, że „la parlure de France est plus délittable à oïr et plus commune à toutes gens."
Ale i te nowe dźwięki brzmią tylko w ściślejszych

kołach, pośród poetów i uczonych, lecz nie schodzą jeszcze na dół, nie docierają do szerszych mas, do ludu.

Dopiero ten, który chciał, aby go przede wszystkiem lud prosty rozumiał, pierwszy zanucił do tego ludu w jego własnym, w ludowym języku. Jak głos skowronka witającego nowe zorze, tak brzmi ów „hymn brata słońca" — Canticum fratris solis — w którym Ś. Franciszek składa hołd Stwórcy za wszystkie jego dary, przedewszystkiem za twór jego najświetniejszy, słońce.

....Laudato si, Misignore con tucte le tue creature
Spetialmente messor lo frate sole
Lo quale iorno et allumini noi per loi
Et ellu e bellu e radiante cum grande splendore
De te, Altissimo, porta significazione....

.... Bądź pochwalony, Panie, z wszelkim twoim tworem,
A przedewszystkiem z moim bratem słońcem
Co nieci, piękne, dzionek i splendorem
Promiennym jasne, świeci nam na niebie,
A w sobie, o Najwyższy, jawi ciebie....!

Jak wszystko, co dotyczy poverella z Asyżu, pełnemi świetlistego wdzięku są i dzieje narodzenia się onego hymnu, a wraz i rozwarcia się tego najwcześniejszego bodaj kwiatu włoskiej poezji. Opowiada o tem Speculum perfectionis, pismo franciszkańskie z początków XIV wieku. Złożony ciężką niemocą, zupełnie już prawie ociemniały i z źrenicą nie znoszącą blasku dziennego, cofnął się był św. Franciszek na dwa lata przed zgonem, a więc w r. 1224, do ustronnej pustelni San Damiano w Asyżu. I oto tam, pośród bezsennej nocy, trapionemu cierpieniem wyrywa się z ust błagalny okrzyk: Panie ku wspomożeniu memu wejrzyj, abym „zdołał bole moje cierpliwie znosić." A na to słyszy w duchu odpowiedź: „Raduj się, Franciszku i śpiewaj, bo na tej drodze zdobędziesz sobie Królestwo Niebieskie." I nazajutrz zerwawszy się o świcie z posłania, rzekł Franciszek do braci: „Gdyby mi cesarz darował całe ziemskie cesarstwo czy nie miałbym z czego się weselić? A oto Pan, jeszcze za życia mego na tej ziemi, darował mi

Królestwo Niebieskie. Więc wśród wszystkich prób moich mam powód radości i mam za co składać dzięki Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu. Więc też na cześć Najwyższego a ku pocieszeniu naszemu i zbudowaniu bliźnich postanowiłem zaśpiewać nową pieśń pochwalną na one twory Pańskie, z których korzystamy codnie...." To rzekłszy usiadł i skupił się. Ale po chwili usłyszeli bracia jak począł śpiewać pierwszy wiersz „hymnu słońca:" Altissimo, omnipotente, bon Signore... I wyśpiewawszy całą pieśń, którą bracia spisali, zalecił im, aby jako „Pańscy Muzykańci" ponieśli ją w świat.

Z tą chwilą budzi się rodzima poezja włoska.

Zakon franciszkański nie jest wszelako jedynym warsztatem, na którym wyrabia się literacki język włoski. Właśnie w tej samej pierwszej połowie XIII w. zakłada świetne swoje dwory na Południu, w Palermie i w Neapolu ów jedyny [illegible] nawskroś cesarz niemiecki z rodu Hohenstaufów, ów Fryderyk II, o którym tak trafnie powiedziano, że był „prawodawcą naprzemian i tyranem, okrutnym zdobywcą

pod namiotami w Lombardji, a lubieżnym sułtanem w haremach swoich w Apulji i w Sycylji, trubadurem z gustu i filozofem może z próżności." W jego boku gromadzą się przybysze z różnych stron świata: w przerwach długich zapasów z papiestwem, wypełniających cały ciąg jego panowania, roi się na jego dworach od uczonych, poetów i artystów. Grecy tłumaczą ~~mu~~ na łacinę Arystotelesa, wnukowie Averroesa wtajemniczają go we filozofji arabskiej, Żydzi rozwiązują ~~mu~~ zawiłe zagadki Kabbały. A tymczasem trubadury prowansalscy nucą swoje piosnki ~~prowansalskie~~ miłosne, misterny ich *gay saber* gładzi tonem rycerskiej gładkości nazbyt pod wpływem wschodnim rozluźniony w Palermie i w Neapolu obyczaj i wnet *canzonom* i *sirventom* prowansalskim odpowiada echo z rozkosznych gajów okalających Conca d'oro i ze słonecznych wzgórzy Pozylippu, a odpowiada *canzonami* i *sirventami* w języku włoskim. Sam cesarz Fryderyk, a za nim jego synowie, piękny

Manfred i marzycielski Enzio, rymują po włosku, obok nich wytwarza się zaś cała szkoła sycylijskich trubadurów. W ich pieśniach kształtuje się niezawodnie także i udoskonala język rodzimy — vulgare eloquio — i to jest istotną ich zasługą. Zresztą bowiem pieśni te, zamknięte w ciasnych ramach kodeksu galanterji, jakim był w rzeczywistości ów gay saber prowensalski, nie wnoszą do poezji nowego poetycznego pierwiastku, powtarzają do znużenia podobne do siebie wciąż warjanty o przyczynach, istnieniu i skutkach miłości i są, jak wszelkie zmanierowane twory, kwiatem często bezwonnym, zawsze bezowocnym.

Z upadkiem Hohenstaufów milkną i ci dworscy trubadury sycylijscy. Zapewne jednak z ich drużyny w rozsypce rekrutują się owi piewcy w środkowych Włoszech, w Toskanji i w Romanji, którzy przez drugą połowę XIII w. snują jeszcze aż po samym tego wieku koniec, nić prowensalskiej tradycji. Lecz na wzór Sycylijczyków snują ją

również już w młodym języku włoskim. Pośród nich pojawiają się także pierwsze próby przekroczenia zbyt ciasnych granic, zakreślonych przez szkołę: miłość przestaje być wszechwładną treścią pieśni. Więdniejąca w nienaturalnem dzieleniu i rozdrabnianiu zagadnień scholastyka szuka jakoby nowego przytułku w poezji, gdzie ją niezadługo Dante ujmie w ramiona, wyniesie w przedziwnej apoteozie i uwielbi na wieki. Z drugiej zaś strony budzące się w całych Włoszech po upadku Hohenstaufów nowe życie publiczne z tysiącem swoich zadań, ale i starć w powszechnej a właściwej młodym społecznościom ~~gorącz~~ politycznej gorączce, otwiera furty poezji i wciskającej się wszędzie polityce. Już Guittone d'Arezzo opiewa bitwę pod Montaperti, gdzie w r. 1260 zwycięstwo Gibellinów nad Gwelfami groziło zupełną zagładą Florencji, i gromi za to zuchwałych zwycięzców; natomiast w szkole Bolońskiej, zapóźnieni trubadurzy włoscy, jak Guido Guinicelli, Cino da Pistoia, Lapo Gianni, Guido Cavalcanti i inni, w języku poprawniejszym,

bo w djalekcie toskańskim, i z wyobraźnią szerszą i żywszą, przetykają coraz chętniej tkaninę miłosnych swych pieśni nicią głębszej filozoficznej refleksji. Więcej wszelako, aniżeli w zachowanych siedmiu kanconach i pięciu sonetach zasłynął sam przewódca tej Bolońskiej szkoły poetyckiej, Guido Guinicelli, świadectwem, jakie mu wystawił Dante, i to nie Dante z sławnej trubadurskiej epoki, z Vita Nuova, ale, co dziwniejsze, dojrzały Dante z Boskiej Komedji, kiedy XXVI pieśni „Czyśćca" zwie go swym „ojcem" i ojcem wszystkich „najlepszych na ziemi słodkich i lubych miłosnych pieśniarzy"

. . . . il padre
Mio e degli altri miei miglior, che mai
Rime d'amore usar dolci e leggiadre.

I tym poetom niedostawało atoli jeszcze przecie najważniejszego prawdziwej poezji warunku: szczerego uczucia. Niezbędne to dopełnienie niosła ze sobą inna szkoła, nawiązująca do „hymnu słońca", szkoła franciszkańska. W czasach

Kiedy ziemie włoskie ociekały krwią w długich bojach ostatnich z Hohenstaufów o supremację na półwyspie, a kiedy w tej atmosferze walki wyrabiały się takie potworne typy okrutników, jak zięcia i namiestnika cesarskiego, Ezzelina da Romano, a kiedy z dworów w Palermo i w Neapolu wiał trujący powiew zepsucia, hasła, z którymi drużyna franciszkańska schodziła z uroczych pagórków Asyżu pomiędzy lud, hasła pokoju, miłosierdzia i skruchy, miały już ~~xxxx~~ same w sobie otok religijnego i głęboki poetycki pierwiastek. Aby być zrozumiałym dla ludu, musiał być ów głos uczniów Ś. Franciszka przystępny i prosty, więc poezja franciszkańska rozbrzmiewa najpierw w tak zwanych laudach duchownych, laude spirituali. Te laudy, pisane przeważnie w języku ludowym, wstępowały w miejsce hymnów łacińskich których lud już nie rozumiał. Z pieśnią pobożną ludową, oną najpopularniejszą formą poezji, rozszerzał się zaś i ujednostajniał nowy młody język w całych Włoszech. A kiedy po śmierci założycieli obu zakonów żebrzących główni dwaj

12 130

heroldami ich myśli, Bonawentura i Tomasz z Akwinu, doktor Seraficki i doktor Anielski, piszą jeszcze po łacinie, zapłodnione przez nich kaznodziejstwo, owo naczelne zadanie uczniów Ś. Franciszka i Ś. Dominika, wodzi na całym przestrzeni Appenińskiego półwyspu, od podnóża Alp aż po cieśninę Messyńską, obok wzmagającej się w laudach poezji włoskiej i prozę włoską.

Ale jak wszędzie w literaturze, tak i we Włoszech poezja wyprzedza prozę, a wśród wielu bezimiennych pieśniarzy franciszkańskich wysuwa się w drugiej połowie XIII w. na ich czoło postać mnicha, który sposobem życia i rodzajem talentu staje się prawdziwym typem ludowego poety. Fra Jacopone da Todi (da Todi), syn zamożnego umbryjskiego rodu Benedettich, spędził był wesołą młodość na naukach w słynnej szkole prawa w Bolonji, która w pełnym podówczas rozkwicie liczyła do dziesięciu tysięcy scholarów. Osiadłszy następnie w rodzinnem Todi pędził tam jako zawodowy prawnik szczęśliwy i spokojny żywot w dostatkach, kiedy nagle w r. 1268, nieszczęście rodzinne na inne go pchnęło tory.

Wśród jakiejś uroczystości publicznej runęło rusztowanie, z którego kobiety przypatrywały się widowisku, a z pod zwalisk wyciągnął Jacopone własną młodą i piękną małżonkę. Żal za utraconem szczęściem, widok ostrego włosiennicznego zgrzebła, które pod bogatym strojem znalazł na ciele zmarłej, wstrząsnęły nim tak silnie, że pogrzebawszy drogie zwłoki, rozdał wnet całe swoje mienie pomiędzy ubogich, a sam naspół nagi, okryty tylko w łachmany, jął obiegać ulice miasta, podając się u ludzi na pośmiewisko i wzgardę. Ale ilekroć zwabieni jego wybrykami przechodnie otoczyli go dokoła, przystawał nagle, zwracał się do otaczających i w gromkich słowach, które szaleńcowi uchodziły, strofował ich, pouczał i nawoływał do skruchy. „Prostakiem Bożym", czyli obłąkanym w ówczesnem wyrażeniu, zwano go odtąd powszechnie, a miano _stultus propter Christum_ widnieje po dziś dzień na ołtarzu ~~XXX~~ w kościele Św. Fortunata w Todi, gdzie spoczywają zwłoki błogosławionego Jacopona.

Tak zeszły mu pierwsze lata po życiowym przełomie, lata, wśród których przygodne

apostolstwo na ulicach przeplatał zagłębianiem się w zacisze w naukę teologji. Aż w r. 1278, może w poczuciu zbytniego rozkiełznania gwałtownego charakteru i wyobraźni nie znającej hamulca, stanął on pokornie przed furtą klasztorną franciszkańską, prosząc o przyjęcie do grona Braci Mniejszych. Ale przełożeni zawahali się zrazu: jakże wpuszczać do zakonu obłąkanego, który wybrykami śmieszył, nieraz gorszył wiernych? Bo niedawno jeszcze — może na wzór Jeremjasza, stającego niegdyś przed świątynią Jerozolimską z jarzmem na barkach aby przepowiadać niewolę, — pojawił się był Jacopone wśród licznego zebrania prawie nagi i na czworakach, z uprzężą na plecach i wędzidłem w ustach, „podobny do jucznego zwierza"; innym znów zaś razem mięszał orszak weselny w domu brata, stając pośród gości pokryty pierzem i naśladując ptaka aby, jak mówił, szaleństwem uświetnić ród, który brat chciał uświetnić zbytkiem.

Ale na zarzut „szaleństwa" odpowiedział on teraz przełożonym klasztornym nastę-

pujęcym wierszem:

Udite nova pazzia,
Che mi viene in fantasia:
Viemmi voglia d'esser morto
Perchè io sono visso a torto.
Io lasso il mondan conforto
Per pigliar più dritta via . . . .

Słuchajcie: oto szał nowy
Który mi strzelił do głowy.
Być umarłym – to mnie nęci,
Bo dotychczas żyłem w błędzie.
Zetrę świata czar z pamięci,
Niech już droga prostą będzie . . . .

Dritta via – „prosta droga" – i posta-nowienie nie opuszczania jej już nigdy. . . . Czyż to nie nowa w poezji przysięga, tak różna od powtarzanych przez trubadurów aż do przesytu ślubów wierności czasem nieznanym, często nieistniejącym nawet kochankom, lub dalekim księżniczkom? I czyż to nie skromna już

przygrywka do owych tercyn, które zabrzmią niebawem, a w których inny pielgrzym ziemski „w połowie podróży życia" — nel mezzo del cammin — obwiniać się będzie, że

....Z prostej drogi zbłądził na manowce

....Che la diritta via era smarrita

i rozpocznie cudowną wędrówkę powrotną przez piekło, czyściec i raj?...

W prostych, gminnych prawie, ale drgających uczuciem słowach dalszego ciągu pieśni tłumaczył Jacopone, jak pozorami szaleństwa zerwał z próżnością świata, jak żegnał umiłowane nauki, „owe stare księgi w których się wprzód lubował, rubryki Cycerona, które go tak słodko kołysały" i zapowiadał, że gotuje się teraz na inne boje i znoje, aż wreszcie wzlatując duchem na mistyczne wyżyny, wołał o taki żar miłości Krzyża, w którym sam spłonąłby cały. I właśnie to rozwarło przed nim furtę klasztorną: poznali bowiem Bracia Mniejsi w jego „szaleństwie" ten sam ogień, którym gorzał niegdyś święty ich założyciel, Franciszek.

Z tą chwilą rozpoczyna się nowy, nie mniej przeto burzliwy okres w życiu Jacopona, bo wypadki wciągają go w wir polityczny epoki. Znane są dwa prądy, które już pod koniec życia św. Franciszka wyłoniły się w jego zakonie, a które przez cały ciąg XIII stulecia tak nieraz ostro ścierały się z sobą. Po jednej stronie stali tak zwani Konwentualni. Wychodzili oni ze założenia, że pierwotna reguła franciszkańska, na dana braciom przez św. Franciszka „dla aniołów, nie dla ludzi" przykrojoną była, że należało ją więc złagodzić. Po drugiej skupiali się ~~Spirytualiści~~ Spirituaḷiści, zwani także Obserwantami, bo stojący w obronie nietykalności reguły, świętej, gdyż ze świętego wedle nich płynącej natchnienia. Na czele pierwszych stał brat Eljasz z Cortony, twórca owej wspaniałej świątyni, wzniesionej na grobie św. Franciszka w Assyżu, świątyni będącej bodaj pierwszym wyłomem w tradycji prostoty franciszkańskiej, ale kolebki całej prawie sztuki Odrodzenia włoskiego. Przywódcami duchowymi drugich byli najbliżsi towarzysze poverella, uczniowie jego

z czasów przedziwnej wiosny franciszkańskiej
w S. Damiano i w Rivo Torto, potem świadkowie
„wielkiego cudu" na wzgórzach Alwerni.

Do Spiritualistów przylgnął
z zapałem gorącej a mistycyzmem owianej
duszy Fra' Jacopone. Właśnie zaś nadcho-
dziła chwila ciężkiej dla nich próby, gdy
w r. 1294 pobożny ich opiekun, Celestyn V,
po kilkomiesięcznych zaledwie rządach
ustąpił dobrowolnie ze Stolicy Apostolskiej
i wrócił do swej cichej pustelni na górze
Morone w Abruzzach. Taka abdykacja,
niebywała w dziejach papiestwa, poruszyła
do głębi umysły współczesnych, a wielki tych
współczesnych sędzia, Dante, nie zawahał się
wyznaczyć świątobliwemu pustelnikowi miejsce
w przedsionku piekielnym, wśród tych,
którzy żyli „bez hańby i bez czci", za to
że <u>per viltà fece il gran rifiuto</u>, — że
„z trwogi wielką okazał się odmową." Do tak
twardego wyroku skłoniła poetę nienawiść
do następcy Celestyna V, do gwałtownego
wroga gibellinów, Bonifacego VIII, którego
polityce przypisywał on zawsze przyczynę
nieszczęść świata, jako i swojej niedoli.

Ale już przed Dantem zabrzmiał głos rymowanej skargi przeciw Bonifacemu VIII, kiedy ten papież, odwołując ustępstwa poczynione przez poprzednika Spiritualistom, przechylił się na stronę Konwentualnych.

Był to głos Jacopona da Todi, który w gryzącej satyrze wyrzucał nowemu papieżowi, że językiem, którego ostrze zwracało się przeciw regule zakonnej, „bluźnił wszelkiemu prawu" i że „cesarz, król, czy ktokolwiek, co się do niego zbliżył" „nigdy" „bez głębokiej rany" a przed jego nie zeszedł oblicza. Gwałtowność inwektywy ~~dosięgała~~ dochodziła szczytu w groźbie sięgającej aż poza grób, w groźbie potępienia wiecznego, którą poeta ciskał w twarz papieża:

petit

O papa Bonifazio
Molto hai jocato al mondo.
Penso che jocondo
Non te porrai partire.

O papieżu Bonifacy
W grę świata tyś grywał wiele,

petit

Lecz nie wyjdziesz z takiej pracy
W tamtym świecie na wesele....

I również mimowoli ciśnie się na pamięć ów wstrząsający epizod z XIX pieśni „Piekła", epizod, któremu — jak słusznie mówi Klaczko — cały teatr Arystofanesa w sile inwektywy nie sprosta, kiedy potępiony Mikołaj III, z głową wkopaną w dół, z nogami sterczącemi w górę i piekącemi się w ogniu, mniema, słysząc kroki Dantego, że to już Bonifacy VIII nadchodzi zluzować go w męce i woła: „Tyżeś to już Bonifacy? Takżeś ci tu spieszno?..", a woła to w chwili kiedy tenże Bonifacy żyje jeszcze i rządzi!

Ostrą broń satyry ludowej podchwycił skwapliwie wrogi domowi Gaetanich, z którego wyszedł papież Bonifacy, potężny ród Colonnów. Szydercze pieśni Jacopona obiegały całe Włochy i burzyły umysły, a jego samego wciągnęli Colonnowie w spisek zmierzający do unieważnienia wyboru Bonifacego VIII. Z obozu Colonnów szerzono kłamliwie wieści, iż to sam Bonifacy zmusił był pokornego

Celestyna przemocą do abdykacji, że więc i zrzeczenie się przymuszonego i wybór przymuszającego były nieważne. We Włoszech i w całym chrześcijańskim świecie wyłaniało się zaś w ślad za tem zamącające sumienia pytanie, kto był istotnie prawowitym papieżem, Celestyn czy Bonifacy.

Ale wtedy Bonifacy VIII porwał się jak lew w obronie swoich praw. Rozgromił wrogów, zmiażdżył na proch dumnych Colonnów i zburzył warowną ich twierdzę rodzinną, Palestrinę. W Palestrinie wpadł w jego ręce i Jacopone. Kilkoletniem więzieniem przyszło mu teraz pokutować za owe satyry, których żądłem zbyt długo ciął i drażnił papieża. Nieugięta wobec ludzi dusza wzdrygała się jednak długo przed ukorzeniem i nawet na dnie więziennych lochów śpiewał dalej i wołał, że sam sobie przecież przez żywot cały większych kar życzył, aniżeliby mu je jakakolwiek moc ludzka wymierzyć zdołała. A kiedy podrażniony a porywczy papież, przechodząc razu pewnego popod więzieniem, pochylił się

nad lochami i zapytał gniewnie: „Cóż,
Jacopone, kiedyż to wyjdziesz z więzienia?"
„Ojcze święty, — odrzekł tenże hardo — wtedy,
kiedy ty tu wejdziesz." Proroctwo miało się
niebawem ziścić, gdy nasłani przez Filipa
Pięknego, Nogaret i Sciarra Colonna,
napadli w Anagni, uwięzili i sponiewierali
bezbronnego papieża. Dopiero też z chwilą
śmierci Bonifacego VIII, który znękany tą
katastrofą wkrótce po niej umarł, odzyskał
Fra Jacopone wolność i otrzymał zdjęcie bardziej
mu, aniżeli same więzy, ciążących cenzur
kościelnych. Ostatnią przystanią stał mu się
klasztor Braci Mniejszych w Collazone.
Z końca czasów więziennych i z niedługiej
już epoki wolności, w której dobiegał kresu
żywota, pochodzić muszą owe jego pieśni,
w których milknie odgłos bieżących wy-
padków z ich światowym gwarem i wzruszeniem,
a wśród duchowego uciszenia brzmią łagod-
niejsze uczucia i myśli. Do tej też epoki
odnieść zapewne należy ową piękną apostrofę
do Tego, która wśród licznych wierszy Jacopona,

wielbiących miłość Bożą, wyrzeczenie się i zabójstwo, szczególną swą niewoli ~~przesądu~~ i pociąga prostotą, a rozpoczyna się od słów:

petit

O lacrima, con grazia gran forza hai:
Tuo è lo regno e tua è la potenza
Sola davanti al giudice ne vai. . . .

petit

Łzo, w której łaska zlewa się i siła,
Udziałem twoim władza są i rządy,
Tobie nic wpoprzek nie stanie zaporą,
Gdy idziesz sama bez lęku na sądy.
I nigdy próżno nie zejdzie ci droga,
Bo wszystko skruszyć ty zdołasz pokorą,
Aż wszechmocnego nawet zmożesz Boga.

A tu znowu, jak tylekroć ~~przy~~ czytaniu strof Jacopona, dźwięczą w pamięci inne, bliskie już rytmy, i przypomina się cudna apoteoza łzy z V pieśni „Czyśćca", kiedy zły duch zmaga się z dobrym o duszę poległego z imieniem Marji na ustach Buonconta da Montefeltro, aż zwyciężony woła do zwycięzcy:

petit

. . . . O tu dal ciel, perchè mi privi
Tu te ne porti di costui l'eterno
Per una lagrimetta che 'l mi toglie . . . .

petit

O ty Niebieski, dlaczego mnie krzywdzisz,
Unosząc jego szczątek nieśmiertelny
Za łezkę skruchy, co mi go wydziera. . . .

~~A~~ Nowy duch, nowe uczucie, szczerość i prawda, wypierają sztuczność i zużyte fikcye przekwitającej szkoły trubadurów, których szereg zamyka u schyłku XIII w. sam młody Dante, kiedy w swojej Vita Nuova po śmierci Beatryczy zapowiada, że „powie o niej, co o żadnej dotąd powiedziane nie było" — che mai non fue detto d'alcuna, — ślubowanie spełnione niebawem w Boskiej Komedji.

odstęp mały

Jeżeli w przeglądzie literatury włoskiej, wyprzedzającej Dantego, postać Jacopona da Todi każdego dłużej zatrzymać musi, to nie dla wyprowadzania jakiejś sztucznej (duchowej) filjacji ~~autora~~ twórcy Boskiej Komedji od prostego

franciszkańskiego pierwszy. Geniusze miary Dantego — jeżeli tu wogóle liczby mnogiej używać wolno — nie miewają genealogicznego drzewa. Są oni bezpośredniemi tchnieniami Ducha — numine afflati. — Fra Iacopone nie zawsze bywa zresztą ptakiem wyższego lotu. Jak w „szaleństwach" pierwszych lat pokuty staje się czasem niemal że karykaturą wzniosłego swego wzoru, Św. Franciszka, tak samo i w swoich wierszach spada nieraz z wyżyn mistycznych na realistyczne pospolitości, na które iść za nim trudno. W życiu jak w dziełach brak mu tego, co Ozanam tak pięknie „subtelnością wyobraźni i nie znoszącej wybryków" nazywa: miary i smaku.

Ale jest on przecież przesłańcem Dantejskim, bo w całem tego słowa znaczeniu „prostował ścieżki" dla nadchodzącego piewcy Piekła, Czyśćca i Raju; bo dalej — jakbyśmy się po dzisiejszemu wyrazili, — przygotowywał mu i przyzwyczajał publiczność. Przyzwyczajał ją dowodem, że ów

tak zaprzątające umysły średniowieczne roztrząsanie zagadnień metafizyki chrześcijańskiej; nie potrzebuje zamykać się w surowym wyrodzie z katedry nauczycielskiej, ale owszem zmieści ponętniejszy strój rymu i tańce rytmu, i że roznamiętnienie polityczne, ta druga właściwość społeczeństwa włoskiego u schyłku wieków średnich, wyładować się może nietylko w fizycznej przemocy, ale i w słowie, które za tchnieniem poety umie huczeć jak grzmot i palić jak piorun. A wreszcie obok wprowadzenia do poezji pierwiastków filozofji chrześcijańskiej i polityki świata, owych filarów, na których spoczęła olbrzymia budowa Boskiej Komedji, (pokazała) tryskająca jak z cudownego źródła, — z hymnu brata słońca, — a rozlana już w szerokich nurtach u Jacopona poezja franciszkańska na domiar Włochom, że język ich nietylko zdolnym, ale i godnym był, aby stać się wyrazem wszelkich myśli i uczuć ludzkich.

Tylko zanim Dante połączył wszystkie te źródła mowy włoskiej, bijące z

i z franciszkańskich klasztorów, i z dworu
sycylijskiego i z Bolońskiej szkoły poetów,
w jeden wspaniały strumień, którym popły-
nęły tercyny Boskiej Komedji, zanim
ujednostajnił rozmaite narzecza w na-
rzeczu toskańskiem, ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ miał pono i on
sam chwilę niepewności i wahań. W *Convito*,
pisanem, co dziwna, właśnie po włosku, tak
określa on stosunek łaciny do mowy włoskiej,
do *vulgare eloquio*: „Ten język jest pięk-
niejszy, w którym słowa najtrafniej sobie
odpowiadają: a odpowiedniejsze są w ła-
cinie, aniżeli w języku ludowym, bo piękno
idzie w języku ludowym za zwyczajem,
w łacinie za sztuką. Dlatego przyznać należy,
że łacina jest piękniejsza, silniejsza
i szlachetniejsza." Tymczasem w pisanym
po łacinie traktacie *De vulgari eloquentia*
(w późniejszych wydaniach *De vulgari
eloquio* zwanym) wręcz przeciwnego broni on
zdania. „Językiem ludowym — pisze —

nazywamy ten język, do którego dzieci przyzwyczajają się przez otoczenie, skoro umieją już rozróżniać głosy; czyli innemi słowy językiem ludowym zwiemy ten język, którego uczymy się bez wszelkich reguł, naśladując tylko mowę niańki. Obok tego posiadamy język inny [czyli łaciński] . . . . Z tych dwóch szlachetniejszym jest język ludowy, raz dlatego, że go człowiek najpierw używa, a powtóre że posiada go świat cały, choć się wszędzie na rozmaite słowa i wyrażenia podzielił, wreszcie z tej przyczyny, iż jest nam przyrodzonym, kiedy natomiast język drugi (łaciński) do sztuki należy."

Wśród tych dwóch zdań ważyły się przez chwilę losy poezji włoskiej, a poniekąd — i to na długo — losy nowych kształtów myśli ludzkiej. Wszak stanął Dante na stanowisku, zajętem w *Convito* i rozpoczął *Boską Komedję* w „szlachetniejszym", wedle tegoż *Convito*, języku łacińskim.

petit

Ultima regna

<u>Ultima regna canam fluido contermina ~~regno~~ mundo</u>
<u>Spiritibus quae lata patent, quae praemia solvunt</u>
<u>Pro meritis cuique suis data lege tonantis.</u>

Brzmiał według Boccaccia pierwotny wstęp do wielkiego poematu, a już ~~[illegible]~~ od tych pierwszych słów wieje chłód właściwy każdemu naśladownictwu, chłód, który mrozić miał długo jeszcze bo przez cały ciąg XV i XVI stulecia, płody literackie tylu zdolnych zresztą humanistów, piszących po łacinie. Co skłoniło Dantego do porzucenia tego zamiaru i zwrócenia do języka ludowego? Z pewnością w pierwszym rzędzie wzgląd na wzięcie, szybkie szerzenie się i łatwą zrozumiałość poezji franciszkańskiej. Wszystko to wskazywało mu na to, że nowy instrument myśli ludzkiej ~~[illegible]~~ — język włoski — był gotów, że potrzeba było tylko iskry genjuszu, aby na nim zagrać i uwielbić go na zawsze arcydziełem. Tę iskrę poczuł w sobie, kiedy nagle zawrócił z obranej błędnie drogi, i porzuciwszy owe zimne <u>Ultima regna</u>, stawił od razu słuchacza <u>Nel mezzo del cammin</u>..... „w połowie drogi" własnej duchowej rozterki.

Ale włoskie tercyny Boskiej Komedji to uwielbienie nowonarodzonego narodowego języka, były zarazem dzwonem pogrzebowym łaciny. Wiadomo, że język póty tylko żyć może, póki się nagina i stosuje do nowych potrzeb, jakie niesie ze sobą czas i wytwarzają ludzie. Łacina średniowieczna pomimo wszystkich swoich barbaryzmów, które jej tak szydersko i pogardliwie wytykali potem humaniści z epoki Odrodzenia, spełniała te warunki, więc żyła. Nie byłby jej zrozumiał Cycero, ale rozumieli ją ci, do których przemawiała, a jak trafnie powiada wielki poeta zdrowego rozsądku, Molière:

petit

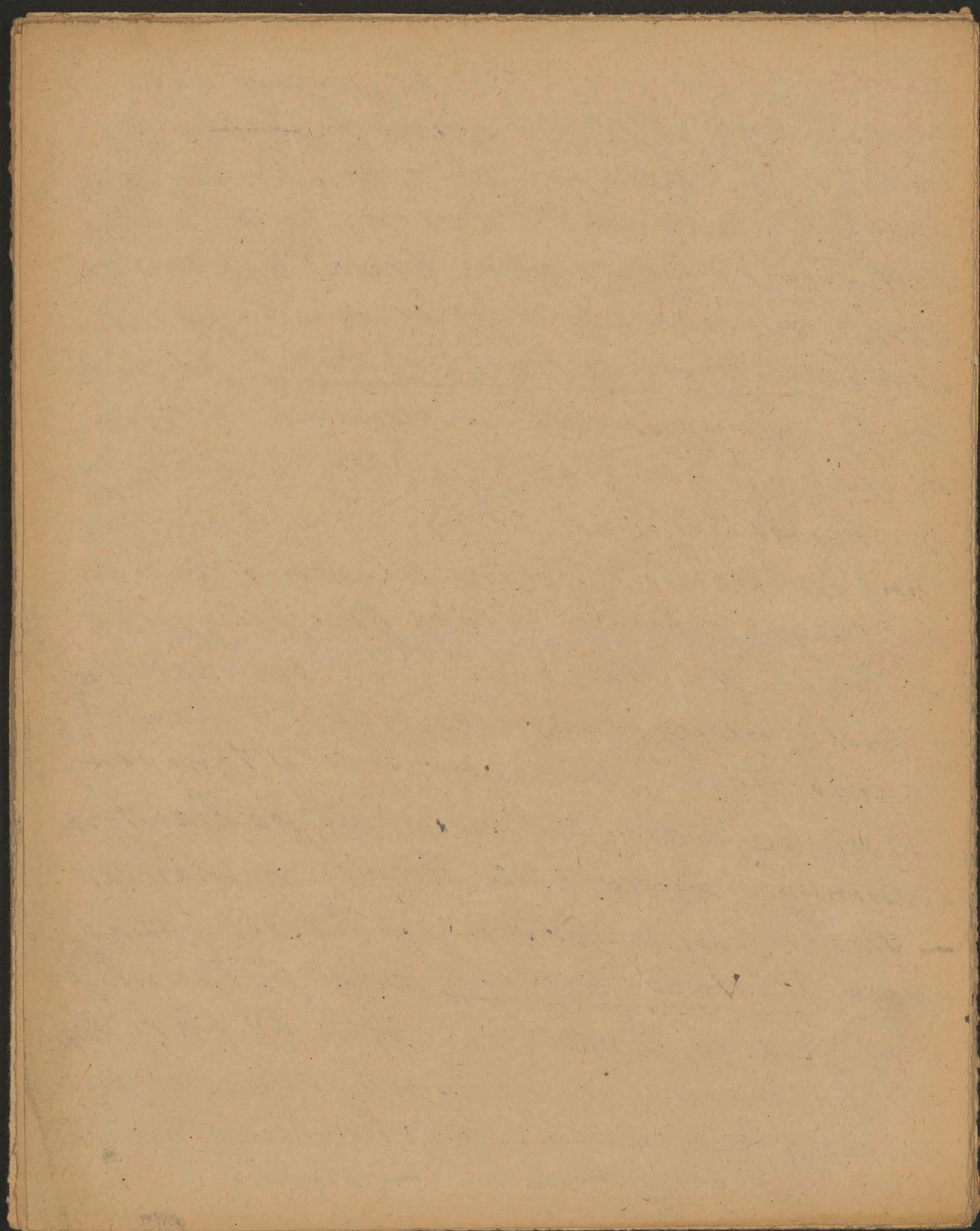
Quand on se fait entendre, on parle toujours bien

Od zmieniających się z biegiem czasu potrzeb codziennego życia, aż do zawiłych subtelności scholastyki umiano w tej zepsutej łacinie wyrazić wszystko. Toteż zauważono słusznie, iż tak ważne n.p. określenia, jak existentia, essentia, qualitas, quantitas, identitas — określenia niezbędne, które rozpowszechniły się wszędzie i przeszły do innych języków, pochodzą właśnie ze szkół XII i XIII wieku. Urobiono

ję, lub wprowadzono w życie, bo były po-
trzebne i odpowiednie, a jeżeli Rzymianin
z czasów Augusta nie mógłby był stwierdzić
<u>identyczności</u> swojej mowy z mową scholara
z <u>XII</u> wieku, to ten scholar miał w języku gotowy
wyraz, w którym określał, czego w stosunku
obu języków do siebie brakowało.

Reakcja epoki Odrodzenia, fikcja
jakiejby nieprzerwanej całem średniowieczem
ciągłości ze starożytnym światem, wskrzesiła
czystość Cycerońskiego języka. Ale powrót ła-
ciny do klasycyzmu był zarazem jej śmiercią:
nie rozwijając się więcej, traciła prawo do życia
i schodząc do naśladownictwa, była już tylko
tego życia cieniem. Nie znaczyło, aby odrazu
zniknąć miały także jej mir i powaga. Prze-
ciwnie, nigdy tyle czczoną nie była, co przez
cały ciąg Odrodzenia. Wszak już po walnem
zwycięstwie języka ludowego, po narodzeniu się
Boskiej Komedji, największy tego narodowego
języka mistrz, Petrarka, który igrał z nim
tak misternie w sonetach, wznosił go na tak
patetyczne wyżyny w kanconach, dzieło,

do którego sam największą przywiązywał wagę, epopeję swoją *Africa*, napisał po ~~łacinie~~ łacinie i skazał ją, coprawda, na to, że z licznych dzieł jego, tego właśnie nikt dziś nie czyta. Wszak w XV w. Poggio Bracciolini biadał nad tem, iż Dante nie napisał swego arcydzieła po łacinie, bo — „si litteris latinis constaret — gdyby był po łacinie napisany", autorowi należałoby się miejsce nie niższe od tego, które się starożytnym poetom należy; i wszak jeszcze o wiek później, inny humanista, Pietro Alcionio narzekał na język „gotycki", który „Goci, Wizygoci i Wandale do Italji naniośli na zagładę sztuki, mowy i samego nawet imienia rzymskiego." Wszak wreszcie w tym samym XVI wieku, a więc w dwieście lat po Dantem, rozumny i wykwintny Bembo namawiał — szczęściem naprożno — Ariosta, aby swego *Orlando furioso* pisał po łacinie! Długo jeszcze, bo przez cały wiek XV i XVI, zowie się język włoski powszechnie, i to często z przymieszką lekceważenia, nie włoskim, ani narodowym, tylko nadal *eloquium vulgare* — językiem ludowym,



bodaj gminnym.

Przedewszystkiem oracja łacińska do końca XVI w. pozostaje niezbędną ozdobą każdej uroczystości rodzinnej czy publicznej. W oratorach utrzymywanych na dworach monarszych i książęcych odradza się plemię retorów ze wszystkiem starożytności, z jej świetnością nadającą tym dworom ton, ale zwykle i z jej nadęciem i zmysłem intrygi. Historyk włoski Villari mówi słusznie, że oracja łacińska była za czasów Odrodzenia tem, czem później stała się muzyka: koniecznym akompaniamentem wszelkiej uroczystości. Nie odmawiano i nie oszczędzano jej sobie. I tak n.p. na ślubach Jagiellońskich w r. 1515 w Wiedniu, na które zjechało się dwudziestu dwóch książąt, ośmnastu oratorów w dwudziestudwóch ich wielbiło oracjach. Jak zaś działały na ówczesnych słuchaczy takie łacińskie przemowy, to ilustruje dobrze owa znana anegdota, opowiadana przez Panormitę, że gdy orator florencki, Manetti, przemawiał

na dworze Alfonsa I Arragońskiego, dworzanie zauważyli, jak zasłuchany król muchy, która mu siadła na nosie, nie spędził wpierw, aż orator całej nie skończył oracji.

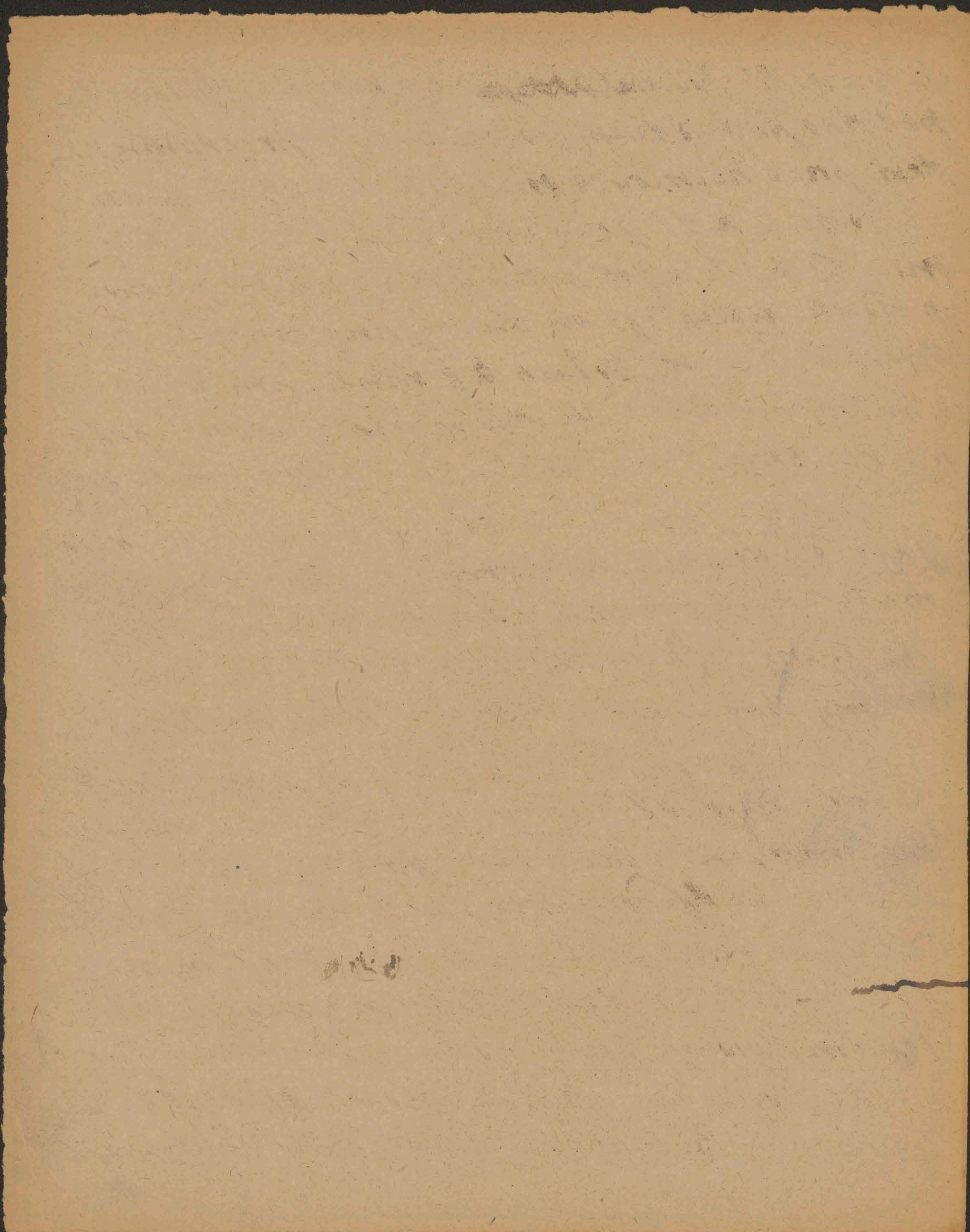
Dopiero ~~w~~ od XVII w. kryje się łacina już tylko w szkołach, mianowicie w szkołach jezuickich, i ogranicza się ~~do~~ tego, a powierzona przez Kurję rzymską gronu młodych poetów łacińskich rewizja hymnów kościelnych, zwraca niejeden talent ku wzorom poezji średniowiecznej chrześcijańskiej. Przy zachowaniu klasycznej formy i klasycznego języka, tej schedy po humanistach z epoki Odrodzenia, wnika stąd znów w tę poezję nieco więcej szczerego uczucia, choć w gruncie pozostaje ona i teraz zapóźnioną, więc martwą. Dla nas Polaków jest to w każdym razie zaszczytnem, że na czoło poetów łacińskich tej epoki wybija się zdolnością Polak, nasz Maciej Kazimierz

~~[illegible]~~

Sarbiewski. ~~[illegible]~~ Jego poezje czytywane są podobno po dziś dzień jeszcze według programu zadań przez uczniów w niektórych szkołach angielskich, a długo były w użyciu w szkołach niemieckich, kiedy n.p. nie później jak w pierwszej połowie ubiegłego wieku, sławny muzyk, Robert Schumann, w listach z gimnazjum pisze, że z autorów łacińskich najwięcej zawsze sprawiają mu rozkosz Horacjusz . . . i Sarbiewski.

Wreszcie w XVIII w. pod naporem wciskającej się wszędzie, na dwory, do kancellaryj dyplomatycznych i nawet w zacisza uczonych, francuszczyzny, cofa się ostatecznie łacina poprzez bramy kościołów i zamyka w ich wnętrzu.

Dziś zapomnienie, w jakie popadli poeci łacińscy z XIV, XV i XVI wieku, owi poeci, którzy w najtajemniejszych kadzidłach porównywali się tak chętnie do Wergiljusza lub Horacego, dowodzi także już samo przez się, że pracowali oni na glebie, która rodzić dłużej nie mogła. Któż bowiem dzisiaj, prócz historyków litteratury, bierze jeszcze do ręki łacińskie poematy Petrarki lub Boccaccia, Filelfa lub Sannazara?



Toteż z XIII stuleciem, z końcem namiętnej rozwoju łacińskiego języka, kończy się i żywa literatura łacińska. Od zmierzchu starożytności, od zamilknięcia ostatnich, celniejszych poetów, wychowanych jeszcze zupełnie w kulturze, choć już nie w kulcie pogańskim, jak n.p. Auzonjusza lub Klaudjana, żyła poezja łacińska przedewszystkiem w liturgji chrześcijańskiej, w hymnach kościelnych Paulina z Noli, lub Prudencjusza, Pawła Diakona, lub Odona z Clugny. Piotra Damiani lub Abelarda. Wszystkie sztuki średniowieczne skupiały się bowiem w jednym celu: w wielbieniu Boga. Temu wspólnemu celowi służyły architektura, rzeźba, malarstwo i muzyka, więc nic dziw, że sama liturgja na dzieło sztuki wyrosła i że aż do pojawienia się trubadurów prowansalskich, hymny kościelne były jedyną prawie poezji formą.

Dziwnym atoli trafem dwa najpiękniejsze w długim ciągu wieków i ostatnie tej poezji kwiaty rozwijają się i zakwitają właśnie w owym ogrodzie franciszkańskim, gdzie wśród zorzy Dantejskiej nowe rodzimej literatury

wschodziło ziarno. Biograf ś. Franciszka, 37. 180
Tomasz da Celano, pisze Dies irae, a Jacopone
da Todi stwarza swoje arcydzieło, kiedy obok
licznych swych włoskich pieśni, śpiewa po łacinie
Stabat Mater. Te dwa hymny, jeden natchniony
grozą Sądu Ostatecznego, drugi żałością
najświętszego z dramatów, dramatu Golgoty,
zamykają podniośle wielką poezję łacińską
przed nową jej erą, martwego już tylko naśladownictwa.

Ale jest jeszcze i inna pamiątka
tego rozstania się starej łacińskiej literatury
z nową, narodową. Zawiera ją XXVII pieśń
„Czyśćca", gdzie Wergiljusz po doprowadzeniu
Dantego aż po granice ziemskiego Raju,
żegna go, bo jemu samemu, poganinowi,
przekroczyć ich nie wolno. Duca, signore
e maestro, „przewodnikiem, panem i mistrzem" –
zwał go Dante w ciągu swej pielgrzymki, gdyż
na dostępnych mu naówczas starożytnych
autorach, a przedewszystkiem na Eneidzie,
zaprawiał się sam i nabierał sił do własnego
wzlotu, sił, które dawało, daje i zawsze dawać

Ludziom będzie wstąpnięcie na grunt klasyczny, Czerpanie z nieprzebranych jego skarbów myśli i piękna. Teraz, na progu Raju, żegna go Wergiljusz następującem zleceniem:

aspettar mio dir cenno
Non aspettar ~~più~~ mio dir più, nè mio cenno:
Libero, dritto e sano è tuo arbitrio
E fallo fora non fare a suo senno

między odstęp

Per ch'io te sopra te corono e mitrio

petit

Nie czekaj słowa mego już i znaku:
Sąd twój jest wolny, prosty, nie zmącony,
Błądziłbyś schodząc z własnych pojęć szlaku:

między odstęp

Więc ci udzielam mitry i korony.

petit

Zwykle tłumaczą komentatorowie Boskiej Komedji ustęp ów w ten sposób, że doprowadziwszy towarzysza wędrówki przez piekło i czyściec do poznania grzechu i pokuty nakazuje mu Wergiljusz, ażeby odtąd szedł

za własną wolną wolą ku szczęśliwości i najwyższej prawdzie. Ale wysłuchać się obok tego chyba z tych słów daje inna jeszcze myśl i inny znak: znak wzniosłego wyzwolenia przez największego ze starożytnych poetów rzymskich takiego potomka w nowym rodzie Latynów i ukoronowanie go na pierwszego ich narodowego wieszcza.

~~Zdzisław Morawski~~

1) 188

Z teki nowellistów włoskich.

I.

Kiedy Dante w r. 1321 umiera, liczy Petrarka lat siedmnaście, Boccaccio lat ośm. Te trzy nazwiska wypełniają dzieje literatury włoskiej w XIV wieku. Ale wymienianie ich wspólne, do którego świat przywykł, nie oznacza oczywiście ich równorzędności, tylko względną współczesność. Analogiczne pomieszanie twórczości literackiej trójcy przyzwyczaiło ludzi do wymieniania Eurypidesa z Eschylosem i Sofoklesem, Corneille'a i Racine'a z Molierem, u nas Krasińskiego i Słowackiego z Mickiewiczem. Różnice dzielące pomiędzy sobą trójcę włoską są z natury rzeczy o tyle większe, o ile Dante sam w literaturze świata ponad wszystkie wystrzelił miary. Po nieśmiałych a takich próbach literackiego języka i literackiej formy w XIII wieku, taki ich nagły a zupełny rozkwit w XIV, pomijając już Dantego, także u Petrarki, a nawet u Boccaccia zdumiewa.

2)

Przytem w uderzający sposób charakteryzują się tu, u tych trzech autorów z jednego stulecia, trzy rodzaje, trzy style, które zapanowały w sztuce przez takie długie wieków szeregi.

Bo Dante, to przedstawiciel gotycyzmu dający w Boskiej Komedji syntezę epoki gotyckiej, na której w swojej pieśni nad pieśniami pieczęć kładzie. Ze wszelkim zwróconym wstecz i namiętnem umiłowaniem przeszłości, próbuje on w tytanicznym wysiłku podtrzymać na własnych barkach sklepienie walącej się średniowiecznej świątyni. Wysiłek daremny, kiedy nowem zaklęciem Jozuego nie zdoła wstrzymać słońca w biegu. Z Boskiej Komedji pada atoli taki blask spokojny na słońca tego zachód, jaki nie wyzłocił zmierzchu żadnej innej doby ludzkości. Petrarka to już człowiek inny, nowoczesny, bo nowy w poczuciu przyrody i w przywiązaniu do niej, nowy w czci pomników i ruin starożytnych, nowy przedewszystkiem w walce

z pedanterją i formalistyką, na które chorzał wszystek wieków średnich; nowy we wyszydzaniu i tępieniu przesądów i zabobonów, czy kryły się one w tajemnicach astrologji, czy w zagadkach alchemji lub chiromancji; nowy we wszechstronności wiedzy pracującej i naprzód skierowanej myśli; nowy nawet w swoich słabościach, w egoizmie i próżności; lecz jak we wszystkiem, tak i w tem proto plasta plemienia humanistów, prototyp człowieka z czasów Odrodzenia. A wreszcie Boccaccio, a przynajmniej Boccaccio ze swego arcydzieła, Dekameronu, Boccaccio lotny, błyskotliwy, często swawolny, bardziej lubieżny, aniżeli namiętny, naginający łatwo linję prostą myśli wedle skrętu zdarzeń powszednich, — czyżto nie jakby przedstawiciel tego stylu, w którym się po dwóch wiekach styl Odrodzenia rozpłynie, czyżto nie w samem jeszcze zaraniu tegoż Odrodzenia, wczesny już jakoby zwiastun baroku?

Dante zapłodnił literaturę świata

4)

na wielki. Ale jak to u niedościgłych genjuszów zwykle bywa, — tak jak Michał Anioł, jak Beethoven, nie pozostawił on po sobie bezpośredniego pokolenia następców, nie utworzył szkoły. Inaczej Petrarka. Z jego tradycją wiązał się świadomie lub bezwiednie humanizm XIV., XV. i XVI wieku. Od Boccaccia wywodzi się zaś cały ów rój nowellistów, którzy dłużej jeszcze, bo aż po wiek XVIII włącznie, do znużenia jednostajnem nieraz brzęczeniem wypełniają literaturę włoską. Boccaccio nie utworzył rodzaju, w którym jego talent zabłysnął, nie był ojcem nowelli. We formie podawanych z ust do ust, rozmnożonych z miejsca na miejsce opowiadań ludowych, żyła ona od wieków, a protoplasta Dantego, stary rycerz z krucjaty Cacciaguida, kreśląc w „Raju" pielgrzymującemu przez zaświaty potomkowi przecudny obraz dawnej, cnotliwej Florencji, wspomina o matkach florenckich, jak niejedna z nich:

......u przęślicy długą nitkę wije
Snując powieści — tak wieczór ulata —
O Troi, Rzymie, Fiezolskiej dziedzinie.

Już zaś w schyłku XIII w. wchodzi novella do literatury, bo z tego czasu pochodzą zachowane nam dwa najcenniejsze takich włoskich powiastek zbiory, a mianowicie <u>Cento</u> (cento) <u>novelle antiche</u> oraz <u>Conti di Antichi Cavalieri</u>. Są to opowiadania oparte na Biblji, albo wzięte z dziejów bohaterów starożytnych, czasem współczesne rycerskie epizody, lub inne, dotyczące cesarza Fryderyka II, którego fantastyczna postać tak wielce ~~[illegible]~~ zajmowała i pociągała do siebie wyobraźnię ówczesnych pokoleń. Przedmiotów novelli, odnoszących się do przeszłości, nie szukano w (pisanych) źródłach, ale wydobywano je z ustnej tradycji: stąd dowolne metamorfozy, kiedy n.p. Sokrates występuje jako uczony Rzymianin, który przyjmuje i przemawia do posłów sułtana greckiego. Tylko tego, co się miało stać później klątwą novelli włoskiej, zwłaszcza odkąd ją humaniści z epoki Odrodzenia potrafią ustroić zaczęli, owej nieznośnej przewlekłości i rozlewności, tu, w tych jej pierwocinach ~~niema~~ niema jeszcze ~~[illegible]~~ zupełnie. Przeciwnie,

6)

(Była nowella w tem zaraniu) za kusa i chuda, daje zwykle nagi zaledwie szkielet tematu.

Dopiero Boccaccio ujął ją we właściwą formę i ramy i został się już przez to samo wzorem nowellisty na zawsze. Ten nowatorski rys uderza zaś w jego Dekameronie tem bardziej, że w innych, dziś mało lub wcale nieczytywanych jego pismach, zdradza on wszędzie, w przeciwieństwie do Petrarki, średniowieczną na wskroś jeszcze kulturę. Nowatorem jest w nich, co prawda, już o tyle, że w poematach swoich, Filostrato i Tezeida, wprowadza po raz pierwszy do poezji włoskiej oktawę, owe ottave rime, w których wyśpiewane będą dwie największe epopeje z epoki Odrodzenia, Orland Ariosta i Jerozolima Tassa. Z Petrarką łączyły związek Boccaccia bliższe i przyjazne stosunki, a starszy Petrarka opiekował się nim życzliwie. Cenił atoli właściwie tylko inne jego utwory, lekceważył zaś wolnie Dekamerona. Bo, — jak sam do niego pisał — odstraszała go od tej lektury pospolitość księgi, owa vulgare

eloquium
eloqium — czyli językiem włoskim —, w jakim była pisana. Patrzał więc na to dzieło, jako na „dzieło młodości" młodszego przyjaciela. x A żeby podnieść do literackiej godności wcale ówczesnego pojęcia to, co mu się przecież w Dekameronie spodobało, ostatnią nowellę, opowieść o cierpliwej Gryzeldzie, którą surowy małżonek Gualtieri, na najcięższe kolejno wystawia próby, przełożył sam na łacinę.

Ta ocena Dekameronu i to zaszczytne udostojnianie go łaciną ~~[illegible]~~ (przez) największego nowatora epoki, jakim był właśnie Petrarka, wykazuje, jak był nim bezwiednie i dowodzi (raz więcej), jak prawdziwe ewolucje duchowe odbywają się prawie zawsze bez programu, często bez świadomości głównych ich narzędzi. Nie bywa nowatorem, kto się na niego pasuje z profesyi (profesji), i nie wywiedzie pokolenia, kto się sam wszelkiej filjacji wyrzeka. A daremnem jest to zwykłe u wszystkich pseudo-nowatorów (pseudo-nowatorów) wystawianie weksla na przyszłość, bo choć bieg

czasu każde <u>futurum</u> na <u>perfectum</u> zamienia, są pewne futuryzmy, które nie dojrzeją chyba nigdy do perfekcji.

Ale w czem sam Boccaccio jest nowatorem, lecz nowatorem ujemnym, to w przejmowaniu z opowiadań gminnych, gdzie ten pierwiastek jest nieuniknionym, grubych nieobyczajności, i w nadawaniu im niejako prawa obywatelstwa w nowej, rodzącej się literaturze wyższej. Nie wzorował on się tu zpewnością na autorach starożytnych, ~~którym~~ ~~[illegible]~~ którzy jak Owidjusz, Martialis, a w niektórych epokach nawet Horacy, rodzaj ten uprawiali. Bo kultura średniowieczna żywiła się przeważnie autorami późniejszymi: Orozjusz lub Boecjusz, Walerjusz Maximus albo już Ojcowie Kościoła, bywali średniowiecznych czytających ludzi najczęstszą z dawnych autorów strawą, w której nie było pieprzu. Pieprząc natomiast silnie niektóre ze swych noweli, gonił Boccaccio za tem, za czem goni odtąd zawsze tego rodzaju literatura: za tanią

komikę, jaką wywołuje każda drażliwa sytuacja i opis jej bez osłonek. Sam się w X nowelli z piątego dnia Dekameronu dość naiwnie przez usta Dionea zastanawia „czy jest to skutkiem złych obyczajów, czy grzechem (peccato) przyrodzonym — nella natura peccato — że łatwiej uśmiać się z rzeczy ~~złych~~ złych, niż ~~jak~~ z dobrych."

Tylko nam oczywiście niewolno mierzyć tak odległej epoki miarą naszego poczucia i smaku. Nie wolno nam ani nawet zapominać, że przez Boccaccia i jego najbliższych epigonów i przez czytające ich ówczesne pokolenia nie przeszła była jeszcze ani surowość kontr-reformacji, ani wykwintność XVIII wieku, ani ogłada, a przytem wygoda i komfort XIX stulecia, które się także w tak znacznej mierze przyczyniły do wyrobienia zmysłu zewnętrznej choćby wstydliwości. I właśnie to, co nas dzisiaj przy czytaniu nowellistów włoskich najbardziej razi, a mianowicie, ~~[illegible]~~ że te nieprzyzwoite, wprost brudne nieraz pierwiastki opowiadania

10. bywają w obecności pań, a nierzadko przez same owe panie, – właśnie to nam wskazuje, jak zupełnie odmienne od naszych było ówczesne poczucie, smak i obyczaj; jeżeli mężczyźni śmieli tak wobec kobiet mówić, kobiety się zaś słuchać tego nie wzbraniały. Wielki ~~zaś~~ znawca tej epoki i jej ludzi, Jakób Burckhardt idzie nawet dalej, kiedy mówi, że miarą ~~[illegible]~~ silnych i pewnych podstaw ówczesnej towarzyskości było właśnie, iż nie rozsadzały jej podobne niemoralne opowieści, ale że to samo grono zdolne było wracać w toku tej samej rozmowy do poważnej ~~dyskusyi lub rozmowy~~ wymiany myśli.

Innym pierwiastkiem, który Boccaccio wniósł od razu i na zawsze do włoskiej noweli, był pierwiastek satyryczny. U niego jeszcze więcej żartobliwa niż zjadliwa, staje się satyra u jego naśladowców często namiętną i gwałtowną, idzie jakgdyby w służbę starego włoskiego przysłowia, które przytacza

w jednej ze swych novelli Bandello:
~~La lingua~~ lingua non ha osso, ~~ma rompe~~ ma rompe il dosso — choć język bez kości, ~~...~~ krzyże łamie w złości". Celem szyderstw tęczowem kupcy lub medycy, nieraz sędziowie lub chłopi, zawsze prawie duchowni a przedewszystkiem zakonnicy. Toteż znamiennem jest, jak się ta satyra zaostrza, im bliżej reformacji, której prądy ~~(...)~~ (rabkotowanie jeden wprzód) społeczności chrześcijańskiej. Więzy dyscypliny kościelnej rozluźniły się były w czasie także zwanej niewoli Awiniońskiej papieży w XIV wieku i potem, w wieku następnym, wśród zeświecczenia kurji rzymskiej, niecierpliwie wyprzedzających. Toteż na pożałowania godnych dla powagi Kościoła wykolejeniach ~~wybrykach~~ ~~jeniach~~ jednostek, tu i ówdzie licznych, zresztą, nie zbywało, i temat do krytyki był aż nadto obfity. Ale stworzenie (na obraz ówczesnego ~~...~~ mnicha ~~...~~) przez nowellistów przewrotnego typu chytrego i rozwiązłego hulaki było rozrzenaniem na cały stan zbiorczo

rozsadzały

12) pojedynczych ludzi i przewadą. Ta przewaga
~~[illegible]~~ wypływała nieraz z celów poli-
tycznych, jak n.p. u włoskiego Masuccia
z Salerno, w którego nowellach satyra
przemienia się w inwektywę, a źródło jej
tylko mogła na neapolitańskim dworze
Arragonów, wiekową kłótnią skłóconych
z papiestwem. U innych autorów nowellistów
~~zawodowe~~ zawodowe jakieby wyszydzanie kleryków
miało swoje źródło w pogańskim ~~huma-~~ huma-
~~nizmie~~ nizmie, wrogim Kościołowi, którego powagę
wszelkimi że podkopywał środkami. Inni
wreszcie, najliczniejsi, szli niewolniczo za
ustalonym przez Boccaccia typem,
typem rozwiązłego mnicha, gdzie sam
kontrast powagi stanu duchownego
i świeckich zboczeń, słabości i człowieka,
otwierał szeroko pole dla tłustych
facecyj i grubych żartów. Nadużyta
jednostajność powtarzanego pod zmie-
nionem nazwiskiem tego samego wciąż
typu, osłabiła i tu z czasem siłę ko-
micznego pierwiastka. Przedewszystkiem
zaś wychodzące ustawicznie w tych wiekach
rozkwitu nowelli z wyszydzanych przez

nię owczarni postacie tej miary, co Jan Lapistranus, albo — właśnie za czasów Boccaccia — Katarzyna Benincasa ze Sieny, aby tylko te dwa przytoczyć nazwiska, postacie, które nietylko jaśniały cnotą, ale którym danem było tak doniosłą odegrać rolę i tak wybitnie zaznaczyć się w życiu politycznem epoki, wstrząsnąć musiały silnie wiarą w bezstronność nowellistów.

Że ~~stanowiska lit~~ stanowiska literackiego jest to natomiast niezmiernie zajmującem, że w chwili, kiedy na nowellistów włoskich najwięcej spada zarzutów, bo gdy danem im jest zapośrednictwem wyobraźni najgenjalniejszego dramaturga nowej ~~...~~ ery, w jego przemianach nowelli postać komicznego mnicha nietylko znikła zupełnie, ale owszem w miejsce ujemnego typu wstępuje typ dodatni zakonnika o ojcowskiem i litościwem sercu. Czy Shakespeare zraziła wspomniana powyżej oklepana konwencjonalność tego komicznego

14. pierwiastku, nadużywanego do przesytu
przez nowellistów? Czy ~~było odpowiadało~~ sprzeciwiało
sic to osobistemu jego uczuciu i zdaniu?
W każdym razie zdawałoby się, że
w pełni reformacyjnego ruchu, na go-
rącym gruncie angielskim i za prze-
śladowczych rządów Elżbietyńskich,
postacie takie, jak Frate Cipolla
albo Frate Rinaldo z Dekameronu
i liczne u wszystkich innych no-
wellistów tych prototypów warjanty
szczególnej byłyby sobie u widzów zje-
dnały poklask. „Romeo i Julja”
„Otello”, „Kupiec Wenecki”, „Cymbelin”,
„Wiele hałasu o nic”, „Miarka za miarkę”,
„Wszystko dobre, co się dobrze kończy”,
„Jak chcecie”, „Wesołe kumoszki
z Windsoru”, — to tylko kwiatów
przeszczepionych z ogrodu nowelli
włoskiej do literatury angielskiej,
a nigdzie tu nie spotka ulubionego
tam, wstrętnego typu hulaszczego
mnicha. Przeciwnie, jak to już słusznie

zauważył dwudziestoletni profesor univer-
sytetu Jagiellońskiego, Wilhelm Creizenach,
w swojej * Historji nowoczesnego dramatu *
Shakespeare z szczególną zawsze sympatją
rysuje swoje postacie zakonne.

Wszakże to mnich wśród
dramatycznych zawikłań komedji
* Wiele hałasu o nic," opartych na
nowelli Bandella, mnich, którego
w nowelli Włocha jeszcze nie było, i
którego Shakespeare samowolnie do
fabuły komedji ~~swojej~~ (swej) dorobił, wska-
zując na „czcigodne swoje powołanie"
— reverend calling, — aby się oprzeć
wyrokom zapadłym na piękną, nie-
winną Hero, kiedy ją oszczerstwami
zwiedziony * narzeczony jej, Claudio,
w chwili ślubu i już na stopniach
ołtarza porzuca. Wszakże w ślicznej ko-
medji * Jak wam się podoba" oddaje
Shakespeare, zmieniając tekst użytego
źródła, (rozwiązanie dramatu) pobożnemu eremicie, który
wedle opowiadania Jakóba de Bois w piątym
akcie, skłania nieprawnego przywłaszczyciela

16) państwa, Fryderyka, do zwrócenia korony wygnanemu bratu i do wyrzeczenia się świata. A któż nie pamięta owego świtu błyszczącego jak łezki w świeżych promieniach poezji franciszkańskiej, kiedy Fra' Lorenzo wychodzi z koszykiem w ręku ze swojej celki, aby

pełnił { *Nim oko słońca pełnym blaskiem strzeli
Rosę wypije i świat rozweseli*

w czysto franciszkańskiem zbrataniu się z przyrodą zbierać

pełnił { *......moc pełną cudów, co się mieści
W sokach ziół, krzewów, w martwej kruszców treści*

która dziatki pierwsze

pełnił *Jak gdy dłoń śmierci zakryje dzień życia*

i którą spróbuje ustrzec nieszczęsną Julię od narzucanych jej przez rodziców ślubów z Parisem i uratować ją dla wygnanego Romea?

Zresztą właśnie owe dzieje tragicznej pary kochanków z Werony są najlepszym przykładem, jak się rozwija

rozwijały i często przeistaczały novelle.
Dzieje Romea i Julji opowiada po raz
pierwszy w pierwszych latach XVI stulecia
novellista Luigi da Porto, a zaznacza, że
zasłyszał ją od znajomego, pochodzącego
z Werony. Dramat miał się odegrać za
panowania Bartolomea della Scala
w Weronie, a więc pomiędzy 1301–1304
rokiem. Jest to ta sama właśnie chwila
kiedy Dante, wygnany z Florencji, znajduje
pierwszy swój tułaczy przytułek na dworze
„wielkiego Lombarda" — del gran Lombardo, —
jak z wdzięczności za gościnę Bartłomieja
Scaligera nazywa. Ale jakże sobie natenczas
wytłumaczyć, że poeta, który w Boskiej
Komedji tyle współczesnych dramatycznych
wydarzeń uwiecznił, to jedno, z pewnością nie
najmniej wstrząsające, tragiczną śmierć
Romea i Julji, pominął milczeniem,
choć wszystko to działo się w tem samem mieście,
w którem sam wówczas mieszkał, a więc nie-
jako pod jego okiem i bokiem?

Zagadkę tę rozwiązują krytycy,
dając nielitościwą odpowiedź w dowodzie,
że całe to zdarzenie było i jest fikcją, a opo-
wieść o niem tylko legendą. Niewiadomym

18) siewcą tej legendy jest wszelako nie kto
inny, tylko sam Dante. Bo kiedy w słynnej
inwektywie z VI pieśni „Czyśca" na rozdarcie
Włoch ~~poeta~~ w piorunnych słowach zaklina
poeta ~~zaklina~~ cesarza Albrechta, ażeby przekroczył Alpy
i przyjrzał się waśniom i walkom, przeto
żrącym Italję, ten „ogród cesarstwa" — il
giardin del' imperio, — wśród innych
sprawców złego, wśród innych „żrących się
pomiędzy sobą", wskazuje on także na
„Monteckich i Kapuletów":

„Vieni a veder Montecchi e Cappelletti"

jako na tych, którzy

*.............. wzajemnymi ciosy
Gubią się i żrą nieustannym bojem.*

To zestawienie w jednym wierszu Montecchich, których ród istniał rzeczywiście w XIII i XIV w. w Weronie, z Cappelletimi, jak zwano natomiast jakieś ówczesne stronnictwo polityczne w Cremonie, które widocznie w owych latach z weroneńskim domem Montecchich, połączyło obie te nazwy na zawsze. Oplatała je przez dwa wieki wyobraźnia ludowa, tak jak wyrastające z jednego krzewu, bliźnięce,

oplata pośród gruzów i spaja czasem
we wspólnym uścisku strzegące obok
siebie, choć nie z jednolitego rzędu po-
zostałe kolumny, – aż gotycka legenda
o złączonych nieszczęśliwą miłością Romea
i Julji weszła najpierw do literatury
przez skromną furtkę noweli. Przyjął
ją tam, jak widzieliśmy, najpierw da Porto,
a rozpowszechnił w kilkanaście lat potem
znakomitszy mediolański nowellista,
Bandello. Z Bandellem powędrowała
ta opowieść poza Alpy, do Francji,
gdzie ją Boistuau i Belleforest do swych
Histoires tragiques wcielili. W tym kształcie
dotarła dalej na północ, za morze, i tam
zamieniła się niebawem pod piórem
miernego angielskiego wierszoklety
z epoki Elizabetyńskiej, Artura Brooke,
w nudny poemat, liczący trzy tysiące
wierszy pod tytułem: The Tragicall
Historye of Romeus and Juliet. ~~Tak~~

W tym kształcie ~~Tak~~ poznał ją (zapewne) nareszcie Shakespeare
i z podanej mu ~~[illegible]~~ fabuły wysnuł
swój dramat miłości par excellence, tragedję

o Kochankach z Werony, o której słusznie mówi Klaczko, że „stoi jak pomnik rozgradzający dwa światy, bo brzmi w niej jeszcze jakoby ostatnia nuta obumierającego canzo trubadurów i pierwszy już krzyk namiętności nowoczesnego dramatu." Tak więc rzucone jakby mimochodem cudotwórczą ręką Dantego ziarnko, wschodzi najpierw w powieści gminnej, rozrasta się potem i krzewi w noweli; aż zakwita nakoniec kwiatem najpiękniejszej poezji Shakespeara. Ponad przeszłemi i — póki poezja żyć będzie — przyszłemi pokoleniami kochanków, poprzez trzy wieki podają sobie ręce Dante i Shakespeare.

nie od nowej kolumny tylko z pewnym zmniejszonym odstępem od rozdz. poprzedzającego

II

Prócz z bogatej skarbnicy podań ludowych, wyłaniających się, jak wskazuje pewien przykład, z czystego nieraz przypadku, zbierali novelliści zewsząd nitkę po nitce do swoich lekkich tkanin. Dostarczali im tematów najpierw Liwjusz, szczególnie Liwjusz z pierwszej, bajeczne dzieje rzymskie opowiadającej księgi, dalej Herodot i Plutarch, choćby z wyjątków im znani, wreszcie współcześni im samym kronikarze włoscy, szczególnie kronikarz florencki, Villani. Z Zachodu, przez mauretańską Hiszpanję, ze Wschodu, już przez Krzyżowców, potem przez kupców z Wenecji i z Genui, wciskała się do Włoch barwna jak wschodni kobierzec baśń wschodnia, opowiadania z Tysiąca i jednej nocy lub Czterdziestu Wezyrów, opowiadania, które novelliści włoscy do swoich przykrawali stosunków, przebierając nieraz bohaterów

powieści z orjentalnego żupanu w ze-włoszczony giuppone i kładąc im na głowę w miejsce turbanu — beret. Wreszcie codzienne życie, burzliwa epoka XIV i XV stulecia, kiedy we Włoszech powstawały i zwalczały się wzajemnie — a wiadomo jakiemi środkami — młode dynastje tyranów, awanturnicze losy wojujących za ich sprawę i włóczących się po całym półwyspie kondottierów; świetność zewnętrzna współzawodniczących ze sobą nowych dworów, okupywana zwykle samowolą i okrucieństwem rządzących, — wszystko to dostarczało wątków, aż nadto nieraz dramatycznego, pióru nowellistów. A że w rozwijających się dopiero społeczeństwach bajka, opowiadanie zajmuje miejsce subtelniejszej wymiany myśli i szermierki słów w rozmowie, do której one jeszcze nie dojrzały, stąd ta pochopność nowellistów do wytwarzania zewsząd historji i historyjek,

które wypełniały ówczesne współżycie towarzyskie.

Nie jest to bowiem czczą literacką formą, czy sztuczką, jeżeli najpierw Boccaccio, a za nim wielu jego naśladowców, których swoich nowelli we wspólne towarzyskiego zebrania oprawiają ramy. Wiadomo że w Dekameronie grono młodzieży florenckiej obojga płci, uchodząc w czasie morowego powietrza z Florencji na wieś, urozmaica sobie wczasy założeniem na dziesięć dni opowiadaniem powiastek. U innych inne są takich zebrań przyczyny. I tak Grazzini, piszący w XVI w., gromadzi wesołe swoje toskańskie towarzystwo w zimowy wieczór u pięknej młodej wdowy we Florencji. Gęsty śnieg poczyna na dworze sypać, kiedy się goście rozchodzić mają do domu, więc najpierw bawią się ni w szachy w klimacie włoskim grą: walką na śnieżne kule. Ale gdy się zamieć wzmaga, chronią się znów pod dach gościnny uprzejmej gospodyni i skracają sobie wieczór opowiadaniem nowelli. — Francesco Vettori,

posłujący z ramienia rzeczypospolitej Florenckiej na dwór cesarza Maksymiljana, wypełnia swój opis swej podróży opowiadaniami, które w zajazdach tyrolskich lub bawarskich na postoju rzekomo zasłyszał. — U Sieneńczyka Scipiona Bargagli szuka natomiast grono młodych mężczyzn i kobiet rozrywki wśród niedoli rodzinnego miasta, oblężonej właśnie przez wojska Kosmy Medyceusza i głodem morzonej Sieny, i na pociechę — opowiada sobie nowelle. Gian Battista Giraldi, od którego Shakespeare wziął temat do swego „Otella" i do komedji „Miarka za miarkę", podaje zaś za czasowe tło swego zbioru nowelli pogrom Rzymu z r. 1527, — sacco di Roma —: uchodzące przed dzikiem żołnierstwem Bourbona i Fründsberga, a właściwie co prawda, jak na taką chwilę wesołe towarzystwo młodych Rzymian i Rzymianek, uprzyjemnia sobie kilkunastodniową żeglugę do Marsylji, dzieląc się nawzajem opowiadaniem bardzo pieprznych nieraz powiastek.

Ale najszczególniejsze ramy dla swego

zbiorem novelli stwarza bliższy Boccaccia, dosięgający jeszcze końca XIV wieku, Ser Giovanni: słysząc o urodzie, cnocie i pobożności Saturniny, mniszeczki w jakimś klasztorze w Forli, zakochuje się w niej młody Auretto. Aby ją poznać i zbliżyć się do niej ubiega się o posadę kapelana przy jej klasztorze, otrzymuje ją i wnet cnotliwa Saturnina dzieli jego czułe uczucia. Postanawiają schodzić się przez dwadzieścia pięć dni w ustronnej i zacisznej rozmównicy i tam — opowiadać sobie nawzajem po jednej na dzień novelli. Po upłynięciu tego terminu rozchodzą się zakochani i żegnają ze sobą czule, a Ser Giovanni zaręcza, że wszystko odbyło się senza nessuna disonestà, „bez żadnej nieuczciwości". Oprócz tych schadzek pozostaje więc tylko zbiór pięćdziesięciu novelli, przeważnie niewolniczo wypisywanych z kroniki Villaniego, ale po części czerpanych i z innych źródeł. W tym zbiorze pojawia się po raz pierwszy w literaturze novellistycznej udramatyzowana następnie

26) przez Shakespeara powieść o „Kupcu Weneckim."

Choć później, w pełnym rozkwicie Odrodzenia, rozmowa stawała się subtelniejszą, jak to widać z dialogów powstających podówczas komedyj, żeby przytoczyć choćby osławioną „Mandragorę" Machiavella, albo jak tego dowodzą wymiany zdań i poglądów w urządzonym wtedy na dworze Montefeltrów w Urbinie „Dworzaninie" Baltazara Castiglione, to jednak opowiadania sobie nawzajem powiastek dłuższych lub krótszych, anegdot i facecyj było najczęstszą ozdobą każdego towarzyskiego zebrania, stanowiło główny surogat konwersacji w nowoczesnem jej pojęciu. Że zwyczaj ten trwał długo i kwitł w całej pełni jeszcze i w XVI wieku, na to wskazuje najdokładniejszy obraz obyczajów i poziomu ówczesnej towarzyskiej umysłowości, pochodzący właśnie z cinquecenta wielki zbiór noweli Matteusza Bandello. Bo nowelista ten nie tworzy wedle rozpowszechnionej recepty Boccaccia osobnych dla swych opowieści ram, tylko każdą z nich

poprzedza czasem i dłuższą dedykacją i ~~...~~ przedmową. W tych przedmowach przesuwa się przed oczyma czytelnika szereg dworów, pałaców i willi z północnych Włoch, do których autor kolejno zagląda i gdzie dłużej lub krócej gości, a z każdego z tych — jakbyśmy dziś powiedzieli — salonów składa do swej teki czasem zasłyszaną rozmowę (która, co prawda, zwykle na powiedzany dyskurs wygląda) ale zawsze jakąś opowieść, którą przetwarza w novellę. I tak opowiadanie bierze wciąż górę nad potoczną rozmową a zachwalając przymioty towarzyskie swych znajomych, mówi Bandello o jednym, że sempre a tutti i propositi (proprositi), che si dicevano, aveva qualque ~~...~~ istoria o novella da dire..., czyli że „przy każdym temacie rozmowy miał zawsze do opowiedzenia jakąś historyjkę lub novellę"; o drugim, że in ogni compagnia era festevole (festevole) e pieno di novelle, — że „w każdem towarzystwie ~~był~~ bywał wesoły i pełen novelli..."
W takiej tałtwości opowiadania okolicznościowego

28)

upatrywano się w owych czasach, gdy Książka była doskonałością, szczyt zalet francuskich.

Rozmowa taka, jaką być powinna, czyli nie powierzchowna, ale pozbawiona sztuczności, nie gminna, ale wolna od wytartego frazesu, nie gubiąca się w liczbie tematów, ale urozmaicona różnolitością zdań i poglądów, a przedewszystkiem zaprawiona dowcipem, nie wyrabia się właściwie tyle we Włoszech i w epoce Odrodzenia, co raczej we Francji, i to później, w XVII i w XVIII wieku. Lecz że tam i na tem polu wiele wziąć musiało z dodatnich stron starszej cywilizacji włoskiej, o tem świadczy choćby to jedno, że pierwsze takie środowisko towarzyskie w Paryżu założyła, pierwszy znany salon otworzyła, wnuczka rzymskiego rodu Savellich, wychowana na [illegible] w Rzymie, słynna margrabina de Rambouillet. Rzecz prosta, że i ten intellektualizm francuski przechodzić będzie zaraz przez choroby dziecięce, przez przerafinowanie i pedanterję, aż go wsparty

na zdrowym rozsądku i koncepcie geniuszu Moliera zbawiennem ośmieszeniem z takich naleciałości wyleczy.

Jeżeli zresztą nowella [illegible] jest najcenniejszem w swoim rodzaju źródłem do poznawania zwyczajów i obyczajów ludzi z epoki Odrodzenia, jeżeli istotnie daje nam w tysiącznych szczegółach wizerunek ich codziennego życia, ~~[illegible]~~ uczy nas, jak mieszkali, czem się żywili, w co przyodziewali i na czem im dzień schodził, to w ocenie ówczesnej duszy ludzkiej, ówczesnych myśli i uczuć wedle tegoż źródła należy być ostrożniejszym. Bo kiedy się próbuje wniknąć w ducha jakiejś ~~[illegible]~~ minionej epoki, nie można nigdy dość powtarzać sobie niezrównanych słów Göthego z Fausta:

Was ihr den Geist der Zeiten heisst,
Das ist im Grund der Herren eigner Geist,
In dem die Zeiten sich bespiegeln.

Mimowoli podsuwa się ~~[illegible]~~ własną myśli i własne uczucia ludziom sprzed kilkuset lat, których nieraz dokładnie nigdy poznać nie zdołamy. Wszelako niemniej

30) i o tem pamiętać trzeba, że jeżeli religja i cywilizacja pomagają wedle każdorazowej podatności gruntu do zwalczania złych, umacniania dobrych popędów w człowieku, i że jeżeli w ewolucji wieków spotężniałe, zawsze one ostatecznie wskazywać „w górę", a nie „w ciemnię", to jednak natura ludzka pozostaje także samo wiecznie ułomną. Więc też znowu za Göthem wołać, niestety, można do człowieka po przez wieki temi samemi słowy, które duch wiecznego przeczenia ciska Faustowi w twarz:

Du bleibst doch immer — was du bist...

Sąd wydany o człowieku z czasów Odrodzenia na podstawie nowelli włoskich wypaśćby musiał w każdym razie ujemnie, bo na widok tyla skąpych chłopów, okrutnych panów, oszukujących kupców, chciwych adwokatów, rozwiązłych mnichów i niewiernych żon, od których się w nich roi, ma czytelnik ochotę zawołać z Dantem, jak on sam woła ~~[illegible]~~ w ~~[illegible]~~ pieśni „Piekła", patrząc ~~[illegible]~~ na towarzyszącą mu ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ zgraję

szatanów: <u>Ahi fiera compagnia!</u> Lecz
jako to ~~[illegible]~~ już zaznaczyliśmy —
na przykładzie charakterystycznym nich,
liczyć się należy zawsze z pociągiem nowellistów
do generalizowania typów i z właściwą im
skłonnością do przesady. Większość ich
szczególniej w miarę jak pozostają daleko
poza pierwszorzędnym ~~[illegible]~~, Boccacciem, to praw-
dziwie malarze o prymitywnym poziomie
nie znający półtonu ani półcienia. To-
też ich farby grubo bywają nakładane warstwą,
a dla łatwiejszego wywołania effektu,
w opowiadaniach poważniejszych, czarne
tło przeważa nad jasnem. Dzieje się to na
ich własną szkodę; bo z natury mają bez
porównania więcej komicznego zmysłu,
aniżeli tragicznego poczucia. Opowiadania
rodzaju pierwszego są naturalne i często szcze-
rze zabawne; w drugim bywają zwykle na-
puszyści, nieraz brutalni. Nie brak
opowiadań o czynach uszlachetnych, przy-
kładów wielkoduszności, poświęcenia,
cierpliwości w niedoli. Ale delikatniej
umiał oddać w takie struny jeden
bodaj Boccaccio, żeby tylko przytoczyć

32) siódmą nowellę z dziesiątego dnia ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ Dekameronu: Młoda dziewczyna,
~~[illegible]~~ Liza, widzi na turnieju w Palermo
Piotra Arragońskiego, Króla Sycylji, i za-
kochuje się w nim od pierwszego wejrzenia.
Ale wie ona, że napróżno uczuciem do ta-
kich wyżyn sięga, zna przepaść, jaka
ją od umiłowanego w Koronie dzieli,
więc ukrywa tajemnicę swoją na dnie
~~[illegible]~~ serca i w beznadziejnej miłości
więdnie jak kwiat. Ale przed śmiercią
jednejby chciała przynajmniej doznać po-
ciechy: niechby się Król dowiedział, że
umiera z miłości do niego, a wtedy
umrze mniej nieszczęśliwą. Woła więc
przyjaciela ojca, pieśniarza i lutnistę, i wy-
jawia mu swą myśl serdeczną, prosząc,
aby te zwierzenia dziewicze powtórzył przed
Królem. Lutnista idzie na dwór Króla
Piotra i tam w rzewnej kanzonie śpiewa
zwierzenia biednej Lizy. Zdumiony Król
pyta, kto tę smutną pieśń natchnął i dla
kogo nieznana dziewczyna umrzeć pragnie.
Lutnista tłumaczy mu zagadkę, i wnet
Król z Królową i dworskim orszakiem

syła do ~~[illegible]~~ domu ojca biednej Lizy i dziewczynę wołać przed oblicze króla. W rycerskich słowach dziękuje jej za to uczucie, które jej zaszczyt przynosi ~~[illegible]~~, na mocy ~~[illegible]~~ tego uczucia wzywa ją, aby żyła i była zdrową, a własnego orszaku wybiera jej dorodnego młodzieńca na męża, a sam mianuje się jej rycerzem, obiecuje znaki jej w każdym turnieju wdziać nosić. Dla siebie zaś prosi o jeden tylko jej wielkiej miłości dowód: o jeden pocałunek. Dziewczyna zwraca pytający wzrok w stronę królowej, a na jej dobrotliwe skinienie, pochyla kornie przed królem skronie, na które król pocałunek składa.

Miarą subtelności uczuć, jakich dowód ~~[illegible]~~ złożył Boccaccio w tej swojej noweli, jest chyba to, że najsubtelniejszy z nowoczesnych poetów miłości, Musset, przy przerabianiu tego opowiadania na obrazek dramatyczny, trzymał się wiernie pierwowzoru. Zmienił tylko postać królowej, której szerszą przydzielił rolę, i którą misterniej wyrzeźbił, oraz zmienił imię samej bohaterki noweli, która w tej naj-

poetyczniejszej stronie z jego komedyj, zwie się Ikarmozyną.

Otóż tajemnicę tego wdzięku, który w niejednej nowelli Boccaccia niewoli, następcy jego włoscy zatracili niemal zupełnie. Zbliżali się oni pierwszorzędnie w opowiadaniu komicznem, choć i tam, gdzie Boccaccio umie drastycznym powiastkom nadać ton lekkiej swywoli, naśladowcy jego łatwo pogrążą obraz w prostej pornografji. W opowiadaniach poważniejszej natomiast treści, ton dydaktyczny, w którym później zwłaszcza nowelliści uwydatnić pragną umoralniający cel swych opowieści, razi, u niektórych wprost usypia. Zresztą po nagłym i cudownym rozkwicie literatury włoskiej w wieku XIV, a więc bezpośrednio po Boccacciu, następuje w wieku XV pewien zastój. Działalność uczonych i literatów skupia się w szukaniu i wydobywaniu na światło dzienne autorów starożytnych. Kult łaciny daje jej znów przewagę, a młody, rodzimy język włoski zatrzymuje się na chwilę w rozwoju.

Nawet tak pilnie uprawiane dotąd
pole nowelli leży pokrzywione odłogiem,
a i nowella, w rzadkich z tej epoki próbkach,
stroi się czasem w zmartwychwstającą
klasyczną łacinę. W tym języku pisze
Poggio Bracciolini swój słynny, a raczej
osławiony ~~Liber Facetiarum~~, – „Księgę
żartów." Za kilku z rzędu pontyfikatów,
szczególnie od wstąpienia na Stolicę
Apostolską, po ukróceniu wielkiej
schizmy Kościoła, Marcina V Colonny,
zaroiło się na dworze papieskim od napły-
wających zewsząd do Rzymu humanistów.
Służyli oni w papieskich kancellarjach
za sekretarzy, później za tak zwanych
abbreviatorów, którzy doborową łaciną
krasić mieli bulle i korres-
pondencję dyplomatyczną kurji.
Wśród nich był słynny Florentczyk
Poggio. To nic mniej jak czcigodne
grono, którego uczestnikom inny ówczesny
znany humanista, Lorenzo Valla,
przewrotny swój djalog *De Voluptate**

36) dialog *De voluptate* w usta kładzie, zbierało się codzień w jednej z odleglejszych od apartamentów papieskich komnat Watykanu. Znoszono tam sobie najświeższe nowinki, opowiadano anegdoty, a przytem szydzono ze wszystkiego, obgadywano wszystkich, snuto intrygi i tak się ośmieszano wzajemnie, że sam Poggio ten szczególnego rodzaju ówczesny jakgdyby klub od włoskiego słowa *bugia* — „kłamstwo," — *bugiale*, czyli coś w rodzaju biura blagi nazywał. Pokłosiem literackiem tych schadzek był więc ów wydany przez Poggia *Liber Facetiarum*, zbiór różniących się od ustalonego przez Boccaccia typu noweli, bo krótkich raczej anegdot, opowiadanych po łacinie, *dont le latin brave l'honnêteté*, jak słusznie zauważono, gdyż w ~~[illegible]~~ plugawstwie przechodzą te fraszki niemal wszystko, co i tak nie znająca obsłonek ówczesna literatura nowellistyczna wydała.

Jeśli jednak wiek XV mniej utalentowanych wydawał nowellistów, to roili się znów jak grzyby po deszczu w następnym, mianowicie odkąd jeden z głównych kierowników literackiego smaku i mody, świetny Pietro Bembo, uwydatnił i rozpowszechnił we Włoszech kult Dekameronu. Rozwój zaś, i więcej niż rozwój, bo rozpasanie indywidualności w owej ubiegłej stawnie epoce włoskiego quattrocenta przygotował był realistycznym nowellistom z cinquecenta aż nadto dramatycznego wątku do powieści. Piętnaste stulecie i pierwsze lata następnego w tle nowelli z XVI wieku, to zaiste w życiu prywatnem jak publicznem panowanie sztyletu i trucizny. Takie n.p. opowieści Mattenza Bandello,[1] jak o zgładzeniu braci Trincich przez dowódcę załogi w Nocerze (I. 55) i szczegóły tych mordów, jak o hrabinie de Cellant z Monferratu (I 4.), podżegającej kolejno

---

[1] Bandello: Le Novelle. Ed. a cura di Gioachino Brognoligo. 5 vol. Bari. Laterza e figli. 1910

38)

~~[illegible]~~ kochanków swoich do mordu pomiędzy sobą, lub książąt Arragońskich, zgładzających z najzimniejszem wyrachowaniem cnotliwą siostrę, księżnę na Amalfi (I 4.), jej drugiego małżonka, Antoniego Bolognę i spłodzone z nim dzieci dlatego tylko, że skromny ród Bologny nie był godzien koligacji z dumnymi Arragonami; — to tyleż obrazów zdziczenia, któreby się chętnie wpisało na rachunek właściwej nowelistom przesady. ~~wpisało~~ Ale z innej strony z wiarogodnych źródeł znane nam postaci historyczne, jak n.p. Sigismondo Malatesta, który cynicznem zuchwalstwem nawet współczesnych w zdumienie wprawiał, jak Ferrante Neapolitański, który zabalsamowane trupy pomordowanych ofiar politycznych w pobliżu przechowywał, aby od czasu do czasu wzrok ich widokiem napawać; jak wreszcie Cesare Borgia, który choć wystrzeliwał ponad nich wszystkich zakrojem politycznej swej koncepcji, sam był przecież jakimby zawodowym ~~mordercą~~ mordercą; —

postacie takie dają miarę, jak powszednim chlebem była dla Włochów z XV wieku zbrodnia i jak w tej powszedniości kamieniały serca i wyradniały dusze. Nieznająca żadnego hamulca ambicja z jednej strony, a mściwość, jakiejby konieczność zemsty i rozkaz w jej spełnieniu z drugiej, zdają się być udziałem uczuć ludzi ówczesnych. Potrzeba vendetty przechowała się zresztą aż po dziś dzień u włoskiego ludu, a znający może lepiej, niż ktokolwiek inny duszę włoską Stendhal, przypisuje to nadmiarowi fantazji i wrażliwości Włochów, u których wspomnienie doznanej krzywdy jest tak trwałe, a uściska życie, że staje się jakiemby opętaniem, i musi się wyładować w odwecie. Totez dziwić się nie można, kiedy n. p. jeden z włoskich historyków z drugiej połowy XV wieku stwierdza wcale, że w Neapolu nic tańszego nie masz, jak życie ludzkie" — non est quod Neapoli, quam humana vita,

40) ~~minori~~ minoris vendatur.

Czytającego dziś podobną charakterystykę epoki, jaka się w tych słowach mieści, w dumę wbić by mogło poczucie ewolucji, którą od tego czasu ludzkość przebyła. Ale w poprzek stają jeszcze wspomnienia, czy to takich wynalazków ducha ludzkiego jak gazy trujące lub oślepiające, albo ~~[illegible]~~ takich apostołów sprawiedliwości, jakie uprawiają Czrezwyczajki bolszewickie. I znów brzmi w uchu urągający okrzyk ducha, co wiecznie przeczy: Du bleibst doch immer — was du bist....

Nowelliści włoscy z epoki Odrodzenia mogli jeszcze poznać współczesną im społeczność dokładnie, bo nowellistyka nie była zwykle wyłącznym fachem piszącego, i tak jak nim bywa powieściopisarstwo u dzisiejszych powieściopisarzy. Ówcześni nowelliści rekrutowali się z najrozmaitszych sfer i zawodów. I tak

wczesny a słynny następca Boccaccia, Sacchetti,
w którego krótkich powiastkach, raczej
anegdotach, odźwierciedla się w tysiącznych
szczegółach powszednie życie ~~Włocha~~ Florentczyków
z końca XIV wieku, był sekolarzem za=
młodu, a następnie piastował z kolei
urząd podesty w Bibbienie, w Faenzy
i w San Miniato. Masuccio, ów wspomniany
jako namiętny wróg Kościoła, księży i mnichów,
~~[illegible]~~ przebywał jako sekretarz na
dworze księcia Salernitańskiego. Ser Cambi
był kronikarzem miasta Lukki. Poggio,
w epoce kiedy pisał swój Liber Facetiarum,
pełnił, jak wspominaliśmy, służbę
w kancellaryi papieskiej. Później,
w XVI wieku, przyjaciel Medyceuszów Firen-
zuola, którego ~~[illegible]~~ powiastki o wcale
nie platonicznych miłostkach poprzedza
dialog o platonicznej miłości, był prawni-
kiem i opatem. Grazzini z aptekarza
przedzierzgnął się na literata, aby pisać
nowelle, dowcipem najświeższym może z wszystkich
późniejszych tego rodzaju płodów do Boccaccia
zbliżone, ale jeszcze mniej budujące,
choć wyprzedzone szczerze zresztą brzmiącem

42) wezwaniem do Boga, aby wszystko w jego piśmie skierowane było „na chwałę Bożą i zbudowanie ludzkie." Vettori, który obok nowelli pozostawił cenne sprawozdanie o splądrowaniu Rzymu, ~~[illegible]~~ o okropnem <u>sacco di Roma</u> zr. 1527, używanym był przez Medyceuszów za dyplomatycznego ajenta, dopomógł im do otrzymania władzy we Florencji i podróżował z ich zlecenia niejednokrotnie na drogi zagraniczne. Bandello był Dominikaninem, później biskupem, a Giraldi poświęcał się najpierw naukom lekarskim, a z medyka przemienił się później jakoby na dyrektora teatru u Herkulesa II d'Este, we Ferrarze.

Co się zaś tyczy pochodzenia nowellistów, to przeważną ich liczbę dostarczała kraina Boccaccia, ziemia Toskańska. Literacki ten rodzaj już ze założenia swojego powinien być żywy i przejrzysty, a różnolity i barwny. Takim jest zaś ~~[illegible]~~

i sam już krajobraz toskański, taka natura ludzi zamieszkujących tę okolicę. Takim jest także w całej pełni Boccaccio w swoim Dekameronie. W Wenecji natomiast, która spóźniała się zawsze na polu sztuki i literatury za Florencją, ale gdzie tętniło zato pełne artystyczne i literackie życie jeszcze w XVIII wieku kiedy (na resztę ~~[illegible]~~) półwyspu Appenińskiego zapadał już ~~[illegible]~~ zmrok ~~[illegible]~~, spóźnia się i nowella. Dopiero w drugiej połowie XVI wieku i później w XVII wieku, uprawia także ów rodzaj, jak świadczą nazwiska wyjęte ze złotej księgi weneckiego patrycjatu, kilku jego członków, najpierw Erizzo, potem Sagredo i Loredano (Loredano), wreszcie w XVIII wieku bracia Carlo i Gasparo Gozzi. Ale są to pracownicy skromniejszego talentu, ptactwo niższego lotu.

Wśród tych dworaków, dyplomatów, prawników, bankierów, lekarzy, wśród tych świeckich i duchownych osobistości, próbujących sił w lekkim literackim rodzaju krotochwilnej opowieści, pojawiają się

44)

niekiedy postacie o głośnej już na innem polu sławie, a które dorzucają także, jakby od niechcenia, swój wkład do skarbczyka novelli. I tak w drugiej połowie XVI w. pisze ich kilka, mało zresztą znaczących, w postrach wszech czesnych królów i książąt, którzy złotym haraczem bronili się przed żądłem jego pióra, albo kupowali sobie choćby uszczypką jego karteluszka, w podtyła względami, szczególnie w sztuce płaszczenia się przed wielkimi tego świata, protoplasta Voltaire'a, a wzór w każdym razie wszelkiej późniejszej rewolucyjnej publicystyki cyniczny i bezczelny Pietro Aretino. Wcześniej zaś, bo już na samym tego wieku XVI wstępie uświetnia rubrykę nowellistów swojem nazwiskiem nie mniejszy pisarz, myśliciel i polityk co Nicolo Machiavelli.[1]

Jedyna novella, która z pod jego pióra wyszła, jest drobną literacką

---

1 Opere di Machiavelli. Milano. Tip. dei Classici Italiani, 1805. tome X.

igraszką. Ale wersja, z jaką ją opowiada, dowcip, którym ją krasi, zbliżają go najbardziej z wszystkich nowellistów włoskich do ~~[illegible]~~ Boccaccia. Treść jest następująca: Djabeł nazwiskiem Belphegor porzuca piekło i przybywa na ziemię, aby tam dokładnie poznać i osobiście wypróbować dolę i niedolę ludzkich małżeńskich związków. We Florencji poznaje i poślubia piękną Honestę z możnego rodu Donatich. Ale żona ciężko wnet daje mu się we znaki: Najpierw opuszcza go służba djabelska, którą przywiódł był ze sobą z piekieł, a która nie chce grymaśnej słuchać pani i zbuntowana ucieka. Potem wierzyciele rozrzutnej małżonki tak mu dopiekają wreszcie, że i on sam ratuje się ucieczką. Mądremu chłopu, który mu w tej imprezie dopomógł, wywdzięcza się Belphegor sowitą nagrodą: wierny djabelskiej swej naturze, będzie on sam nadal opętywał kobiety, chłopu zaś

46) posiada środek, jakim on jeden
z każdej opętanej zaraz go wypędzić
zdoła. Chłop rośnie w znaczenie
i dostatki, bo gdziekolwiek Bel-
phegor nową niewiastkę opętał, a
egzorcyzmy innych na panewce
spalą, chłopskie zamówienia zawsze
odnoszą skutek, djabeł ofiarę po-
rzucić musi, a wdzięczna rodzina
hojnie obdarza zbawcę. Ale wreszcie
i djabłu obmierzło takie nieustanne
przepędzanie go z miejsca na miejsce,
i gdy z kolei opętał królewnę
francuzką, a chłop, sprowadzony
przez króla na dwór, już się do
zwykłych swoich zamówień zabierał,
żachnął się ~~djabeł~~ Belphegor i przez
usta królewnej zawołał, że kwituje
z umowy i zostanie tam, gdzie mu się
podoba, a chłopa powiesić każe. Ale
chytre chłopisko nuże po rozum do
głowy, jakby tu djabła uwolnić: nagle
wiedzie pod dwór księżniczki procesyję,

a uczestnikom tej procesyji nakazuje bić w bębny, walić w kotły, dmuchać w piszczałki i dąć w puzony, aż powstał taki zgiełk, że sam djabeł zdumiał i strapiony pytał, coby to wszystko znaczyć miało. A chłop mu na to: nic to, Belphegorze, jeno się twoja żoneczka, Honesta, zwiedziała, kędy teraz bawisz, i oto przybywa do ciebie, a przybywszy swoje zwiastuje muzyką. Na to djabeł, jak oparzony ukropem, wyskoczył z mdlejącej królewny, czmychnął i biegł, biegł, biegł, aż się brama piekielna za nim zatrzasła.

Dla nas wesoła ta powiastka Machiavella jest już i z tego względu zajmująca, że to ustraszenie djabła kobietą przypomina nam znany motyw komiczny z własnej, rodzimej gadki. Indyjskiego pradawnego pochodzenia zaszła ta gadka, idąc na zachód, ponad Arno i wcieliła się tam w opowieść o Belphegorze. Zabłąkawszy się zaś na północ, dotarła aż nad Wisłę i tam wrosła w baśń o Panu Twardowskim.

4/8)

bez nie od nowej kolumny

III

W XVI w. wysuwa się na czoło ówczesnych nowellistów włoskich Matteo Bandello. Nie pochodził on ze zwykłego ich ~~gniazda~~ gniazda, bo nie był Toskańczykiem, ale Lombardem z rodu, co niejednokrotnie w przedmowach do swych powieści z naciskiem podnosi, usprawiedliwiając w ten sposób rzekomy „brak stylu", na który narzeka. Urodził się u schyłku
Castelnuovo di Scrivia
XV w. w Castelnuovo di Scrivia, niedaleko Tortony, a jeszcze przed upływem tegoż stulecia wstąpił do zakonu Dominikanów, na którego czele stanąć miał właśnie, jako jenerał, stryj jego rodzony, a autor kilku głośnych naówczas traktatów teologicznych, Vincenzo Bandello. Pierwszą siedzibą zakonną młodego Bandella był Medjolan. Zamieszkał on tam w zbudowanym przy kościele S. Maria delle Grazie słynnym klasztorze Dominikańskim. Jest to ów klasztor,

do którego po dziś dzień jeszcze pielgrzy-
mują wszyscy podróżni, ilekroć o Medjolan
zawadzą. Bo ze ściany starego refektarza
wita ich tam zbladła po czterech wiekach
już prawie na cień, ale w tej wypłowiałej
swojej treści przejmująca jeszcze jakby
wizja senna „Ostatnia Wieczerza" Leonarda.
Klasztorne życie nie więziło jednak
bynajmniej młodego zakonnika. W ciągłych
podróżach poznawał on różne okolice
i miasta, dwory i zamki, ocierał się o
ludzi i zbierał wątki do swego życiowego
dzieła, do wielkiego zbioru swych nowelli:
Przełomowe dla Włoch wypadki 1526 r.
zaważyły i na jego losach: rozstrzygająca
o przyszłości włoskiej bitwa pod Pawią
doprowadziła wkrótce do zajęcia Medjolanu
przez wojska hiszpańskie. Ród Bandellów
stał zawsze po stronie francuskiej. Ma-
teusz Bandello musiał więc co żywo
uchodzić z Medjolanu. Niejednokrotnie
wspomina potem, ile go kosztowało trudu,
aby odzyskać choć część rękopisów, roz-

przerzonych, lub poniszczonych wśród tej inwazji hiszpańskiej. Żołnierze hiszpańscy zniszczyli mu także bibljotekę i układany przez niego z trudem słownik łaciński. Nad tą ostatnią stratą bolał najwięcej, nie czując się już na siłach rozpoczynania na nowo żmudnej roboty i nie mając, jak zaznacza, po tym rabunku dosyć łacińskich książek pod ręką.

Przytułek znalazł na gościnnym dworze X Cezara Fregosa, [Fregoso] o którym mówi (II, 6.), że „wspaniałomyślności jego zawdzięczał możność oddania się sobie samemu i Muzom." Cesare Fregoso, syn Janusza II, doży genueńskiego, stał najpierw na żołdzie weneckim w Weronie, gdzie zrazu Bandella wywyższał. Potem przeszedł na służbę Franciszka I, i w ślad za nim przeniósł się i Bandello do Francji. Ale w tej nowej służbie czekał Fregosa tragiczny koniec. Wysłany przez dwór francuski

w poselstwie do Konstantynopola, w prze-
~~jeżdżając~~ jeździe przez Włochy zamordowany
został u ujścia Ticina do Padu przez
emisarjuszów dowódcy hiszpańskich
wojsk, margrabiego del Vasto. Ażeby
trupa nie poznano i ofiara została
bezimienną, posiekali mordercy
twarz zamordowanego. Ale po brakującym
już za życia palcu u jednej z rąk poznała
wdowa, Konstancja z Rangonów, w zna-
lezionych zwłokach małżonka i rękę
tę okaleczoną powiozła do Francji na
dwór Franciszka I, aby go zagrzać
do zemsty. Istotnie też zbrodnia speł-
niona na osobie posła spowodowała
wśród nieustających zatargów Franciszka I
z Karolem V nową pomiędzy nimi wojnę.

Ale i po zgonie Fregosa [Fregosa] pozostał Bandello
we Francji. Łaski świadczone wpierw opiekunowi,
spadały teraz wprost na niego samego i w r. 1550
nadał mu Henryk II biskupstwo w Agen.
Zarząd diecezji pozostawił ~~[illegible]~~ atoli nowy
biskup koledze swemu, biskupowi z Grasse,

52) a sam wiódł nadal dotychczasowy

(zajęciom) żywot, poświęcony literackim zajęciom. ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~. W ten sposób stał się w swoim
czasie jednym z pionierów cywilizacji
włoskiej we Francji, którą nieśli tam
wówczas liczni uchodźcy z pod jarzma
hiszpańskiego we Włoszech. Właśnie zaś to
zlewanie się w epoce zasychania Odrodzenia
włoskiego ostatnich jego prądów z bijącem
w onej chwili ze zdwojoną siłą źródłem
starej, rodzimej cywilizacji francuzkiej,
potęgowało urok wspaniałego rene-
sansu epoki Walezjuszów. Chociaż
w przedmowach do swoich noweli Bandello
często o sobie samym ~~[illegible]~~ mówi, to
jednak jako człowiek światowy i przede-
wszystkiem światły, nie daje on nam
obrazu ważniejszych własnych przeżyć,
ani opisu doniosłejszych życiowych zdarzeń,
lecz ogranicza się do opowiadania powszed-
niejszych epizodów, spotkań i rozmów, a szcze-
gólniej do dzielenia się z czytelnikiem

zasłyszanemi powiastkami. Tak więc dokładniejszych dat do jego życiorysu brak nie. Podobnie ~~[illegible]~~ nie znamy ani roku, ani miejsca jego śmierci.

Znamienną cechą jego pism jest też właśnie pełna powściągliwość światowca. Starożytne *nil admirari* zdaje się być rdzeniem jego poglądu na świat. Zna granice złego i dobrego, ale „nie dziwi się niczemu” bo czasy, w których żył, świat, na który patrzał, ludzie, o których się ocierał, przyzwyczaili go do wszystkiego. Dla zbrodni ma w zapasie banalne superlatywy potępienia, dla cnoty ckliwe wyrazy podziwu. Jest przecież za mało Włochem, ~~[illegible]~~ nazbyt wrażliwym z natury, aby się śmiać owym głośnym, szerokim śmiechem ze świata i z ludzi, jakim się z nich śmieje starszy od niego nieco, ale współczesny mu Rabelais, albo żeby się wznieść do pogodnego sceptycyzmu, z jakim patrzy na życie młodszy ~~[illegible]~~ trochę, ale również współczesny Montaigne.

54) Za często, bardzo często nieprzyzwoitości, żeby użyć umiarkowanego wyrazu, jakie się w jego nowellach znajdują, bierze chętnie na siebie odpowiedzialność i kuje sobie na usprawiedliwienie wygodny ~~axiomat~~ aksjomat: „Mówią — powiada mianowicie (II II'), że nowelle moje są nieprzyzwoite — non sono oneste —; nie przeczę, że bywają często jak najnieprzyzwoitsze — disonestissime —; ale przeczę, jakoby mi się należała za to nagana. ~~Bowiem~~ Albowiem nagana i wytykanie palcem należy się tym, którzy te rzeczy czynią, nie temu, który je opisuje.... Stwierdzam otwarcie, że nie znajdzie nikt w moich pismach pochwały występku, lub potępienia dobrych obyczajów i cnoty, ale przeciwnie złe uczynki bywają tam zawsze zganione, a dobre pochwalone i zalecone."

Niepodobna chyba naiwniej określić stosunku moralności autorskiej, ale

liczyć się trzeba znów z poziomem ów-
czesnego społeczeństwa, nawet w najbardziej
wówczas cywilizowanych, najwykwintniejszych
tego społeczeństwa kołach. Wszakże stawia
Bandello z najmniej przyzwoitszych, po-
wiedzmy śmiało z najbrudniejszych
swoich novelli poświęca jedną młodej i
cnotliwej Hippolicie Torelli-Castiglione,
małżonce wykwintnego ~~autora~~ autora *Dworza-
nina*,* którą prosi w dodatku, aby ją mężowi
przeczytała, bo i jemu się spodoba, inną
wpisuje, kiedy ją opowiadają a la ~~presenza~~ prezenza
di Madama di Mantova e de le signore
duchesse d'Urbino, przed Izabellą d'Este
jej bratową i córką, a więc przed ~~ówczesnemi~~
wzorami (ówczesnej) ogłady i ~~[illegible]~~ niewieściej
~~[illegible]~~, a których dobrej sławy i uczciwości
nikt nigdy w wątpliwość nie podał. Z
brakiem poczucia przyzwoitości łączy
zresztą Bandello częsty brak miary
i smaku. Wiele z jego novelli — a zosta-
wił ich dwieście i cztery! — odznacza się
nużącą przewlekłością i gadatliwością;

56) rozmowy przemieniają się ~~xxx~~ często-
kroć w mowy, kraszone częściowo re-
toryką; i dramatyczny nieraz wątek
powieści zaciera się i tonie w tej powodzi
słów, a komika sytuacji, zbyt szczegółowo
opisanej, [tępieje] ~~xxx~~ ~~xxx~~ i dowcip
po zanadto długiem przygotowaniu
pali na panewce. Często też razi u niego
brutalność, którą tak zręcznie łagodził
w opisie drastycznych nawet ~~sytuacyj~~ sytuacyj
ojciec noweli, Boccaccio. Subtelności ~~jego~~
nie [znajdziemy] ~~xxx~~ Bandella. Uderza to mia-
nowicie tam, gdzie posłużył on za źródło,
a gdzie pisarz innej [miary i talentu] miary i talentu, według
własnego smaku poczynił zmiany. I tak
opowieść o nieszczęśliwej parze kochanków
z Werony, (II.9) opowiadana [Bandell] Bandellowi na
dworze Fregosów, kończy się u niego dialo-
giem między przebudzoną już z letargu
w grobie Julią a Romeem, który po wypiciu
trucizny żyje jeszcze i prosi ukochaną
– che ella si consolasse – „ażeby się pocie-
szyła!" Inaczej Shakespeare, może już,
co prawda, według poematu Brooka, budzi

on swoją Julję dopiero nad zwłokami Romea, a tym sposobem nie przeciąga naprężenej już i tak aż do ostatnich granic sytuacji. Podobnie Schiller udostępnił treść „Rękawiczki", zapożyczoną również od Bandella (III 39), u którego rycerz, wychodzący z klatki dzikich bestyj, nie ogranicza się do rzucenia rękawiczki okrutnej kochance, ale nadomiar wymierza jej jeszcze . . . policzek!

Ale pomimo tych braków i niedoskonałości należy przecież Bandello do najciekawszych autorów epoki późnej Odrodzenia włoskiego. Nie dla tego, iżeby jego powiastki były „zdarzeniami prawdziwemi, a nie bajkami" (II 11), jak sam o tem zapewnia. Takie bowiem wątpliwe zapewnienia dają również i inni współcześni mu nowelliści i późniejsi powieściopisarze, czy to aby uprawdopodobnić nieprawdopodobieństwo swoich fikcyj, czy, iżeby pozorem prawdy uniewinnić własnej inwencji ubóstwo. Bandella znaczenie i wartość leży w tem, że — jak to sam znów mówi we wstępie do trzeciej części swego zbioru —

58) zbiór ten jest <u>una mistura d'accidenti diversi, diversamente e in diversi luoghi e tempi a diverse persone avvenuti</u> — „mięszanina rozmaitych zdarzeń rozmaitych ludzi w rozmaitych czasach i miejscach." Jeżeli więc powiedziano słusznie o starych listach, że są one zwierzeniami ducha pełnymi epoki, szeptaniami do ucha historyi, to te same wrażenie odnosi się w pełni przy przeglądaniu tej „mięszaniny" Bandella, a więcej od samych powiastek zajmą ~~[illegible]~~ czytelnika dłuższe dedykacje, które każdą z nich poprzedzają ~~i wstępy~~ oraz wstępy samych noweli, w których autor wspomina zawsze, gdzie, w jakiem gronie, kiedy i przez kogo (mu) opowiadane były. Dla ludzi zajmujących się tą epoką staje się więc ~~tu~~ lektura pism Bandella jakby przechadzką po swojskiej okolicy, gdzie ciągle, na każdym niemal ~~[illegible]~~ kroku, spotyka się kogoś, którego się nie po raz pierwszy wita,

bo się go zna i żyło się z nim już 59.
oddawna. Przesuwa się tak z kolei przed 246
wzrokiem długi poczet ówczesnych zna-
komitości rodowych, politycznych lub
artystycznych, a widzi się tych ludzi
nie na poważnem tle dziejów i zdarzeń
dziejowych, ale jakby w migawkowem
zdjęciu fotograficznem wśród powszed-
niego życia i codziennych zajęć.

Oto n. p. ta z wczesnych postaci
niewieścich cinquecenta najbardziej
dla nas zrozumiała, bo pod niejednym
względem tak „dzisiejsza", i już przez
to samo tak zajmująca i ujmująca —
margrabina Mantuańska, Izabella,
z Estów Gonzaga. Że była piękną i
bardzo piękną, to wiemy z portretów
nam zachowanych; że rozumną, tego
dowodzą jej przyjaźnie z najznakomitszymi
ludźmi epoki; z Ariostem, który najpierw
dla niej zarys swojego Orlanda szkicował;
z Aldem Manucinsem, który jej każdą

nowo wydaną w swoich drukarniach książkę przysyłał; z Baltazarem Castiglione, częstym na dworze Mantuańskim gościem, autorem Dworzanina, a we własnej osobie wzorem wykwintnej dworności; z Piotrem Bembo, regulatorem niejako ówczesnych prądów literackich i kierownikiem dobrego smaku; z Bernardem Tasso, poetą, a ojcem większego poety, Torquata; z kardynałem Bibbieną, typem dowcipnego i światowego dygnitarza kurji rzymskiej, jaki się tam odtąd w pojedyńczych jednostkach często powtarza, a którego korespondencja z margrabiną Izabellą, zaprawiona dowcipem, a w żartobliwym (po obu stronach) zawsze utrzymywana tonie, jest wzorową prozą i doskonałym wzorem lekkiej epistolografji; z historykiem Paolem Giovio, z obchodzącym nas właśnie bliżej Bandellem i z tylomą innymi. Że (odznaczała się wreszcie artyzmem i smakiem), o tem świadczą wszystkie jej apartamenty na zamku w Mantui, apartamenty

zwanego il Paradiso dla widoku z okien 81)
na ogrody, jeziora i dalszą okolicę, 248
spadającą łagodnie ku nizinom Padu.
Małe to i ciasne pokoje w porównaniu
do przestronnych dokoła komnat i wielkich
sal zamkowych. Jak wszędzie bowiem
za rozwojem ~~[illegible]~~ towarzyskiej
intelektualności w formie rozmowy, jak
~~później~~ potem w XVIII wieku w Wersalu przy
układaniu tak zwanych petits appartements
Ludwika XV i jeszcze później Marji Antoniny, subtelniejsza
umysłowe współżycie ciaśniejszych potrzebowało
ram. Tak też jak wraz dostrajają się te
pokoiki Izabelli do poufniejszych a wy-
bredniejszych towarzyskich zebrań, dla których
przeznaczone były. Barwne belkowania
misternej roboty pokrywają stropy i płasko-
rzeźby Sansovina zdobią marmurowe
odrzwia, a wśród delikatnych intarsyj i
sztukaterji biegną po ścianach godła, em-
blemata i napisy. Tu dewiza margrabiny:
nec spe, nec metu, ówdzie powtarzające
się kilkakrotnie trzy litery U.T.S., czyli

62) Unum tantum sufficit „jedno tylko wystarczy". — Czy te dewizy, nietylko łacińskie językiem, ale rzymskie duchem, odpowiadały charakterowi i usposobieniu margrabiny, która je sobie wybrała? Chyba nie zupełnie, bo od wybitnych typów ówczesnych słynnych niewiast włoskich, typu virago, jakim była starsza nieco od Izabelli Katarzyna Sforza, typu intrygantki, z jakim nas samych bliżej zapoznała królowa Bona, typu literatki, jaki przedstawia także Weronika Gambara, lub Kamilla Scarampa, albo wreszcie typu wieszczki i myślicielki wcielonego w najznakomitszą z nich wszystkich, — zwaną już za życia la prima donna d'Italia, — w Vittorię Colonna, różniła się margrabina Mantuańska wielce, a różni przedewszystkiem tem, na czem tamtym zbywało, a co pozostanie zawsze szczytem kobiecego wdzięku: kobiecością — das ewig Weibliche. — Nec spe, nec metu przyjęła za dewizę, ale z optymizmem, płynącym z pogodnego usposobienia, ciągle się czegoś spodziewa, czegoś wyczekuje, za czemś goni, a w burzliwych

ciężkich latach z ciężkim niepokojem żony i matki troska się o męża i dzieci. <u>Unum tantum sufficit</u> — „jedno wystarcza" — ale nie jej; bo z niestrudzoną zapobiegliwością, mimo szczupłych środków materjalnych Mantuańskiego dworu, śledzi rozwój sztuki, zapala się i goni za tem, co się do jej wyszukanych i subtelnych smaków, dziś niestety rozproszonych i tylko nam z katalogu znanych zbiorów nadaje. Po zajęciu Urbina, w szczerem współczuciu dla wypędzonych stamtąd przez Cezara Borgię bliskich jej krwią i stosunkami Montefeltrów, margrabina litościwie wygnańców na własny dwór wzywa i serdecznie ich tam przyjmuje i gości. Ale równocześnie nalega na Borgię o odstąpienie jej Kupidyna, dłuta Michała Anioła, którego tenże Borgia był kiedyś Montefeltrom darował, a potem, rugując ich z ojcowizny, sam znowu zagrabił i posiadał. Innym razem jakieś dziecko nie napisze i ostatnego posłańca do Medjolanu posyła z prośbą, aby jej choć na kilka dni

porzyczono portret Cecylji Gallerana, którą właśnie Leonardo da Vinci wykończył, a którąby chciałaby porównać z portretami Belliniego. Nie zważa, co prawda, na to, że ta Cecylja Gallerana, to kochanka Lodowika Mora, a więc rywalka własnej jej siostry, wydanej za tegoż Mora pięknej Beatryczy d'Este, której rysy znane nam są ze ślicznego portretu w Ambrozjanie, pędzla Ambrogia de Predis, a której życie, na szczęście dla niej krótkie, przy boku chytrego Sforzy, charakteryzuje choćby ten krótki ustęp z listu margrabiny Monferratu, pisany w roku po ślubie Beatryczy z Morem: Di qua non c'altro novo degno da scrivere, salvo ch'el duca di Milano a batuto sua mogliere... — „Stąd (z Medjolanu) nic nowego do donie-sienia nie ma, chyba to jedno, że książę medjolański obił żonę"...

O takich sceenach nie słychać na dworze Mantuańskim. Chociaż we fraucymerze Izabelli rozmaicie się czasem działo, ona sama z mężem stanowiła zgodne i czułe stadło.

Ile kroć ją łowy od małżonka lub dzieci choć przelotnie rozdzielały, czy to gdy Francesco Gonzaga stawał jako wódz na służbie cesarskiej lub weneckiej, ~~lub~~ czy podczas własnych jej wyjazdów, bądź w odwiedziny brata Alfonsa w Ferrarze, lub Montefeltrów w Urbino, bądź w pielgrzymce do Loreto, lub do Rzymu, dokąd jeździła pilnować spraw rodzinnych, albo częściej do Wenecji, którą z zamiłowaniem zwiedzała, — zawsze pisze w swoich wesołych zresztą, często figlarnych, ~~[illegible]~~ a niezwykłą serdecznością i wzruszeniem tchnących listach, że i najkrótsze oddalenie od swoich „tysiącem lat jej się zdaje.” Mąż jej Francesco był kondottierem na starą modłę, niezbyt skrupulatnym w polityce, ale dobrym rządcą swego markizatu mantuańskiego, który obok księstwa Urbino, gdzie dzierżyli władzę Montefeltrowie był wzorowo rządzonym krajem i gdzie się poddanym dobrze działo. Miarą wartości Izabelli byli atoli przede wszystkiem synowie, których najstaranniej sama wychowywała. Odegrali oni wybitną rolę w historji włoskiej

66. w XVI wieku: najstarszy, Fryderyk, jako spadkobierca po matce jej mecenatu sztuk pięknych, drugi, Ferrante, jako biegły dyplomata i dowódca wojsk cesarskich, trzeci wreszcie, Herkules jako kardynał, który otworzył z ramienia ~~jako legat~~ Piusa IV sobór trydencki w trzecim ~~jego~~ okresie jego sesyj i przewodniczył ~~...~~ soborowym obradom aż do śmierci.

Pokrewny rodzajem był dwór w Urbino, gdzie rządził Guidobaldo Montefeltre ożeniony z siostrą Francesca Gonzagi, Elżbietą. Korespondencja obu bratowych, Izabelli i Elżbiety, ściśle związanych przyjaźnią, odzwierciedla nietylko charaktery i usposobienia obu ~~...~~ piszących do siebie pań, ale daje zarazem żywy obraz dworów, na czele których one stały. Dwór w Urbino wyprzedził był nawet starszą cywilizacją tradycją Mantuę, a księżna Elżbieta, nie tak piękna, urocza i umysłowo rzutka, jak Izabella, przewyższała ją zato jeszcze ~~...~~ wykształceniem

powagę i doświadczeniem, nabytem w mniej szczęśliwem życiu przy boku wątłego i chorowitego zawsze małżonka i wśród ciężkich ciosów, na jakie już geograficznem swojem położeniem, za blizkiem większych państw włoskich, narażone było zawsze małe Księstwo Urbino. Dwukrotne wygnanie z zagrabionego po dwakroć państwa, raz przez Cezara Borgię, drugi raz przez Leona X i Medyceuszów, było najboleśniejszą dla Montefeltrów próbą, a zarazem dwukrotną przerwą odradzającego się zawsze na nowo umysłowego życia, którem się dwór urbinacki szczycił. W Mantui zajmowano się, dzięki zamiłowaniu Izabelli, przedewszystkiem sztukami pięknemi, malarstwem i rzeźbą, jako tem świadczą zbiory margrabiny i stosunki jej z Mantegną, Gianbellinim i Leonardem, później z Sansovinem, z Tycjanem i z Giuliem Romano. W Urbino przeważał intellektualizm literacki i szeroko promieniała stamtąd, bardziej niż z jakiegokolwiek innego ówczesnego dworu,

68.

ogłada i dworność, których jakiciby kodeksem stał się dla całego świata <u>Cortegiano</u> Baltazara Castiglione, ów zbiór rozmów na dworze urbinackim, wymiana myśli pomiędzy najwybitniejszemi osobistościami ówczesnych Włoch, których gronu przewodniczyła wespół z bratową, Emilją Pia Montefeltro, i sama księżna Elżbieta.

Oba te dwory, urbinacki i mantuański, pod rozsądną władzą tam Montefeltrów, tu Gonzagów, wśród zgody członków każdego rodu pomiędzy sobą, gdzie nie słychać o truciźnie, sztylecie i krzywdzeniu się wzajemnem i gdzie, jak mówi wymownie Burckhardt, „można było śmiało pokazywać swoich umarłych," są pięknym, dodatnim okazem epoki Odrodzenia. Wzrok więc chętnie na ~~[illegible]~~ nim spoczywa, a zatrzymać się dłużej musi, kiedy jest mowa ~~o naj[illegible]nym noweliście [illegible]~~ o Bandellu, który w tych kołach najczęściej się obracał, wśród których żył i pisał. Przyjaźń ścisła łączyła go przedewszystkiem z Gonzagami. Zajmował się nawet wychowaniem młodej Lukrecji Gonzaga, z bocznej linji panów

na Sabbionecie i Bozzolo. Wdziękom jej i cnotom poświęcił długi, bo jedenasto-pieśniowy, nudny poemat, tak, że go o głębsze aniżeli przyjaźń uczucie do romansu z młodą uczennicą podejrzewano. Ale on sam (górnolotnie) zaręcza, (I 57) że uczucie to było „świętem", że Lukrecja była przez niego santissime amata.

Ale najczęściej spotyka się na kartach pism jego imię samej margrabiny uroczej Izabelli. Zwie ją zwykle krótko Madama di Mantova, czasem wielką nazywa i szumniej la gloriosa eroina nostra. Bywa u niej na zamku w Mantui, lub w pobliskich willach Gonzagów, w Rocca (Rocca) di Cavriana lub w Diporto, gdy się tam margrabina dla wywczasów letnich przenosi. W Mantui czyta jej pewnego razu (II 21) dekady Liwjusza, bo Izabella „rozumie doskonale wszystkie łacińskie historje." O Tarkwinjuszu i Lukrecji wszczyna się dyskussja. Dworzanin i dyplomata z dworu Gonzagów, Benedetto Capilupo, podziwia Lukrecję; sekretarz margrabiny, Mario

70) Equicola, mówi o niej, że była una *pazza*, warjatką. Ale oto nadchodzi właśnie ~~autor~~ ~~Dworzanina~~, Castiglione, któremu margrabina rozstrzygnięcie sporu poleca; więc autor *Dworzanina* w formie nowelli opowiada Tarkwinjuszowski dramat i wielbi Lukrecję. — Na innem miejscu (I 30) inne zdjęcie migawkowe, zdjęcie z natury: margrabina jest na villegiaturze; rozmowa, lektura, tańce, przechadzki, słuchanie śpiewów przy towarzyszeniu lutni, przy tym opisie wypełniają dzionek. ~~Ale~~ Od razu staje przed oczyma, czytającemu go, ów znany obraz z Luwru, pędzla Lorenza Lotto, zwany powszechnie *la cour d'Isabelle d'Este*, a przedstawiający naprzód allegorycznie wiosenną sielankę. Bandello opowiada ~~XXXIII~~ jak po obiedzie, który wówczas jadano około dziewiątej rano, cofa się margrabina ze swoim fraucymerem za pokoje, a reszta towarzystwa, chroni się w godzinach skwaru do tego chłodnego lasku, który ~~mur~~ Izabella zasadziła i poświęciła pamięci ojca swego Herkulesa d'Este, i tam, w cieniu, ~~na murawie~~, skraca sobie czas opowiadaniem nowelli.

Ale nagle — pisze Bandello pod koniec opowiadania — ~~noweli~~ — doleciało nas szczekanie piesków. Znak to, że margrabina opuściła znów pokoje i zeszła ~~[illegible]~~ do ogrodu. Więc podnieśliśmy się szybko, pospieszyliśmy pod ogrodową loggię, gdzie dostojna pani już była zawiadomiona, i tam z nią wszczęła się rozmowa o przeróżnych rzeczach." Innym razem spotyka Bandello Księżnę Elżbietę i nierozłączną z nią Emilję Pię. Rozmowa z niemi schodzi wnet na bolesne wspomnienia krzywd, doznanych przed laty od Cezara Borgii i wykonawcy jego bezprawi i gwałtów, Michelotta. Elżbietę wspomnienia te tak poruszają, że ledwie łzy cisnące się jej do oczu powstrzymać może, a słuchający jej opowiadań ~~wspomnień~~ nadworny poeta książąt, Trissino, porównuje między sobą tyranów, pustoszących już od tylu wieków ziemię włoską, i wysnuwa z tych porównań opowieść o groźnym tyranie z XIII wieku, Ezzelinie da Romano.

Podobne zapiski Bandella

72)

w jego wstępach do nowelli są może na pozór błahe. Przecież dla czytelnika, który zrósł się z ludźmi z tej epoki nie są one tylko błahostkami. Szczere i bezpośrednie, stają się owszem jakiemiś karatkami drgającego jeszcze życia tych przed czterystu laty pomarłych ludzi, których się w takiej bezpośredniości, wyjętych z historycznej powłoki na chwilę widzi, i z którymi przez tę chwilę żyć i obcować wolno.

W Medjolanie odwiedzał Bandello najczęściej dom Hippolity Sforza Bentivoglio, siostry stryjecznej naszej Bony, a przez matkę wnuczki pierwszego historjografa rodu Sforzów, Simonety. Może po tym przodku odziedziczyła Hippolita zachwalany przez współczesnych talent literacki: że spuścizny literackiej nie pozostało po niej – dochowała się za to sława świetnego środowiska pisarzy i artystów medjolańskich, którzy się wokoło niej gromadzili; odkąd małżonek jej, Alexander Bentivoglio, z ojcem i rodzeństwem wygnany z Bolonji, stale osiadł

w Medjolanie. Jej to Bandello cały swój ~~zakazany~~ zbiór novelli poświęcił i imię jej często z czcią i wdzięcznością wspomina. Rozmowa tocząca się w jej salonie, którą w jednym ze swych utworów przytacza (I 36.) charakteryzuje i samą panią domu i poziom zbierającego się u niej towarzystwa: „Jedni – pisze Bandello – byli zdania, że kobiety nie powinny być bardziej krępowane w życiu więzami wstydliwości, aniżeli mężczyźni. Inni twierdzili, że kobiecie nic tak nie przystoi, że nic jej tyle nie zdobi, co uczciwość, a w dowód twierdzenia przytaczali piękny i moralny sonet Petrarki Cara la vita e dopo lei mi pare... Stąd wyciągnięto wniosek, że im kobieta z wyższego wywodzi się rodu, tem uczciwiej żyć powinna, bo życie jej jest jakoby zwierciadłem i normą daną na wzór innym kobietom niższego pochodzenia. Wreszcie zgodzono się na to, że kobieta z jakiegobądź stanu, utraciwszy wstydliwość, traci wszystko, cokolwiek w jej życiu dobrego być może. A stwierdziwszy to, dodała signora Ippolita, że u kobiety posiadającej wszystkie przymioty, ale pozbawionej wstydliwości, brak ten jak trucizna każdą inną zaletę ~~[illegible]~~ zarazi i ~~[illegible]~~ zwichnie." /+

74.

Jeżeli Bandello, żyjąc w pobliżu takich kobiet jak Izabella d'Este, jak Elżbieta Montefeltro, jak Hippolita Sforza nie stracił (jeszcze) uwagi pewnego mniemania do kobiet i nowelle swoje ujmuje przeważnie na temat braku uczciwości niewieściej, to się nie ograniczał on bynajmniej do takich tylko [illegible]

IV

nie od nowej kolumny tylko po [illegible]

Żyjąc w pobliżu takich kobiet jak Izabella d'Este, jak Elżbieta Montefeltro, jak Hippolita Sforza, nie utracił Bandello przecież pewnego mniemania swojego o uczciwości kobietach i [illegible] najczęściej ujmuje swoje nowelle na temat braku uczciwości niewieściej.

Jak wszyscy (zresztą) nowelliści, którzy nie tai i on [illegible] nigdy szczerego [illegible] zadowolenia, ilekroć w jakiej powiastce [illegible] żona zręcznie męża w pole wywiodła. Sam się bowiem nie ograniczał [illegible] bynajmniej do znajomości i obcowania z paniami nieposzlakowanej reputacji. Oto n.p. obrze[illegible] Cecylji Gallerana, słynnej kochanki Lodowika Mora, której portret wpatruje profesor Antoniewicz w pięknej „pani z gronostajem" pędzla Leonarda w galerji Czartoryskich, w Krakowie.

Zajmująca to postać: równie biegła we włoskim, jak w łacińskim języku, dyskutująca z teologami (!) i z filozofami, prowadząca w Medjolanie dom otwarty, w którym według Bandella schodzili się i belli ingegni di Milano, to, co później we Francji les beaux esprits zwano, rymująca tak biegle po włosku, że ją współcześni wraz z poetką Camillą Scarampa do „dwóch wielkich świateł języka włoskiego" zaliczali, — należy ona bezprzecznie do najświetniejszych niewiast włoskiego cinquecenta. „U niej — pisze Bandello (I 21.) — rozprawiają wojownicy o sztuce wojennej, muzycy śpiewają, malarze rysują, filozofowie filozofują, poeci recytują wiersze, tak, że czy kto lubi mówić, czy słuchać, znajdzie tam zawsze, co mu właśnie przypada do smaku."

Bywał zresztą Bandello i w niższych rangą salonach, jak np. ten, w którym królowała książęca kochanka w Medjolanie. Wiadomo, jak w epoce Odrodzenia rola kurtyzany podniosła się znów do roli dawnej hetery greckiej, jak świetnemi środowiskami

76) intelektualnemi bywały nieraz ich domy w Neapolu, w Medjolanie, a przedewszystkiem w Rzymie, gdzie zbierali się chętnie na zbytkownych przyjęciach dostojnicy, literaci i artyści. Bandello kreśli opis (III 42) takiego salonu Imperji, słynnej kurtyzany rzymskiej, w ustach jakiegoś „cnotliwego pana" — un virtuoso signore, — ale opis to zbyt dokładny, aby salonu tego samemu był znał osobiście: „Mieszkanie jej było urządzone tak wytwornie, poczet służby był tak liczny, że wchodzący do tego domu mógł doprawdy sądzić, iż wchodzi na pokoje jakiejś księżny. Przepychem uderzały przedewszystkiem trzy komnaty, wybite całe jedwabiem i wysłane najcenniejszemi kobiercami. W komnacie, w której Imperja przyjmowała, kiedy ją odwiedzali jacy dostojnicy i goście, ściany były pokryte złotą draperją. W około ścian biegł fryz, wykładany złotem i zabarwiony ultramarinem, fryz przedziwny robotą, na którym ustawione były ceramiki i rozmaite wazony z alabastru, porfiru, lub serpentynu. Dokoła stały skrzynie i szkatułki z pięknemi intarsjami wielkiej

wartości i ceny. Pośrodku, na stole
pokrytym zielonym jedwabiem, rzucone
były lutnia, cytra i inne instrumenty
muzyczne oraz nuty, a zawsze po kilka
książek włoskich i łacińskich w bogatych
oprawach. Kochała się bowiem Imperja
w rymach włoskich, w których ją ćwi-
czył poeta Domenico Campana, zwany
Strascino, z której to nauki tak skorzystała,
że potrafiła składać sama sonety lub
madrygały, wcale nie bylejakie."

Z tym opisem łączy Bandello anegdotę,
która wymownie ilustruje ówczesne pomiesza-
nie wykwintnego stylu z najbrutalniejszym
obyczajem: Przygodny kochanek Imperji
przedstawia jej pewnego razu ambasadora
hiszpańskiego, który zachwyca się urodą
pani domu i zdumiewa zbytkiem i bogactwem
jej mieszkania. „A chcąc splunąć, — pisze
Bandello — zwrócił się do jednego ze sług
i plunął mu w twarz, mówiąc: daruj, ale
nie ma tu ani jednej brzydszej rzeczy, prócz
twojej twarzy." I Bandello dodaje jeszcze, że
zajście to, acz nieprzystojne, to przecież było
nader miłem Imperji, gdyż zdawało jej się,
że nie można chyba wymowniej pochwalić

78) i dla jej sławnej piękności i dla wspaniałości domu jej wymyślać; przejęła się więc na tę pochwałę ambasadorowi, prosząc go przecież, aby splunął na kobiercu, który w tym celu rozłożony jest na podłodze."

Nadbytek i bogactwo jest Bandello z natury swej pieszczoniana, jakbyśmy dziś powiedzieli, nader czuły. I kulinarna strona gościny nie jest mu bynajmniej obojętną, jak świadczą drogie mu wyraźnie wspomnienia "lukullusowych uczt" u późniejszych jego dobrodziejów, Fregosów, gdzie ~~bywały~~ była ~~zwłaszcza~~ kuchnia secondo l'usanza Fregosa, wyszukana i sposobem przyprawy i obfitością zastawianych potraw. Zabawne echo tej jego słabości odezwało się nawet w opisie Wenecji, o której mówi za świeżym z nad laguny powrotem, że "jest ~~ona~~ wśród godnych podziwu miast, najgodniejszą, ze względu na swoje położenie, na dumne marmury swych pałaców, na drogocenne towary, których tam zawsze pełno, na różnolitość narodowości, które się przewijają przez jej ulice ~~przed~~ przed oczem widza, wreszcie ze względu na to, że nic

tam na przyjezdnie nie razi, a znajdzie tam wszędzie tak wielką obfitość wszelkich rzeczy do jedzenia." Ale potem osobistem zapewne wspomnieniem dodaje, że przedewszystkiem podziw wzbudza w Wenecji, ów liczny, z czci-godnych starców złożony senat, o którym powtórzyć można to, co Pirrusowy poseł o senacie rzymskim mawiał, iż jest to jakżeby zgromadzenie wielu królów." (I 56)

Neapolowi poświęca on (II 7) również entuzjastyczny opis, zachwala piękność położenia, urok wycieczki łódeczką od jednej wyspy w zatoce do drugiej, podziwia osobliwości Pozzuoli, dymy Solfatary, „okropną" jaskinię Sybilli Kumańskiej, Labirynt Dedala, rezerwoary rybne Lukullusa i ruiny jego pałacu. Próbuje on w tym ~~[illegible]~~ nutę do opisu natury. Ale na to jeszcze za wcześnie i literatura czekać będzie jeszcze długo, bodaj do drugiej połowy XVIII wieku, kiedy ~~[illegible]~~ naturę odczuje i opisze Rousseau. Bandello, jak wszyscy jego współcześni, ozdabia ~~[illegible]~~ nazwiskami Flory i Pomony, Bachusa i Cerery opis kwiatów i sadów, winnic i pól. Aż dziwno, jak poczucie piękna przyrody i zdolność wyrażenia tego poczucia w słowie, tak silna niegdyś

80) u Dantego i Petrarki, zanika po nich w literaturze zupełnie, a budzi się zato i żyje (już) tak pełnem życiem w malarstwie, żeby choć wspomnieć cudne tła krajobrazowe tej lub owej Rafaelowskiej Madonny, tła nie będące jeszcze wierną kopją natury, ale przesiąknięte już na wskroś jej poezją.

Lepiej od opisu Neapolu wypadł u Bandella opis Medjolanu, (I 8) „najbogatszego z miast, gdzie stoły najwięcej bywają zastawiane. Obok wielkości miasta, któreby na ludność kilku miast starczyła, tyle jest w Medjolanie bogatych panów, że każdy z nich przyniósłby zaszczyt każdemu innemu miastu. Gdyby owe wszystkie szlachty medjolańskiej żyły w Neapolu, byliby oni tam conajmniej baronami, margrabiami lub hrabiami. Ale Medjolańczykom zależy więcej na rzeczywistości, czyli na wygodnem życiu, a nie dbają o pozory. A potem kręcą się oni wciąż wokoło owych pięknych pań, których jest tyle w Medjolanie, i ciągle są zajęci miłostkami — stanno continovamente su le pratiche amorose, — które tam więcej niż gdziekolwiek bądź kwitną."

Jeszcze bardziej zaś zachwala Medjolan na innem miejscu (I 9.), mówiąc o jego mieszkańcach, że „co do ilości i jakości potraw są nader wybredni i wyuzdani w swych uciechach i że zdawałoby im się, że żyć nie umieją, gdyby nie żyli i nie jadali zawsze w kompanji. A cóż powiedzieć o strojach pań, naszytych złotem, haftami, klejnotami, tak, że każda która z nich we drzwiach domu stanie, przysiągłbyś, że to się Assunta [illegible] pojawia. Następnie zachwyca się nad ilością karet pozłacanych, wyszywanych jedwabiem i ciągniętych przez dzielne rumaki, występujących na ulicach medjolańskich, tak, że kiedy panie ruszają na przejażdżkę po mieście, wygląda to na pochód tryumfalny, jakie ongi urządzano w Rzymie na powrót zwycięzców." Żyjąc tak wykwintnie, w takim zbytku, wygodzie i uciechach, stają się te panie powabne, ludzkie, miłe i z natury ku temu skłonne, aby kochać i być kochanemi i ażeby żyć ciągle miłością — estar di continuo in

82) L'amorosa vita. — Jniczego im istotnie do doskonałości nie brakuje, okrom że im natura odmówiła odpowiedniego do ich urody i wdzięków języka. Bo dialekt medjolański obraża naprawdę obce ucho. ~~Upromnieć~~ To też starają się te panie naprawić ten błąd przyrodzony dobremi książkami włoskiemi, lub obcowaniem z ludźmi mówiącymi poprawnie, aby złagodzić wymowę medjolańską i nagiąć ów dialekt na język poprawny."

Następnie w wyjątkowej wyjętego wstępu novelli opisuje Bandello, jak się te powszechne w Medjolanie romanse nawiązują: sąsiedztwo przy stole, na owych obiadach „w kompanji" ułatwia znajomość. Mężczyzna służy i kraje sąsiadce podawane potrawy i po wieczornej uczcie, a przed gorącą skwarną przy wolnym tańcu mówi jej ogólnie o miłości, a potem, odprowadzając do domu, dowiaduje się, gdzie ów przedmiot jego westchnień mieszka. Odtąd u drzwi wiadomego domu śledzi kroków ukochanej, dowiaduje się do jakiego zachodzi kościoła,

dążą tam za nią i tęsknie wpatrują
się w jej oblicze i tak pełni długo
nicną służbę, aż nadchodzi roz-
pustny karnawał, — il licenzioso (licenzioso)
carnavale — ze swoją ośmielającą
dyskrecją maskarady — i robi swoje.

Pierwszeństwo pośród wszystkich
miast włoskich przyznaje jednak
Bandello (II 51) Rzymowi. Zwie go „oj-
czyzną wszystkich" i dodaje, że kto się
w jakimkolwiek kierunku wydosko-
nalić pragnie, ten do Rzymu jechać
powinien. Bo tam kwitnie literatura
łacińska, grecka i włoska, tam naj
bieglejszych znajdzie prawników, uczo-
nych filozofów i przedziwnych malarzy.
Czy i ~~nam~~ kiedy dłużej przebywał w Rzymie
tego z pism jego dojść niepodobna.

Ale w ruchliwym swojem życiu od-
wiedzał on z kolei wszystkie większe
miasta włoskie, a że jako autor nowelli
zażywał nie małego u współczesnych
uznania, więc wszędzie mile widzianym
bywał gościem. Z uczonymi i pisarzami

84) współczesnymi, jak widać z przyjaznych słów jego dedykacji, w bliskich pozostawał stosunkach. Zaliczali się do jego dobrych znajomych Machiavelli i Castiglione, uczony filolog Juliusz Cezar Scaliger i znakomity prawnik Maino, autor Amadisa Bernardo Tasso i improwizator nadworny Leona X, Stracino, z kobiet poetki Weronika Gambara i Camilla Scarampa, a z czasów pobytu na dworze Fregosów w Weronie ów naraz medyk, naraz poeta, Girolamo Fracastoro, który pozostawił w swej literackiej spuściźnie odznaczający się istotnym talentem, ale także niepozbawiony dla nas wyborem tematu trzypieśniowy poemat łaciński De morbo Gallico. Jako pisarz zabiegał oczywiście Bandello o względy wielkiego drukarza ówczesnego, Alda Manuzia, w którego weneckich drukarniach rękopisy starożytnych autorów, a za nimi uczonych pisarzy włoskich

po raz pierwszy pojawiały się w druku. W gorących słowach dziękuje mu Bandello (I 15), że Dantemu, Petrarce i autorowi Dekamerona wrócił ich pierwotną czystość, i zapowiada, że i sam jemu odda do druku własne nowelle, aby się stały godne publiczności pod miarodajną firmą del gentilissimo e dottissimo Aldo. Zawczesna śmierć pierwszego z dynastji wydawniczej Aldów nie pozwoliła Bandellowi wykonać tego zamiaru, i nowelle jego pojawiły się po raz pierwszy nie w officynach Alda, tylko w r. 1554 u Busdraga w Lucce.

Jako literat z gustu i z zawodu objawia Bandello bez porównania więcej zainteresowania się piśmiennictwem i autorami współczesnymi, niż zrozumienia i pociągu do sztuk pięknych, choć właśnie za jego życia architektura, rzeźba i malarstwo wystrzeliły o tyle ponad piśmiennictwo, i o tyle bujniejszym i piękniejszym, aniżeli literatura, w całych Włoszech zakwitły kwiatem.

86) Chociaż łączyły go także ścisłe węzły z uro-
dzonymi mecenasami sztuki, jakimi
byli Gonzagowie, a przedewszystkiem
głowa ich rodu, Izabella d'Este, na-
zwiska współczesnych artystów rzadko
się na jego pojawiają kartach. Ale
w jednem z owych, niby wyraźnych zdjęć
fotograficznych, w które obfitują jego
wstępy do nowelli, utrwalił on wize-
runek Leonarda, malującego „Wieczerzę". Wieczerzę
„Za czasów Lodowika Sforzy — pisze (I 58) —
księcia Medjolanu kilka ~~panów~~ osób
zeszło się pewnego razu w klasztorze
dominikańskim delle Grazie i stało
w niemem skupieniu w refektarzu
klasztornym, oglądając cudowną i prze-
sławną ową Wieczerzę Pańską z uczniami,
którą malował naówczas znakomity
malarz Leonardo Vinci z Florencji.
Dbał on wielce o to, ażeby każdy, który
dzieła jego pędzla oglądał, powiedział na-
otwarcie, co o nich sądzi. Zwykł on był, ++

— na co sam niejednokrotnie patrzałem — przybiegał do klasztoru wczesnym rankiem i ~~za~~ natychmiast wchodził na rusztowanie, gdyż Wieczerza jest nieco wyżej na ścianie ~~[illegible]~~ malowana. Zostawał już tam zwykle od wschodu słońca aż do zmroku, nie wypuszczając pędzla z dłoni, nie zażywając żadnego posiłku, bez przerwy malował. Bywało że potem ~~[illegible]~~ przez dwa, trzy, cztery dni nie ruszył już pędzlem, ale i wtedy godzinę lub dwie godziny w refektarzu spędzał i ~~[illegible]~~ ~~—~~ wpatrywał się ~~[illegible]~~ w malowidło zastanawiał, ~~[illegible]~~ i wyrabiał sobie sąd o postaciach, które stworzył. Widywałem go także, jak wedle kaprysu lub fantazji, w południe, kiedy słońce staje w znaku Lwa, przybiegał nagle ze starego Zamku, gdzie lepił właśnie z gliny owego wspaniałego konia [zaginiony dziś model posągu Francesca Sforzy], wpadał do refektarza S. Maria delle Grazie i wyszedłszy na rusztowanie, raz lub drugi pociągnął pędzlem,

88) aby natychmiast ~~biegł~~ biec znów gdzie-
indziej. Mieszkał naówczas w klasz-
torze ~~delle Grazie~~ delle Grazie Kardynał z Gurk,
starszy. [Rajmund Peraudi, zwany
starszym w stosunku do swego następcy*
na stolicy biskupiej w Gurk, Mathiasa
Lang.]. Przyszedł on tegoż dnia do
refektarza, aby oglądać Wieczerzę,
a gdy mu się Leonardo pokłonił,
powitał go wielce uprzejmie. Rozmowa
toczyła się o rozmaitych rzeczach,
szczególnie o doskonałości malowa=
nego właśnie przez Leonarda fresku.
Mówiono i o tem, jak chętnie widzia-
łoby się i oglądało które z owych
starożytnych malowań, tak zachwa-
lanych przez ~~[illegible]~~ znakomitych
pisarzy, aby ~~módz~~ móc porównać, czy
się dzisiejsi malarze ze staro-
żytnymi mierzyć mogą. Kardynał
pytał także Leonarda, jakie od Księcia
pobiera wynagrodzenie. Mistrz odrzekł, że
pobiera dwa tysiące dukatów stałej pensji,

nie wliczając w to podarunków, którymi go książę co dnia obsypuje." <u>Parve gran cosa questa al cardinale</u> — "wydało się to nie byle żartem Kardynałowi," — kończy Bandello czysto po włosku swój wiersz, a Leonardo wspomina, jak wszędzie i po wszystkie czasy cenionoi sowicie nagradzano wielkich uczonych i artystów, i wymienia z tych wspomnień opowieść o malarzu Filipie Lippi, jak wzięty podobno niegdyś w niewolę przez korsarzy podziwem, jakiś wzbudziły kreślone przezeń węglem na murach więziennych szkice, okupił sobie wolność.

Polityka była natomiast dla Bandella obcem zupełnie polem. Z doświadczenia z r. 1525, kiedy po bitwie pod Pawją musiał z Medjolanu uchodzić, i wrodzony epikureizm trzymały go zdala od wielkiej gry politycznej. Uderzającem jest, jak w tej tak brzemiennej w doniosłe dziejowe wypadki pierwszej połowie XVI wieku,

20) w czasach najpierw ligi z Cambrai, potem długoletniego zmagania się Karola V z Franciszkiem I, w epoce bezlitośnego tratowania ziem włoskich przez wojska ~~[illegible]~~ hiszpańskie, i francuskie, kiedy — jak mówi cytowany co dopiero Fracastoro — cios po ciosie padał na Włochy

<u>Et totum luctus Latium moerorque tenebat</u>

„i całe Latium pogrążone było w smutku i żałobie," Bandello wśród swych tak różnolitych wynurzeń, nie czyni ani wzmianki o klęskach publicznych i o nieszczęściach rodzinnej ziemi. Nieodrodny humanista, a protoplasta pod tym względem filozofów francuskich XVIII wieku, rozmaitym świętym świeczkę palił, jak świadczy o tem n.p. dedykacja noweli ówczesnemu arcyksiążęciu, późniejszemu cesarzowi Maksymiljanowi II. (II. 45). Jest ona arcydziełem wielkiego pochlebstwa, kiedy on, Bandello, stronnik Francji i dworu paryskiego, młodemu temu naówczas księciu mówi, że „działaniem

swojem przewodzi wszystko, co kiedy-kolwiek zdziałano wielkiego, iż współcześni nie daliby temu wiary, gdyby na to własnemi nie spoglądali oczyma." 91) 278

Niedocenianie grożących niebezpieczeństw politycznych i religijnych, z których pierwsze prowadziły do zupełnego wnet ujarzmienia Włoch, drugie do rozdarcia chrześcijańskiej społeczności przez reformacyę, zasklepianie się dobrowolne w słodkim epikureizmie, było, z rzadkimi wyjątkami, cechą ludzi z epoki Zmierzchu Odrodzenia. Podobnie znać zawsze u Bandella, jak przymruża oczy, byle nie widzieć gromadzących się na niebie chmur i zbliżającej się burzy, i nie zakłócać sobie słodyczy życia, owej słodyczy, która znamionuje zwykle każdy przeddzień dziejowych przełomów.

Ale raz jedyny zaznacza i on sam, że współczesne mu pokolenie zapoznawało grozę chwili. Opowiada mianowicie (VII 25) jak w samych początkach reformacji, zaufany Leona X, Pucci,

 a od pierwszych wystąpień Marcina Lutra ostry jego antagonista, (Dominikanin) Silvestro Prierio, zwracał uwagę papieża na zawarte w pismach tegoż Lutra błędy. Niechętnie przyjmował Medyceusz te uwagi i przerwał krytykę niespodzianym wykrzykiem, że „brat Marcin był umysłem wyjątkowym" – fra Martino aveva un bellissimo ingegno – i że te krytyki płynęły z zazdrości zakonnych."

Ten epizod, o którego prawdziwości nie ma powodu wątpić, mówi sam przez się wymowniej, niż długie tomy. odstęp

~~IV~~ V

Bandello przeplata zawsze dłuższe, poważniejsze zwykle nowelle, krótszemi weselszej treści. Do pierwszych należą n.p. cytowane już opowieści o Romeo i Julji, o Księżnie na Amalfi, o hrabinie de Cellant, o rodzinie Trincich, lub, z bardziej udanych, inne jeszcze, jak o niemym rycerzu Filibercie, okupującym trzechletniem dobrowolnem zamilknięciem jeden jedyny pocałunek ukochanej przez niego, okrutnej Lilji (III 17); albo o długoletniej waśni

Salimbenich i Montaninich, zakończony 93)
280
po istnym turnieju obustronnej szla=
chetności skojarzeniem się obu rodów (I 41);
~~albo~~ lub wreszcie opowieść o Hugonie d'Este,
tym Don Carlosie XV stulecia, zakochanym
w pięknej macosze ~~Parisynie~~ Parisinie, Parisanie
i straconym na rozkaz obrażonego ojca, (imcia ~~[illegible]~~),
margrabiego Mikołaja III, ~~[illegible]~~ wraz
z nią w podziemiach ferraryjskiego zamku,
opowieść, na której Byron osnuł następnie
znany swój poemat, (I 44).

Za temat krótszych swoich nowelli
lubi Bandello, o ile nie bawi się w prostą por-
nografję, co mu się aż nazbyt często zdarza,
brać jakąś zasłyszaną, zwykle ośmieszającą
kogoś, ucieszną rozmowę, jakiś zasłyszany
dowcip, tak od dzisiejszego dowcipu różny,
że niezbyt nam dziś przypadający do smaku,
wreszcie jakiś żart lub wypłatany komuś
figiel. Figle te, w których opowiadaniu się
wszyscy nowelliści lubują, nie zawsze bywają
niewinne, a czasem są wprost okrutne. Za
przykład posłużyć mogą powiastki o Go-
nelli, błaźnie nadwornym margrabiego Miko-

94) [illegible] d'Este. ~~[illegible]~~ Jedna z nich (IV 26) jest zabawniejsza i subtelniejszej treści: Gonella poślubił właśnie młodą i przystojną Florentynkę, Monnę Checcę. Margrabina Estensis życzy sobie, aby ją przedstawił u dworu. Gonella się ociąga, bo wolałby żonę w domu trzymać, z dala od pokus świa-towych. Ale margrabina nalega, więc rad nierad słuchać musi. Tylko margrabinie oświadczył, że jego młoda żona głucha jest jak pień, a to samo żonie o margrabinie powiedział. Następuje przedstawienie, i ku zdumieniu, potem ku uciesze dworzan i margrabina i Monna Checca krzyczą, rozmawiając ze sobą, w niebogłosy. Żart ten, którego motyw, mówiąc nawiasem, przeszedł do nowożytnej komedji francuskiej* ~~[illegible]~~; kończy się u Bandella innym figlem sprytnego Gonelli: Aby go ukarać, że z niej ~~[illegible]~~ zażartował, uzbraja margrabina cały swój fraucymer w rózgi i zwabia Gonellę do swoich pokoi, gdzie go mają panie wychłostać. Gonella wpada w pułapkę, i już się z wszystkich stron podnoszą na niego rózgi, już ma się

*(des deux sourds)

rozpocząć egzekucję, kiedy Gonella stawia za warunek, aby go najpierw taka uderzyła pani, która ma kochanka. ~~[illegible]~~ Uzbrojone w rózgi ręce opadają bezwładnie na dół, ~~kobiety~~ zmieszane kobiety rumienią się i cofają jedna za drugą, a Gonella tymczasem toruje sobie pomiędzy niemi drogę, dopada drzwi i ucieka.

Inna nowella (IV 18) o tym samym Gonelli ma już brutalniejszy, często śmiesznym żartom właściwy charakter: aby nagłym przestrachem, według pojęć lekarskich owej epoki, wyleczyć margrabiego Mikołaja z febry, strąca go Gonella na przechadzce nad Padem w nurt rzeczny. Stąd gniew margrabiego, sąd o obrazę majestatu i skazanie Gonelli na śmierć. Ale Gonella umknął był do Padwy, skąd wraca na wozie naładowanym ziemią padewską, aby w ten sposób, stojąc na obcej ziemi, wdać się w układy i przekonać margrabiego o czystości intencji przy wykonaniu czynu, który ma odpokutować. Margrabia, ~~[illegible]~~ ochłonąwszy z gniewu, chętnie ulubionemu wesołkowi przebaczy, ale wprzód chce sobie z niego zadrwić.

96) Każe go więc ściągnąć z wozu, wtrącić do więzienia i poleca mu, aby się gotował na śmierć. Skrępowanego prowadzą oprawcy na miejsce stracenia, a lud otaczający rusztowanie błaga margrabiego o łaskę dla nieboraka. Margrabia milczy, i już zbliża się moment fatalny, kiedy w ostatniej chwili kat na tajemny rozkaz margrabiego zamiast miecza podnosi do góry wiadro z wodą i wylewa je na głowę skazańca. Stąd śmiech i radość pomiędzy ludem; ale kiedy ~~[illegible]~~ Gonellę kat podnieść chce z ~~[illegible]~~ rusztowania, bezwładny ciężar z rąk mu wypada, bo biedak ze strachu wyzionął ducha ~~[illegible]~~.

Queste mie ciancie — „te moje gadaniny" nazywa Bandello nie bez słuszności takie lżejsze swego pióra płody, chociaż w nich naturalniejszym bywa, i więcej ~~okazuje~~ talentu pisarskiego, niż w niejednej z poważniejszych swych opowieści. Jedną zaś z takich „gadanin" w całości przytoczyć warto, nie żeby była bardziej od innych udaną, ale że rzecz się dzieje — w Krakowie. Opowiada ją

1½ (III 34) w domu Ginevry Bentivoglio 97)
Sforza u którey Federico Crivello, a ten mi 284
ona, jak następuje: [Dostojna Pani i wy Γa cap.
piękne panie przypominacie sobie wspomnicie,
jak lat temu kilka Prospero Colonna,
mąż we wszech świata stronach, z cnoty męstwa
~~waleczności~~ i szlachetności znany, jeździł
z Neapolu do Polski, odwożąc tamże Kró-
lowę polską, córkę mediolańskiego
Księcia, Giovan Galeazza Sforzy i Iza-
belli Aragońskiej. Jak zwykle, tak i tym
razem wiódł on ze sobą liczny poczet dwo-
rzan i służby, a w tym poczcie byłem i ja
także. Po przybyciu i przedstawieniu Kró-
lowej małżonkowi i po odbytem weselu wśród
przepychu i świetności, jakich równych za
naszych czasów nie widziano wiele, zamie-
rzał wielkoduszny Colonna puścić się
w drogę powrotną do Włoch. Gotował się
więc już do drogi, kiedy zachorował ciężko
Girolamo della Penna z Perugii, ~~[illegible]~~
rycerz zacny, a dawny domu Colonnów
stronnik. Bawił równocześnie w Polsce
Najdostojniejszy i Przewielebny Kardynał

98) d'Este, który przybył ~~był~~ również ze świetnym orszakiem, aby uczcić owe gody. Dowie-
dziawszy się o chorobie owego rycerza, ~~[illegible]~~
odwiedził go zaraz, a miał ze sobą
medyka ~~[illegible]~~ włoskiego, który choremu
przeróżne zapisał leki, tak, że się niemoc
~~choroba~~ wnet poprawiła i znikło
wszelkie niebezpieczeństwo, zaczem
Colonna ruszył w drogę do Włoch. Signor
Girolamo ze swą służbą, zaopatrzony we
wszystko, czego mógł potrzebować, pozostał
natomiast w domu jakiegoś Polaka.
Medyk kardynała zostawił był choremu
jakoweś lekarstwo ze zleceniem, aby je
raz na tydzień na godzinę przed jedzeniem
zażył. Chcąc ~~więc~~ spróbować owegoż środka,
posłał ~~[illegible]~~ (więc pierwszego razu) Girolamo jednego ze swoich
sług po opłatek (<u>per un'ostia</u>), ażeby
obwinąwszy weń proszek, łatwiej go przeł-
knąć zdołał. Trzeba zaś wiedzieć, ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ że tak ~~[illegible]~~ sam chory, jak
i cała jego czeladź ani słowa po polsku nie
umieli; chyba tam słóweczko jakieś (<u>qualche
parolaccia</u>), jako to chleb, wino, mięso, ziarno,

i tym podobne, co się to ich po tysiąc razy 99.
dla codziennych potrzeb używa. Szukając
opłatka dla swego pana, skinął się ów
sługa na jednego z polskich domowników
~~mojich~~ onej kwatery i tyle mu znakami na
migi wytłumaczył, że Polak zrozumiał
wprawdzie, iż Lombardczyk o hostję
dla chorego prosi, ale zrozumiał ~~[illegible]~~ opacznie.
Wystawił sobie ~~[illegible]~~ bowiem, że się cho-
remu pogorszyło i że Komunję świętą
przyjąć pragnie. Skinął tedy ze swej strony
na Włocha, że (rozumie) ~~[illegible]~~ co chodzi, i sam że ~~bieży~~ biec
do parocha, a tłumaczył mu, jako że
szlachcic włoski z orszaku Królowej
Jejmości ciężko zaniemógł i tegoż
jeszcze poranka o wiatyk prosi. Ruszył
paroch natychmiast z Przenajświętszym
Sakramentem w ręku, z dzwonkiem
na przedzie i otoczony płonącemi pochod-
niami do domu, gdzie leżał chory, a Polak
który przed nim biegał, zgromadził tym=
czasem wszystkich domowników, ~~do~~
mówiąc im, że chory chce przyjąć Prze-

100. najświętsze Ciało Pańskie i że ksiądz
już nadchodzi. Zdarzyło się zaś właśnie
że cała włoska służba chorego była poza
domem, rozbiegłszy się za rozmaitemi
sprawami do załatwienia. Ale czeladź
polska, mężczyźni i kobiety, ruszyli
natychmiast na ~~[illegible]~~ spotkanie księdza
i otaczając ze czcią Przenajświętszy
Sakrament, wszyscy do izby chorego
weszli. Zdziwił się nie mało Signor
Girolamo na widok tej procesji, wchodzą-
cej z zapalonemi pochodniami do niego,
i rozważał, coby to widowisko znaczyć
miało. ~~Ale~~ Gdy nadto ujrzał wchodzącego księdza
z komżą na ~~[illegible]~~ ramionach, ze stułą na ~~szyje~~ szyi
i z puszką w ręku, zdumiał do reszty,
ale dźwignął się, jak mógł, na posłaniu
i odkrywszy głowę najpobożniej ukłonił
się przed Przenajświętszym Sakramentem.
~~Ale gdy~~ Kiedy jednak ksiądz ku niemu podszedł i coś
tam mówić począł, podając mu hostję, przer-
wał mu Girolamo tłomacząc się po włosku,
że nie chce przyjmować teraz komunji,

nie wyspowiadawszy się z grzechów, ~~[illegible]~~ ani nie będąc znów tak ciężko chory, aby przyjmować wiatyk. Ale że nie umiał ani po polsku ani po łacinie, mówiąc, że nie był u spowiedzi, dla ~~[illegible]~~ zrozumialszego tłumaczenia się, dwa lub trzy razy, jakby na znak skruchy, uderzył się w piersi. Ksiądz więc wyimaginował sobie, że oto właśnie wzbudza akt skruchy, jak to się w takiej chwili należy, i że się gotuje na przyjęcie wiatyku. A więc zacząwszy znowu jakąś przemowienie po polsku (*una sua ~~[illegible]~~ diceria in Polacco*) i robiąc po tysiąc znaków krzyża, wziął znów hostię w rękę, aby ją podać choremu. Ten wciąż dawał znaki, że nie przyjmie wiatyku, aż wreszcie zawołał: Panie, nie rozumiecie mnie: *nolo Corpus Christi*... Na te trzy słowa łacińskie przysięgał ksiądz, że chory gorączkuje i gada od rzeczy. Signor Girolamo, który od dziecka chowany był pod bronią i w obozie, tylko że umiał czytać, ale nie umiał po łacinie i Bóg ~~[illegible]~~ raczy wiedzieć, błądził trzy

102 słowa łacińskie złożyć zdołał. A nie mogąc jaśniej się wysłowić, dziwował się tylko coraz bardziej i pojąć nie mógł, co się wokoło niego dzieje. Wśród tego zamieszania nadszedł wreszcie ów włoski służący, który był Polaka po opłatek posłał i widząc co się dzieje, domyślił się, że go zrozumiano opacznie. Znowu więc począł owemu posłańcowi na migi dowodzić, iż pobałamucił, aż wreszcie chwyciwszy w rękę owe proszki, jął księdzu tłumaczyć, na co mu potrzeba było opłatka, i namawiać w niego, aby do kościoła wracał, gdyż pan jego komunikanty nie przyjmie. Na widok owych proszków, a nie wiedząc do czego służyć miały, wyimaginował sobie (z swojej strony) ksiądz, że to jakieś gusła i czary przeciw Sakramentom i że pan ten i słudzy jego to ukończone łotry (grandissimi ribaldi).

Jął więc do otoczenia onego chorego i jego czeladź wymyślać, że to ludzie przewrotni i czarnoksiężnicy, a że ten, który w łożu leży, jako ten pies skonać zamierza. „Wyrzućcie ich — wołał — z domu, aby zaś Bóg nas samych z nimi nie pokarał." Już się też były one Polaki na dobre rozsierdziły, aby chorego i jego służbie nie lada

spłatać figla, kiedy nadszedł nakoniec 103.
pewien Polak, który długo w Rzymie przebywał 290
i doskonale językiem naszym mówił. Jemu tedy
~~[illegible]~~ sługa chorego opowiedział całą sprawę
z opłatkiem, a ten ją innym wytłumaczył.
~~Śmiechem~~ (Na śmiechu) skończyło się tedy wszystko, i sam
ksiądz, uśmiawszy się, do kościoła wrócił
i przysłał choremu drugi opłatek do za-
życia proszków. Chory wyzdrowiał wkrótce
zupełnie i wrócił do Włoch, gdzie często
ku uciesze słuchających opowiadał owe
~~[illegible]~~ zdarzenie, a przyznaje, że się nie-
małego wówczas najadł strachu, aby go
nie wypędzono, jak psa na ulicę."

Z końcem XVI wieku, a więc z Ban-
dellem, który w drugiej ~~p~~ tegoż wieku
połowie umiera, dosięga novella włoska,
wzorująca się na Boccacciu, ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~, o tyle ~~[illegible]~~ swego szczytu,
że odtąd, w dwóch następnych stuleciach, jałowieje
już i traci coraz częściej indywidualną cechę.
Że novelle – powiastki – zamieniają się raz poraz

104. w ~~ragionamenti~~ ragionamenti — w rozumowania — i no-
welliści wstępują częściej na ulubione
pisarzom z XVII wieku koturny, zupeł-
nie odpowiednie do tego rodzaju opowiada-
nia, które nie ~~powinno~~ (może) stąpać wolno i
poważnie, ale ma płynąć potoczyście i lekko.
Najlepiej to rozumie i w trzysta lat po
Boccacciu najbardziej się do niego zbliża-
nie Włoch, ale Francuz, La Fontaine. Wy-
pada on wprawdzie w swoich Contes z ro-
li pogodnego moralisty, jakim bywa
zawsze w ślicznych swoich bajkach, i, znowu
za przykładem Boccaccia, plugawi swoją
literaturę ~~[illegible]~~ nieprzyzwoitością wątku
lub opisu; ale przywraca w każdym
razie nowelli to, w czem sam Boccaccio
przewyższał o tyle rodzimych swych
następców i naśladowców, a co posiadli
właśnie w całej pełni pisarze francuscy:
jasność, wdzięk i dowcip.

Na brak tych trzech przymiotów choruje z nielicznymi wyjątkami nowellistyka włoska po Boccacciu przez cały prawie ciąg swego istnienia i aż dotąd. Nie tamuje to wszakże jej płodności. Niestrudzony erudyt, ~~[illegible]~~ vicedyrektor biblioteki Marcjańskiej z początku ~~XIX~~ XIX wieku (Gamba[1]) wylicza w swej bibliografji nowellistycznej aż 250 nazwisk nowellistów włoskich, (od Boccaccia) po sam koniec XVIII wieku, ~~[illegible]~~ poza którą to granicą dopiero przestanie nowella kroczyć śladami ~~Boccaccia~~ Dekameronu i zwróci się za nowoczesną ~~prze~~ powieścią psychologiczną na inne zupełnie tory. Przedtem zabłądzić można w tym zbyt gęstym lesie, nie zapuszczając się weń nawet zbyt głęboko, zabłądzić tem łatwiej, że te same wątki zaczerpnięte z Boccaccia lub skądinąd ~~[illegible]~~ i wzięte z większym lub mniejszym talentem i darem opowiadania, płyną spod różnorodnych piór z nieznacznemi tylko zmianami, albo często bez żadnych

1) Gamba: Delle novelle italiane in prosa – bibliografia. Venezia 1833

206

zgiła zmian, i postarają się do prze-
sytu, aż znużony czytelnik zawoła na-
reszcie ze starożytnym poetą: <u>Claudite
jam rivos, pueri: sat prata biberunt</u>.....

A wtedy?... Wtedy, w chwili takiego
przesytu, ~~[illegible]~~ prawdziwy wielbiciel
epoki Odrodzenia, weźmie do ręki
inny zbiór nowelli — Ariostowego
<u>Orlanda</u>. Bo czemże jest ta czarodziejska
epopea, jeżeli nie zbiorem luźnych
opowieści o losach Orlanda i Angeliki,
Ruggiera i Bradamanty, Rodomonta
i Doralice, Zerbina i Gabriny, i tylu,
tylu innych, ale opowieści powiązanych
geniuszem największego literackiego
artysty z czasów ~~rozkwitu~~ rozkwitu Odrodzenia,
artysty, który łączył w sobie zalety wyposażonych
mu na innem polu mistrzów, świetny
pogląd ~~[illegible]~~ Rzymian z harmonją Flo-
rentczyków i barwnością Wenecjan, i który
w rozmachu lotnej swej wyobraźni ~~[illegible]~~
~~[illegible] jego Ruggiero na Hippo-
gryfie, [illegible] [illegible] do gwiazd~~
i wzleciał na tak zawrotne wyżyny, do gwiazd[illegible]

wzbił się, podobnie jak jego Ruggiero na Hippogryfie, i wzleciał na tak zawrotne szczyty, do jakich nie dotarł w poezji czy w prozie żaden inny pisarz z owych czasów.

To też zestawiając ogólny bilans noweli włoskiej z drugiej, kilkowie-kowej epoki naśladowania Boccaccia przychodzi się do przekonania, że literacka jej wartość jest tylko drugorzędną. Do zysków w jej rachunku zapisać należy, że, zwłaszcza w swoich początkach, wyrobiła ona i ustaliła prozę włoską, a przez to samo i sam język włoski; dalej, że przechowała nam wiele baśni i podań ludowych, któreby inaczej były poszły w zapomnienie ~~były~~ ~~poszły~~, że zapisała niejeden fakt, utrwaliła pamięć różnych zdarzeń, które przemilczeli historycy,

a które były przecież godne zapamię-
tania, jeżeli potem taki tkacz jak
Shakespeare, żeby tylko tego, największego
wymienić, snuł na te gotowe już
krosna ... nitki srebra, złota i pur-
pury, tworząc barwy i kwiaty...*)" Ale
za największą zasługę nowelli po-
czytać należy przechowanie nam
wiernego obrazu zwyczajów i obyczajów z owych
epok, wprowadzenie nas w codzienne
życie ówczesnych pokoleń, wtajemniczenie
(— o ile to możliwem —) w ich myśli i czucie, i opowiedzenie
nam potoczne, ~~[illegible]~~ [illegible]
~~[illegible]~~ w dopełnieniu kart, nakreślo-
nych przez poważnych annalistów
i kronikarzy, także i o tem,
jakie „były zabawy, spory w one
lata....”